

MISTRZOWSKI THRILLER PSYCHOLOGICZNY

Dwie
opowieści

Jeden
zabójca

Catherine Ryan Howard

AUTORKA BESTSELLERÓW USA TODAY

MEZCZYŻNA
BEZ TWARZY

Żadnej
litości

Świat Książki

Catherine Ryan Howard

**MEŹCZYŻNA
BEZ TWARZY**

Z angielskiego przełożył
Szymon Kołodziejcki


Świat Książki
wydawnictwo

Spis treści

Okładka
Strona tytułowa
Strona redakcyjna
Mężczyzna bez twarzy
Posłowie. Kobieta, która...
O autorce
Podziękowania
Przypisy

CHOMIKO - WARNIA

Tytuł oryginału: THE NOTHING MAN

Wydawca *Urszula Ruzik-Kulińska*
Redaktor prowadzący *Beata Kołodziejska*
Redakcja *Magdalena Wagner*
Korekta *Jadwiga Piller, Ewa Grabowska*

Copyright © Catherine Ryan Howard, 2020 Copyright ©
for the Polish translation by Szymon Kołodziejski, 2023

Wydawnictwo Świat Książki
02-103 Warszawa, ul. Hankiewicza 2

ISBN 978-83-828-9070-9-999
Warszawa 2023

Księgarnia internetowa: www.swiatksiazki.pl www.ksiazki.pl

Dystrybucja
Dressler Dublin Sp. z o. o.
05-850 Ożarów Mazowiecki ul. Poznańska 91
e-mail: dystrybucja@dressler.com.pl
tel. +48 22 733 50 31/32
www.dressler.com.pl

Wersję elektroniczną przygotowano w systemie *Zecer*

*Dla Johna i Claire, którzy muszą się podzielić,
ponieważ stawianie jednego przed drugim
byłoby zwyczajnie nie w porządku.*

CHOMIKO - WARNIA

Jim był na patrolu. Stał z wysoko podniesioną głową i się rozglądał. Zatknął kciuki za pas, do którego miał przywieszony telefon, krótkofalówkę i sporych rozmiarów latarkę. Pod wpływem ciężaru skórzany pas opadł na biodra, więc mężczyzna był zmuszony iść zamaszystym krokiem, ale lubił to. A kiedy wracał do domu i zdejmował pas, czuł się nieswojo.

Sklep został otwarty zaledwie pół godziny temu, więc personelu wciąż było więcej niż klientów. Jim minął dział ze sprzętem domowym, przeszedł przez dział odzieży damskiej i w końcu dotarł do działu spożywczego. Tutaj przynajmniej był jakiś ruch. Grupka dwudziestokilkuletnich mężczyzn w garniturach śmigała między alejkami w poszukiwaniu owsianego mleka i paczkowanych zdrowych sałatek, jakby byli w trakcie zadania mającego na celu budowanie relacji w zespole.

Jim wpatrywał się w ich twarze, gdy go mijali, doskonale wiedząc, że przyciąga ich uwagę.

Potem udał się do wejścia, skąd widział resztę centrum handlowego i przez kilka minut obserwował wchodzących i wychodzących. Następnie sprawdził starannie ustawione we wnęce wózki i zatrzymał się przy pojemnikach z owiniętymi w folię bukietami kwiatów. Nachylił się, żeby je powąchać, ale poczuł coś mdlącego i chemicznego.

Z jednego z pojemników wyciekała woda. Jim odpiął krótkofalówkę i wcisnął przycisk.

– Przy kwiatkach trzeba posprzątać. Prawdopodobnie jeden z pojemników jest nieszczelny.
Odbiór.

Przez trzaski i zakłócenia usłyszał znudzony głos.

– Zgłoszenie przyjęte, Jim.

O tej porze lubił zerknąć na nagłówki gazet, więc ruszył w stronę odpowiedniego stoiska. Zanim do niego dotarł, kątem oka dostrzegł, że po prawej, jakieś pięć metrów od niego, ktoś kuca za obrotowym stojakiem z kartkami urodzinowymi.

Jim nie zareagował, przynajmniej z pozorów. Dalej szedł w swoją stronę, po czym stanął w takim miejscu, żeby mógł obserwować interesujący go obszar. Chwycił jakąś gazetę i rozłożył ją przed twarzą. Przez chwilę patrzył na pierwszą stronę, a potem uniósł wzrok.

Kobieta. Ubrana odpowiednio do pory dnia. Rozpięty trenz, duża skórzana torba zawieszona na zgięciu łokcia oraz stylowe, ale funkcjonalne buty. Udręczony wyraz twarzy. Młoda profesjonalistka w swoim zawodzie, załatwiająca sprawy z długiej listy rzeczy do zrobienia przed pójściem do pracy, gdzie czekają ją kolejne obowiązki – a może takie chciała sprawiać wrażenie. Ścisnęła coś pod lewą pachą. Jim przypuszczał, że to książka.

Dźwięk gongu przerwał lekką muzykę graną w tle i beznamiętny głos wezwał kogoś o imieniu Marissa do działu z kwiatami: „Marissa proszona o podejście do działu z kwiatami. Marissa do działu z kwiatami”.

Obserwowana kobieta wybrała jedną z kartek i przyglądała się jej, jakby nie widziała w życiu nic bardziej interesującego.

Jim cały czas trzymał gazetę przed sobą. Gdyby kobieta spojrzała w jego stronę, zobaczyłaby siwe włosy i dłonie naznaczone plamami wątrobowymi, ale na pewno nie identyfikator z czerwonym napisem OCHRONA, przypięty do kieszeni koszuli.

Książka wyslizgnęła się spod jej pachy i z plaśnięciem upadła na podłogę. Kobieta nachyliła się, żeby ją podnieść...

Mężczyzna bez twarzy – głosił żółty napis na czarnej, lśniącej okładce.

Kiedy podniosła książkę, Jim dostrzegł te same trzy słowa na grzbiecie.

Krew natychmiast zadudniła mu w uszach, a jego głowę wypełnił biały szum. Wszystko razem układało się w monotony rytym:

Mężczyzna bez twarzy, mężczyzna bez twarzy, mężczyzna bez twarzy.

Miał świadomość, że kobieta na niego patrzy, a on wygląda tak, jakby beczelnie się jej przyglądał. Ale nie mógł oderwać wzroku od książki. Stał jak wrośnięty w podłogę, ogłuszony coraz głośniejszym rytmem, który był nie do zniesienia.

MĘŻCZYZNA BEZ TWARZY, MĘŻCZYZNA BEZ TWARZY, MĘŻCZYZNA BEZ TWARZY.

Kobieta zmarszczyła brwi i pomaszerowała do kasy.

Jim nie postąpił według standardów i nie poszedł za nią, żeby sprawdzić, czy rzeczywiście zapłaci za książkę. Ruszył w przeciwnym kierunku, w stronę alejki, gdzie znajdowały się artykuły papiernicze, niewielki wybór zabawek i książki.

To beletrystyka, przekonywał siebie. Na pewno.

A jeśli się mylił?

Nie musiał długo szukać. Ekspozycja zajmowała aż trzy półki. Dostawa pewnie przyszła w nocy, a książka musiała być nowa, prawdopodobnie właśnie została wydana. Podszedł bliżej, żeby zobaczyć nazwisko autora...

Eve Black.

Zapamiętał ją jako dwunastoletnią dziewczynkę, która stała w różowej koszuli nocnej u szczytu schodów i wpatrywała się w półmrok. „Tata?”, zapytała niepewnie.

Nie. To niemożliwe.

A jednak. Okładka zdradzała wszystko.

Mężczyzna bez twarzy. W poszukiwaniu prawdy.

Jim poczuł nagły przypływ gorąca. Jego policzki poczerwieniały, trzęsły mu się ręce, bo desperacko pragnął sięgnąć po książkę, chociaż instynkt próbował go od tego odwieść.

„Nie rób tego”, powiedział do siebie, wyciągając rękę i biorąc książkę z półki.

Twarda okładka była gładka i błyszcząca. Dotknął opuszkami palców liter składających się na tytuł i poczuł je na swojej skórze.

Mężczyzna bez twarzy.

Jego drugie imię.

Nadane mu przez prasę.

Nikt nie wiedział, że należy do poczciwego Jima.

Obrócił książkę w dłoniach.

„Pojawił się nocą w jej domu. Kiedy go opuszczał, tylko ona pozostała przy życiu... Eve Black, jedyna ocalała z ostatniego i najbrutalniejszego ataku Mężczyzny bez twarzy zagłębia się w przeszłość potwora, który terroryzował miasto Cork, w poszukiwaniu odpowiedzi i próbuje ustalić tożsamość mordercy”.

Po tych wszystkich latach...

Pieprzona dziwka.

Jim otworzył książkę. Jej grzbiet zatrzeszczał niczym łamana kość.

MĘŻCZYZNA BEZ TWARZY

W poszukiwaniu odpowiedzi

EVE BLACK

CHOMIKO - WARNIA

Pierwsze wydanie opublikowane w Wielkiej Brytanii i Irlandii przez Iveagh Press Ltd,
2019

Copyright © 2019 by Eve Black

IVEAGH PRESS IRELAND LTD
42 Dawson Street
Dublin 2
Irlandia

Książka *Mężczyzna bez twarzy* powstała na podstawie artykułu *Dziewczyna, która...* pierwszy raz opublikowanego w „Irish Times”.

Autorka i wydawcy dołożyli wszelkich starań, aby skontaktować się z właścicielami praw autorskich w celu uzyskania zgody na publikację danych i przepraszają za wszelkie niezamierzone pominięcia lub błędy.

Do przyszłych wydań mogą być wprowadzane poprawki.

Prawo Eve Black do identyfikowania się jako autorki tej pracy zgodnie z art. 77 Ustawy o prawie autorskim, wzorach i patentach z 1988 r.

Publikacja skatalogowana w Bibliotece Brytyjskiej.

ISBN: 987-0-570-34514

*Dla Anny i innych ofiar,
których imion nie znamy albo o nich zapominamy*

CHOMIKO - WARNIA

OFIARY

Alice O'Sullivan (42 lata)

Napadnięta w swoim domu na Bally's Lane w mieście Carrigaline, hrabstwo Cork, w nocy 14 stycznia 2000 roku.

Christine Kiernan (23 lata)

Zgwałcona w swoim domu w Covent Court na Blackrock Road w mieście Cork w nocy 14 czerwca 2000 roku.

Linda O'Neill (34 lata)

Brutalnie zgwałcona w swoim domu na obrzeżach miasta Fermoy, hrabstwo Cork, w nocy 11 kwietnia 2001 roku.

Marie Meara (28 lat) oraz Martin Connolly (30 lat)

Zamordowani w swoim domu w Westpark na Maryborough Road w mieście Cork w nocy 3 czerwca 2001 roku.

Ross Black (42 lata), Deirdre Black (39 lat) oraz Anna Black (7 lat)

Zamordowani w swoim domu na Passage West, hrabstwo Cork, w nocy 4 października 2001 roku.

Autorka jako jedyna przeżyła. Miała wtedy dwanaście lat.

Kilka słów o źródłach

Mówi się, że każda historia ma trzy wersje: moją, twoją i tę prawdziwą. W momencie, gdy pisałam tę książkę, nie poznaliśmy jeszcze wersji Mężczyzny bez twarzy. Protokoły, raporty, nagrania i przesłuchania to najtwardsze fakty, jakie mamy, i właśnie na nich się opierałam. Dołożyłam wszelkich starań, aby jak najdokładniej oddać tę historię z perspektywy wszystkich zaangażowanych w sprawę – ofiar oraz człowieka, który próbował powstrzymać mordercę. Ale to również moja historia i chciałam przedstawić ją swoimi słowami. Uważam, że udało mi się dojść bardzo blisko prawdy.

CHOMIKO - WARNIA

Wstęp

„Dziewczyna, która...”

Kiedy się spotykamy, prawdopodobnie przedstawiam się jako Evelyn i mówię: „Miło cię poznać”. Przekładam kieliszek do drugiej ręki i potrząsam twoją wyciągniętą dłonią, lecz mój ruch jest niezdamy i krople białego wina opryskują nas oboje. Przepraszam i rumienię się ze wstydu. Ty machasz ręką i mówisz, że wszystko w porządku, nic się nie stało, naprawdę, ale rzucaś okiem na swoją koszulę, którą prawdopodobnie na tę okazję oddałeś do pralni, ukradkiem szacując straty. Pytasz, czym się zajmuję, a ja nie jestem pewna, czy jestem rozczarowana, czy zadowolona, że ta rozmowa potrwa dłużej. Odpowiadam: „Ach, tym i owym” i odbijam pytanie. Teraz to ty odpowiadasz, a ja z grzeczności udaję zainteresowanie. Potem zapada cisza. Brakuje nam pomysłów. W końcu korzystamy z ostatniej możliwości: „Skąd znasz...?”. Każde opowiada, jak poznało gospodarza i szukamy wspólnych znajomych. Prawdopodobnie udaje nam się kilku znaleźć. Dublin to małe miasto. Chwytny się innych tematów: liczba gości dzisiejszego wieczoru, bardzo popularny podcast, Brexit. W pokoju robi się coraz cieplej i głośniejsze. Ludzie, których nie znam, ocierają się o mnie, ale prawdziwym źródłem mojego niepokoju, czegoś, co spowoduje wystąpienie czerwonych plam na mojej szyi, jest fakt, że w każdej chwili to do ciebie dotrze, uniesiesz głowę, zmarszczysz brwi, spojrzysz na mnie, naprawdę na mnie spojrzysz i zapytasz: „Chwila, czy to ty jesteś tą dziewczyną, która...?”.

Zawsze towarzyszy mi ta obawa, gdy poznaję nową osobę.

Tak, jestem tą dziewczyną, która...

Miałam dwanaście lat, kiedy pewien mężczyzna włamał się do naszego domu i zamordował moją matkę, ojca i siostrę Annę, która już na zawsze pozostanie siedmioletką. Słyszałam dziwne i niejasne dźwięki, które, jak się potem okaże, były krzykami gwałconej i mordowanej matki oraz duszonej siostry. Zakrwawione, połamane i posiniaczone ciało ojca leżało u podnóża schodów. Wydaje mi się, że odparł pierwszy atak i próbował doczołgać się do telefonu w kuchni, żeby zadzwonić po pomoc. Ja przeżyłam dzięki słabemu pęcherzowi i puszcze napoju pomarańczowego, którą przemyciłam do swojego pokoju i wypiłam na godzinę przed pójściem spać. Kilka minut przed wejściem intruza na górę obudziłam się za potrzebą fizjologiczną. Siedziałam w łazience, kiedy to wszystko się zaczęło. Zamek był marnej jakości i nie miałam żadnej drogi ucieczki. Gdyby zabójca próbował otworzyć drzwi, ja też straciłabym życie. Z jakiegoś powodu tego nie zrobił.

Byliśmy ostatnią rodziną, którą zaatakował ten człowiek, ale nie pierwszą. Popęłnił pięć zbrodni w ciągu dwóch lat. Prasa nadała mu przydomek Mężczyzny bez twarzy, ponieważ – jak twierdzili dziennikarze – Gardaí nic na niego nie mieli. Oprócz pojedynczego przypadku, kiedy pewnej nocy ktoś mijał go samochodem i zauważył na poboczu w świetle reflektorów, nikt nigdy nie widział mordercy. Nosił kominiarkę i czasem świecił ofiarom prosto w oczy latarką, więc żadna z ocalałych osób nie potrafiła podać przydatnego opisu sprawcy. Używał prezerwatyw, a na miejscach zbrodni nie pozostawiał żadnych włosów ani odcisków palców. Zawsze pamiętał o zabraniu swojej broni – noża, a w późniejszym czasie pistoletu. Jedyne, co znaleźli policjanci, to strzępy plecionej niebieskiej liny, którą krępował ofiary. Niestety, materiał nie okazał się pomocny. Sprawca mówił dziwnym, chrapliwym szeptem, co uniemożliwiało ustalenie prawdziwego tembru jego głosu. Wszystkie zbrodnie popełniał w obrębie Cork, najbardziej wysuniętego na południe i największego hrabstwa w Irlandii. Sprawnie się po nim poruszał, atakując zarówno w Fermoy, mieście oddalonym o czterdzieści kilometrów od Cork, stolicy hrabstwa, jak i w Blac-

krock, czyli na jej przedmieściach.

Minęło prawie dwadzieścia lat. Morderca pozostaje na wolności, a mnie bardzo brakuje rodziny i czuję niemal fantomowy ból. Ich nieobecność w moim życiu, tragizm ich losów, ból, który musieli cierpieć, jest ciągłym dzwonieniem w moich uszach, smakiem w moich ustach, swędzeniem na skórze. Jest zawsze i wszędzie. Nie potrafię sprawić, żeby to odeszło. Czas nie uleczył ran, gorzej, spowodował, że wdała się w nie gangrena. Mając trzydzieści lat, uświadamiam sobie rozmiar mojej straty w znacznie szerszym kontekście, niż gdy byłam dwunastolatką. A odpowiedzialny za nią potwór wciąż chodzi na wolności, wciąż nie został zidentyfikowany. Może nawet spędza czas ze swoją rodziną. Ten całkiem prawdopodobny scenariusz doprowadza mnie do takiego szału, że w gorsze dni nie potrafię skupić się na niczym innym. Niekiedy żałuję, że morderca mnie też nie pozbawił życia.

Ale ty dopiero co poznałeś mnie na imprezie bożonarodzeniowej. Albo na ślubie. Lub na premierze jakiejś książki. Nie znam cię, lecz zdaję sobie sprawę, że nie wiedziałbyś, jak zareagować, gdybym powiedziała to wszystko na głos w odpowiedzi na twoje pytanie. Jestem dziewczyną, która...? Udaję zdziwienie. Dziewczyną, która co? Po ilu drinkach już jesteś?

Przez te wszystkie lata zdążyłam nabrać wprawy. Dojdiesz do wniosku, że się pomyliłeś. Rozmowa zmieni kierunek.

A ja dalej będę zmagać się ze swoim brzemieniem. Dopóki wystarczy mi sił.

Po ataku moja jedyna żyjąca babcia – Colette, matka ojca – zabrała mnie do miejsca o nazwie Spanish Point na wybrzeżu atlantyckim Irlandii. Pojechałyśmy w połowie października, gdy ostatni maruderzy pakowali swoje rzeczy, i wprowadziłyśmy się do niewielkiego, białego domku, który – jak przekazała mi babcia – stał tam jeszcze zanim nastąpił wielki głód. Przed naszym przyjazdem drzwi odmalowano na jaskrawoczerwony kolor i za każdym razem, kiedy na nie patrzyłam, wyobrażałam sobie krew spływającą z jasnych ścian sypialni.

Przebywałyśmy tam trzy tygodnie, zanim do mnie dotarło, że pogrzeby musiały się już odbyć.

Domek stał na wąskim skrawku terenu, między nadbrzeżną drogą i pozornie bezkresnym morzem, którego wody wzburzone przez gwałtowne wiatry odbijały się od jedynej przeszkody w promieniu tysięcy kilometrów. Nasze położenie nie wydawało się pewne. W nocy, gdy leżałam w łóżku, słuchałam grzmotu fal i martwiłam się, że następna rozbije domek, a to, co z nas zostanie, zabierze odpływ.

Nie pomagał fakt, że obszar nazwano Spanish Point z racji tego, że w 1588 roku dwa statki należące do hiszpańskiej armady rozbiły się na tym cyplu. Według opowieści miejscowych marynarze, którzy nie zatonęli, zostali straceni, spaleni i pochowani w masowym grobie o nazwie Tuama na Spaineach, czyli hiszpański grobowiec. Podczas zimowych miesięcy, kiedy noc zapadała szybko, szłam na plażę po zmroku i wyobrażałam sobie, że duchy tych mężczyzn wychodzą z wody. Wyglądali jak połączenie egipskich mumii i hollywoodzkich piratów. Zawsze szli prosto na mnie.

Życie na Spanish Point miało na boleśnie prostych czynnościach. Nie miałyśmy telewizora ani komputera, nie pamiętam też, żeby w domu były jakieś gazety. Babcia, którą nazywałam Bunią, przez kilka porannych godzin słuchała radia, ale tylko stacji nadających tradycyjną irlandzką muzykę, bez przerw na wiadomości. Od czasu do czasu dzwonił telefon stacjonarny, ale wtedy Bunia wypraszała mnie do drugiego pokoju – albo na dwór, jeśli pozwalała na to pogoda – i rozmawiała szeptem z osobą znajdującą się po drugiej stronie linii. W ciągu pierwszych tygodni i miesięcy naszego pobytu na Spanish Point telefon dzwonił często, ale później połączenia stały się tak rzadkie, że na dźwięk przenikliwego dzwonka obie podskakiwałyśmy i patrzyłyśmy na siebie spanikowane, jakby właśnie włączył się alarm pożarowy, o którego ist-

nieniu nie miałyśmy pojęcia.

Przez pierwszy rok prawie każdy dzień spędzałyśmy tak samo. W pełni angażowałyśmy się w codzienne obowiązki, żeby powstrzymać narastające poczucie żalu. Wszystkie posiłki przygotowywałyśmy i spożywałyśmy powoli, a potem nadchodził czas mycia naczyń. Przy odpowiednim nastawieniu nawet najprostsze śniadanie składające się z tostów z jajkami potrafiło nam zająć dobrą godzinę. Przed południem sprzątałyśmy i robiłyśmy pranie, co babcia nazywała po prostu „pracą”. Po obiedzie długo spacerowałyśmy po plaży i wracałyśmy głodne na kolację. Wieczorami Bunia rozpalala ogień w kominku. Siedziałyśmy w ciszy, czytając książki, aż płomień dogasał, po czym razem sprawdzałyśmy, czy drzwi są zamknięte i szłyśmy do swoich sypialni.

Dopiero kiedy byłam w łóżku, sama, w ciemności, mogłam odpuścić i pozwolić, by zawładnęły mną emocje. Smutek, żal, zamęt pochłaniały mnie niczym wysokie fale oceanu. Doskonale wiedziałam, że bez względu na to, jak babcia próbowała rozproszyć moje myśli, czekały one na mnie pod koniec dnia. Każdej nocy płakałam aż do zaśnięcia i śniłam o rozkładających się w zabloconych grobach zwłokach. W szczególności Anny, która próbuje wydostać się z ciemnej otchłani i wrócić do mnie.

Nigdy nie rozmawiałyśmy o tym, co się wydarzyło. Babcia nawet nie wypowiadała ich imion. Czasem słyszałam, jak cicho łka przez sen, a raz byłam świadkiem, jak przeglądała pudło ze starymi zdjęciami należące do mamy. Po jej pomarszczonych policzkach spływały łzy. Dręczyło mnie mnóstwo pytań na temat tego, co się stało, ale nie śmiałam ich zadać. Nie chciałam jeszcze bardziej zasmucać Buni. Przypuszczałam, że zaszyłyśmy się w tym domku, ponieważ morderca wciąż był na wolności i prawdopodobnie już wiedział, że ktoś przeżył atak. Czasem, będąc w półśnie, widziałam go stojącego przy moim łóżku. Wyglądał jak zabójca z horroru: cały we krwi i z szaleństwem w oczach. Niekiedy wbijał we mnie nóż, wtedy budziłam się i zdawałam sobie sprawę, że to był tylko wytwór mojej wyobraźni.

Raz w tygodniu szłyśmy z babcią do pobliskiego miasteczka, żeby wymienić książki w bibliotece i zrobić zakupy spożywcze. Nie spuszczała mnie z oczu i poleciła, żebym przedstawiała się pełnym imieniem: Evelyn, a nie Eve. Rok później, kiedy zaczynałam naukę w szkole średniej, przyjąłam nazwisko panięskie Buni, która wydała mi dalsze instrukcje. Miałam mówić, że moi rodzice zginęli w wypadku samochodowym i że jestem jedynaczką, ale tylko jeśli ktoś naprawdę będzie dopytywał. „Sama się nie wychylaj”, powiedziała. Do dziś kieruję się tą złotą zasadą.

Nie sprzeciwiałam się babci. Chciałam przypominać inne dziewczyny z mojej klasy. Założyłam, że to, co czuję – jakby moje wnętrze były jedną wielką otwartą raną, a ciało cienką skorupą, która ją ukrywa – zostanie już ze mną na zawsze, a jeśli dam coś po sobie poznać, to tylko pogorszę sprawę. Świetnie udawałam, że wszystko w porządku, ale ciągle musiałam uważać, żeby nie przekroczyć cienkiej granicy i się nie załamać.

Udawałam przez wszystkie lata szkolne, podczas matury i przez cztery lata spędzone na uniwersytecie w Galway, gdzie studiowałam biznes. Wybrałam ten kierunek, ponieważ był przewidywalny. Uwielbiałam czytać i pisać, więc przez długi czas zastanawiałam się nad sztuką, literaturą lub pisaniem twórczym. W końcu doszłam do wniosku, że nie dam rady dyskutować na seminariach o traumie, żalu lub przemocy w gronie obcych ludzi. W konsekwencji nie zaliczyłabym roku. Bazy danych i matematyka wydawały się bezpieczniejszą możliwością.

Nie śniłam już o rozkładających się zwłokach i zabójcach z nożami, ale zaczęłam się dręczyć poszukiwaniem w tłumie kobiety, która wyglądałaby tak, jak wyobrażałam sobie swoją siostrę w przyszłości. Czyli w zasadzie kogoś, kto przypominałby mnie, gdy miałam szesnaście lat, bo był to mój jedyny punkt odniesienia. Nigdy nie znalazłam odpowiedniej kandydatki.

СНОМІКО _ WАРNІА

– Dobra?

Jim z głośnym hukiem zamknął książkę. Obok niego stał Steve O'Reilly, kierownik sklepu. Opierał się o regał, z założonymi rękami i wyrazem wyższości na twarzy, stanowiącym jego znak firmowy.

W głowie Jima pobrzmiwało echo niedawno przeczytanych słów. „Miałam dwanaście lat...”, „...mężczyzna włamał się do naszego domu...”, „...zamordował moją matkę, ojca i siostrę...”, „Zamek był marnej jakości...”, „Z jakiegoś powodu tego nie zrobił”.

– Nie dla mnie – zdołał wydusić po chwili i odłożył książkę na półkę, korzystając z okazji, żeby wziąć głęboki oddech i zwilżyć usta językiem.

Jego palce zostawiły smugi na błyszczącej, czarnej okładce.

– Czyżby? – Steve uniósł brwi. – Nie oszukasz mnie, Jim. Byłeś wyraźnie zaczytany.

Steve miał dwadzieścia sześć lat, nosił połyskliwe garnitury, a jego rzędzące włosy pokrywała gruba warstwa żelu, ale jakimś cudem w swoim mniemaniu był kimś, a Jim nikim. Największym wyzwaniem dla Jima było powstrzymanie chęci wyprowadzenia dzieciaka z błędu.

Odwrócił się i spojrzał przełożonemu w oczy. Przyjął taką samą postawę, krzyżując ramiona na klatce piersiowej i opierając się lekko o regał. Prosty trik, który zawsze wprawia ludzi w konsternację. A następnie przybrał całkowicie neutralny wyraz twarzy.

– Masz do mnie jakąś sprawę, Steve?

Młodszy mężczyzna przeniósł ciężar ciała na drugą nogę.

– Tak. Pamiętaj, że jesteś w pracy. To nie biblioteka. – Sięgnął po ten sam egzemplarz książki, który przed chwilą odłożył Jim. – *Mężczyzna bez twarzy*? Co ty wyprawiasz? Próbujesz wrócić myślami do czasów swojej świetności? A, nie. Czekaj. W przeszłości siedziałeś za biurkiem, nie ścigałeś przestępców.

Steve otworzył książkę na wkładce zdjęciowej. Papier był bielszy, grubszy i lśniący.

Fotografia po lewej przedstawiała duży dom jednorodzinny i rodziców z dwójką małych dzieci pozujących przy choince.

Na zdjęciu po prawej widniał szkic wykonany ołówkiem.

Ten szkic.

Steve stuknął w kartkę.

– Tak, tak. Słyszałem o tym.

Jim patrzył na szkic do góry nogami, ale natychmiast go rozpoznał. Przedstawiał okrągłą, mięsistą twarz mężczyzny o małych, głęboko osadzonych oczach. Miał na głowie coś, co wyglądało jak gruba wełniana czapka, którą naciągnął na brwi. Portret wykonano pod lekkim kątem, jakby mężczyzna usłyszał od artysty, żeby odrobinę odwrócił głowę w lewo.

Rysunek zajmował dwie trzecie strony, a pod nim znajdował się krótki podpis. Prawdopodobnie mówił o tym, że portret stworzono na podstawie zeznań świadka, który przejeżdżał samochodem obok domu O'Sullivanów na Bally's Lane, nieopodal Carrigaline w hrabstwie Cork, we wczesnych godzinach rannych, czternastego stycznia roku dwa tysiące. Kobieta dostrzegła w świetle reflektorów mężczyznę na poboczu. „Skradał się”, stwierdziła. To był jedyny raz, kiedy widziano mordercę o pseudonimie *Mężczyzna bez twarzy*.

Jim o to zadbał.

Tamtej nocy, gdy czekał w ciemnościach, był przekonany, że usłyszy silnik nadjeżdżającego samochodu, zanim przednie reflektory oświetlą pobocze, ale auto prowadzone przez Claire Bardin – mieszkającą we Francji Irlandkę, która przyjechała do domu na święta – pojawiło się znikąd. Kobieta nagle wyjechała zza zakrętu, a on bezmyślnie spojrzał prosto w snop światła. W tamtym momencie poczuł zimny powiew. Po upływie sekundy znowu stał w ciemności, spięty

i zdeterminowany, w jego organizmie buzowała adrenalina.

Szkic był zaskakująco trafny, mimo że Bardin nie spotkała się z policyjnym rysownikiem w noc zdarzenia. Pojawiła się w komisariacie Garda pół roku później, przy okazji przyjazdu do Cork na ślub siostry. Przeczytała artykuł w gazecie o ataku i zdała sobie sprawę, że data i miejsce zgadzają się z dziwnym spotkaniem z mężczyzną na poboczu.

Dzień po tym, jak zobaczył portret w gazecie, Jim zaczął treningi na basenie, dzięki czemu jego twarz wyszczuplała, wyostrzyła się linia szczęki i uwydatniły kości policzkowe.

Ale te cholerne oczy i uszy. Szczególnie oczy. Nie zmieniały się wraz z intensywnymi treningami i wiekiem. Nawet operacja plastyczna nie mogła zmienić ich umiejscowienia w czaszce, rozstawu czy innych cech charakterystycznych.

A Claire Bardin bardzo dobrze je zapamiętała.

Powrót do terażniejszości. Steve zmarszczył brwi, wpatrując się w szkic.

– Wracaj do pracy, Jim. – Zamknął książkę i wsadził ją pod pachę. – Idę na przerwę. Nie chcę więcej widzieć, jak się objasz.

Jim nie był w stanie myśleć o niczym innym, odkąd dowiedział się o istnieniu książki. Czuł się tak, jakby wokół niego płonął pierścień ognia, który z każdą mijającą sekundą zbliżał się, grożąc spaleniem go warstwa po warstwie. Najpierw ubranie, potem skóra, by w końcu pozbawić Jima życia. Jeśli ogień go dosięgnie, pozostanie po nim jedynie popiół i wszystkie sekrety wyjdą na jaw.

Musiał ugasić ogień. Natychmiast.

Ale o co tak naprawdę chodziło? Czym była ta książka? Dlaczego Evelyn ją napisała i dlaczego właśnie teraz? W życiu Jima nic się nie zmieniło. Nikt nie zapukał do drzwi jego domu. Jeśli chciała ustalić tożsamość mordercy, to Jim już znał zakończenie: nie udało się jej.

Tyle że jemu to nie wystarczało. Musiał wiedzieć, czym Eve Black zapełniła strony swojej książki, co robiła przez te osiemnaście lat, odkąd widział ją po raz ostatni, gdy stała u szczytu schodów, i co powiedziała światu o tamtej nocy.

Kiedy jedna z kasjerek zapytała go, czy wszystko w porządku – był zarumieniony, pocił się i jej zdaniem wyglądał na chorego – Jim dostrzegł dla siebie szansę. Przekazał Steve'owi przez krótkofalówkę, że wraca do domu z powodów zdrowotnych i od razu się rozłączył, nie dając przełożonemu okazji do zrzędzenia. Odbił kartę ewidencji czasu pracy i szybkim krokiem ruszył do samochodu na parking dla pracowników.

Ale nie wrócił do domu. Pojechał do miasta.

Na Patrick Street znajdowała się księgarnia sieci Waterstones. Odwiedził ją może dwa razy, ale pamiętał, że była duża, a budynek, w którym się mieściła, ciągnął się aż do Paul Street.

Choć Jim nie czuł zagrożenia, nie chciał przyciągać niepotrzebnej uwagi. Nie ryzykowałby kupna książki w centrum handlowym, gdzie pracował, ani w małej księgarni, w której sprzedawca prawdopodobnie pamięta każdego klienta i to, co kupił. Zakup internetowy pozostawiłby ślad i trzeba byłoby poczekać na dostawę.

A Jim potrzebował książki natychmiast.

Zatrzymał się na wielopoziomowym parkingu na Paul Street i podszedł do tylnego wejścia księgarni. Miał na sobie płaszcz, żeby ukryć mundur ochroniarza. Gdy zamknął za sobą drzwi, szum ulicy ucichł, a on został owinięty kokonem ciszy panującej w pomieszczeniu.

W środku było trzech, czterech klientów i facet w T-shircie, który układał książki na regale w rogu. Zbyt cicho. Nie grało nawet radio.

Jim powoli, ale z determinacją, ruszył na front sklepu. Starał się wyglądać jak typowy klient. Tu podniósł książkę, tam podziwiał okładkę, czytał teksty na odwrocie, odkładał na półkę. Zatrzymał się, żeby sprawdzić ofertę specjalną. W końcu przejrzał pudełko z wielkim napisem **OSTATNIA SZANSA NA ZAKUP**.

Mężczyznę bez twarzy znalazł przy głównym wejściu.

Egzemplarze leżały na oddzielnym stole, ustawione po kilka w stosy, które tworzyły półkole. Jeden egzemplarz stał pośrodku na szklanej podstawce. Odręczny napis na kartce głosił: „Historia najsłynniejszej zbrodni w Cork, opowiedziana przez jedyną ocalałą”.

Jim chwycił książkę i położył dłoń na okładce, jakby chciał poczuć, jaki wpływ na jego przyszłość będzie miała ta powieść.

Czy opisywała te wszystkie złe rzeczy, które zrobił, te wszystkie złe rzeczy, które potem zostawił za sobą? Stanowiła dla niego pewnego rodzaju zagrożenie, owszem, ale pomysł przeczytania jej, przypomnienia sobie dni chwały...

Cóż to by była za wspaniała rozrywka.

– Właśnie dzisiaj przyszła. – Po drugiej stronie stolika, metr przed Jimem, stał szeroko uśmiechnięty mężczyzna po czterdziestce, ubrany na luzie. Plakietka informowała, że ma na imię Kevin. – Nawiasem mówiąc, świetna lektura, jeśli ma się mocne nerwy. Niesamowite, że to

wszystko wydarzyło się w tym mieście.

– Już pan przeczytał? – zapytał Jim.

– Tak, skończyłem parę miesięcy temu. Dostajemy egzemplarze sygnałne.

– I co? Odnalazła mordercę?

– Cóż, i tak, i nie. Trudno powiedzieć...

Wcale nie. Jim wciąż był na wolności, wciąż nikt go nie rozpoznał. Zastanawiał się, czy nie poprosić Kevina o rozwinięcie tematu, ale doszedł do wniosku, że ich rozmowa już trwała dłużej, niż powinna. W tym momencie do księgarni weszły dwie nastolatki w szkolnych mundurkach, przyciągając uwagę sprzedawcy głośnym śmiechem i rozmową. Jim skorzystał z okazji, wziął egzemplarz i odszedł.

Kasa znajdowała się pośrodku sklepu. Po drodze Jim wziął kolejną książkę mniej więcej tego samego formatu, co *Mężczyzna bez twarzy*. Okładka przedstawiała rząd różnokolorowych plażowych domków pod błękitnym niebem. Przy kasie chwycił też pierwszą z brzegu kartkę z napisem WSZYSTKIEGO NAJLEPSZEGO.

Kasjerka była młoda, pretensjonalna, typ studentki. Taka, która dokładnie przygląda się każdej pozycji, zanim zeskanuje kod kreskowy.

– Dość przypadkowy wybór – powiedziała cierpko.

Nie wtykaj nosa w nie swoje sprawy, miał ochotę odwarknąć Jim.

– Cóż, nie jestem pewien, co przypadnie do gustu mojej żonie. Ma urodziny – odpowiedział.

– Dlatego... – Dziewczyna spojrzała na dwie całkowicie różniące się od siebie okładki – woli się pan zabezpieczyć?

– Coś w tym stylu.

– Mogę pomóc panu coś wybrać...

– Nie, dziękuję. Pozostanę przy tych dwóch pozycjach.

Planował wyjść tymi samymi drzwiami, którymi wszedł, ale teraz stał przy nich Kevin i porządkował regały, więc Jim odwrócił się na pięcie i ruszył w stronę głównego wyjścia.

Opuszczając księgarnię, zauważył, że cała witryna jest wypełniona egzemplarzami *Mężczyzny bez twarzy*.

Za nimi, na czerwonej filcowej tablicy, przypięto wycinki ze starych gazet.

„Potworne morderstwo w Blackrock”.

„Garda prowadzi specjalną operację, żeby schwytać Mężczyznę bez twarzy”.

„Czteroosobowa rodzina zamordowana w szaleńczym ataku na Passage West”.

Ostatni nagłówek zawierał błąd. Prawdopodobnie pochodził z porannego wydania gazety, gdy informacje dotyczące oględzin domu na Bally's Line były w stanie równie totalnego chaosu jak samo miejsce zbrodni.

W tamtym domu zginęły trzy osoby.

Dlatego teraz pojawił się problem.

Po dotarciu na parking Jim wsiadł do samochodu i zamknął drzwi. Celowo zatrzymał się w odległym rogu, z dala od wind, automatów płatniczych i największego ruchu. Wyciągnął z torby obie książki i zamienił obwoluty.

Tak na wszelki wypadek.

Otworzył *Mężczyznę bez twarzy* i znalazł fragment, na którym przerwał mu Steve.

Rozsiadł się wygodnie i zaczął czytać.

W każdy weekend, przerwę świąteczną czy wakacje wracałam do Spanish Point, do życia z Bunią, tak jak wraca się do własnego łóżka po ciężkim dniu. Staralam się nie myśleć o jej szarzejącej skórze, coraz głębszych zmarszczkach i drżącym głosie oraz o wielu innych rzeczach, które mnie przytłaczały.

Babcia zmarła we śnie, w święto Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny w 2010 roku, w wieku osiemdziesięciu czterech lat. Pamiętam, jak znalazłam ją rano. Zimna skóra przedramienia od razu zdradziła, że nie było już sensu wzywać pomocy. Wspomnienia z następnych tygodni to fragmentaryczne obrazy.

Nigdy tak naprawdę nie opłakiwałam śmierci rodziców i siostry, a przynajmniej nie w taki sposób, który pozwala przepracować ból i ruszyć naprzód, mimo jego odczuwania. W tamtym okresie opłakiwałam całą czwórkę. Było tak, jakby płyty tektoniczne mojego życia przesunęły się, tworząc głęboką otchłań, do której wpadły wszystkie uczucia związane z żałobą. Zostałam sama z całej rodziny i traciłam grunt pod nogami. Problem polegał na tym, że nauczyłam się tak dobrze udawać, że nikt tego nie dostrzegął.

Skończyłam studia z doskonałymi wynikami. Kolega z uczelni stał się moim chłopakiem, chociaż nie pamiętam, jak do tego doszło. Co więcej, praktycznie nic o mnie nie wiedział. Mnóstwo czasu spędzałam na spotkaniach w zbyt oświetlonych gabinetach z zakurzonymi żaluzjami, podpisując podsuwane mi raz za razem dokumenty z przyklejonymi do nich małymi kolorowymi znacznikami, zupełnie niepasującymi do mojego ponurego zadania: przejmowania własności moich bliskich, ponieważ ich przeżyłam.

Tłumiłam wszystko w sobie i po jakimś czasie te uczucia przestały mnie paraliżować.

Miałam wtedy dwadzieścia jeden lat.

Po skończeniu college'u byłam zagubiona. Studiowanie polegało na odhaczaniu z listy kolejnych zadań, podobnie jak podczas robienia zakupów. Iść na zajęcia. Ukończyć projekt. Przygotować się do egzaminu. Przez cztery lata wszystko, co musiałam robić, to posuwać się naprzód w nauce. Teraz trzeba było samemu wyznaczać własne cele i okazało się, że sobie z tym nie radzę. W ciągu następnych sześciu mrocznych miesięcy całkowicie się rozpadłam. Udawałam, że istnieję. Straciłam chłopaka, kilku ostatnich przyjaciół i za dużo kilogramów. Dokładnie w tej kolejności. Funkcjonowałam niczym zepsuta wskazówka kompasu, która nie potrafi poprawnie wskazać odpowiedniego kierunku. Cóż, prawdę mówiąc, nawet nie starałam się go odnaleźć. Zdecydowanie łatwiej było nie patrzeć, odpuścić i pozwolić sobie zejść na dno. Zresztą dokąd miałam podążać, skoro straciłam całą rodzinę?

Szybka sprzedaż domu babci w Cork sprawiła, że nie ciążyła na mnie presja finansowa. W związku z tym, gdy moi koledzy z kierunku podejmowali pierwsze ekscytujące prace i dostawali się na staże, ja wynajmowałam górnianą kawalerkę przy Mountjoy Square i egzystowałam. Moje życie stało się tak miłątkie, że sąsiedzi nie mieli okazji mnie poznać. W nocy nie spałam, a w ciągu dnia snułam się bez życia. Nawet nie wiem, na czym mijały mi godziny, czas po prostu płynął, a ja nie miałam nic, żadnych wspomnień.

Po miesiącach takiego impasu nie mogłam już wypierać myśli, że na mój umysł wpływa coś więcej niż tylko żal po stracie. Poszłam do lekarza, który wysłał mnie do terapeutki, ale nie mogłam się zmusić, żeby wyznać jej prawdziwy powód mojego cierpienia. Każdego tygodnia mówiłam tylko tyle, żeby wypisała mi kolejną receptę. Nie byłam pewna, czy pigułki działają, a jednocześnie bałam się, że mają na mnie wpływ. Mimo wszystko nie chciałam dowiedzieć się, czy to, co wydawało się dnem, tak naprawdę było nim zaledwie w połowie, więc kontynuowałam terapię i brałam leki z nadzieją, że poczuję się lepiej.

I rzeczywiście w końcu coś zaczęło się zmieniać.

Przesypiałam noce, co przywróciło ostrość moim dniom. A to sprawiło, że w ciągu dnia

byłam niespokojna, roztrzęsiona, ale nie miałam z kim się spotykać i dokąd pójść. Dlatego zaczęłam regularnie spacerować po ścieżkach okalających Zatokę Dublińską. Zazwyczaj wychodziłam około ósmej rano i przebijałam się przez tłum ludzi zmierzających do centrum. Po pewnym czasie tłum się przerzedzał, a ja czułam się wolna, wpatrując się w promienie wschodzącego słońca, odbijające się od tafli wody tuż pod moimi stopami. Moja trasa prowadziła zwykle na północ miasta, wzdłuż brzegu, do dzielnicy Clontarf, ale czasami szłam aż do Howth Head, a potem kierowałam się na południe i spacerowałam w pobliżu rzeki, kończąc podróż wiele godzin od startu w Dao Laoghaire na przedmieściach Dublina. Tam wsiadałam do autobusu numer 46A i przesyłałam całą drogę powrotną.

W ponure i deszczowe dni nie miałam ochoty na spacer, więc musiałam znaleźć ciepłe i suche miejsce, do którego mogłabym pójść, byle tylko nie siedzieć w mieszkaniu. Padło na bibliotekę, największą, jaką udało mi się znaleźć, w samym centrum miasta. Przewijało się przez nią wystarczająco dużo ludzi, żeby czuć się anonimowo i poruszać wśród nich niezauważona, o ile nie niewidoczna. Siadałam w kącie i wiele razy przebiegałam wzrokiem tę samą stronę książki przy akompaniamencie kropli deszczu uderzających o szyby, które parowały od ciepłych oddechów czytelników. Po jakimś czasie potrafiłam już zatracić się w książce, którą wcześniej traktowałam jak rekwizyt. Znowu mogłam się skupić. Wkrótce zaczęłam wypożyczać książki do domu, żeby czytać je wieczorami lub zabierać ze sobą na spacer. Potem zainteresowałam się gotowaniem: przygotowywałam łatwe, pełnowartościowe posiłki. W końcu zadbałam o siebie i o przestrzeń, w której żyłam. Nie zdawałam sobie z tego sprawy, ale robiłam dokładnie to, co kiedyś pokazała mi Bunia: prowadziłam proste, ciche życie, które pomagało zaleczyć rany. Wtedy, na Spanish Point, myślałam, że się ukrywamy.

Nie jestem w stanie stwierdzić, kiedy mgła w mojej głowie zniknęła na dobre, ale gdy to się stało, natychmiast kupiłam notatnik i zestaw ołówków, ponieważ doskonale wiedziałam, co należy zrobić: wykorzystać szansę.

Jeśli wydaje ci się, że już czytałeś te słowa, to prawdopodobnie masz rację i wiesz, co zrobiłam później.

We wrześniu 2014 roku rozpoczęłam studia magisterskie na kierunku pisanie twórcze na John's College w Dublinie. Wybrałam ten uniwersytet nie tylko dlatego, że dziekanat zaakceptował mój wniosek, ale również z powodu potwornej zbrodni, której widmo ciążyło na kampusie. Kilka lat wcześniej na ścieżce biegnącej wzdłuż Wielkiego Kanału zaatakowano pięć studentek pierwszego roku, które wracały do akademika po nocnym wypadzie na miasto. Pozostawiono je nieprzytomne w wodzie i utonęły. Mężczyzna bez twarzy rzeczywiście przez jakiś czas pojawiał się na nagłówkach gazet, ale to Zabójca z kanału był na ustach wszystkich i to o nim powstawały filmy dokumentalne, blogi i ostatnio, wiele lat po tych wydarzeniach, podcasty. (Niedawno okazało się, że morderca ponownie działa. Zabił trzy osoby związane z St John's, a w momencie pisania tej książki kraj obiegrała wiadomość o kolejnej próbie morderstwa). Wysłałam z założenia, że to jedyny uniwersytet w Irlandii, który już zмага się z demonem, o wiele bardziej osławionym niż ten nawiedzający mnie. Miałam nadzieję, że nikt nie będzie zwracał na mnie uwagi i pytał, czy jestem „Dziewczyną, która mieszkała w miejscu, gdzie...”.

Od zawsze chciałam pisać. Nie wiedziałam co, w jakim stylu i dla kogo, ale odkąd wyrwałam się z mroku, myślałam o tym coraz intensywniej i w końcu podjęłam decyzję: nauczę się to robić i coś stworzę. Po głowie chodziła mi myśl o mrocznej i pokręconej powieści napisanej pod pseudonimem, dzięki czemu mogłabym anonimowo przelać swoje cierpienie na papier. Co prawda, ta ścieżka kariery była najeżona niebezpieczeństwami, ale byłam silniejsza i gotowa, żeby znowu udawać. Bo przecież na tym polega fikcja literacka, prawda?

No cóż, nie według naszego wykładowcy, popularnego pisarza Jonathana Eglina, którego

debiutancką powieść *Esencjalista* nominowano do nagrody Bookera. Powiedział nam to na pierwszych zajęciach. Fikcja literacka działa tylko wtedy, gdy jest skonstruowana jak krata, zza której padają promienie prawdy absolutnej. To miał być nasz cel, niezależnie od tego, jaki gatunek literacki wybierzemy. Przez następne miesiące zdierał z nas maski i budowane przez lata poczucie własnej tożsamości, dopóki nie staliśmy się całkowicie nadzy i nie zaczęliśmy przelewać własnych odczuć prosto na papier.

Broniłam się tak długo, jak mogłam. W tamtym momencie byłam przekonana, że jeśli tylko napiszę słowa, które przeczytaliście we wstępie tej książki: „Miałam dwanaście lat, kiedy pewien mężczyzna włamał się do naszego domu i zamordował moją matkę, ojca i siostrę Annę, która już na zawsze pozostanie siedmiolatką”, stracę resztki gruntu pod nogami i nigdy nie wrócę z czeluści. Dlatego pisałam krótkie opowiadania o szczęśliwych i kochających się rodzinach. Pocieszał mnie sam proces tworzenia tych rodzin. Czułam się tak, jakbym podczas pisania odwiedzała ich i sprawdzała, jak się miewają.

Zbliżał się termin oddania prac. Zdałam sobie z tego sprawę dzień przed, po południu. Ogarnęło mnie wielkie przerażenie: na następny rano musiałam napisać dwa tysiące słów na ocenę i kompletnie o tym zapomniałam. Siedziałam w bibliotece do późnych godzin wieczornych, ale tylko wpatrywałam się w migający kursor na ekranie. Niezależnie od tego, jak bardzo próbowałam, słowa po prostu nie chciały przyjść mi do głowy. W końcu wróciłam do domu ciemnymi, mokrymi ulicami i zaszyłam się w sypialni, wpatrując się bezradnie w pustą, białą przestrzeń na ekranie.

Wybiła północ i zegar na wyświetlaczu pokazał nową datę: 21 marca. Urodziny Anny. Kończyłaby dwadzieścia jeden lat.

W tym momencie słowa same przyszły do głowy. Zdecydowałam, że napiszę właśnie o niej, zmieniając imiona. Nie był to najlepszy pomysł, ale w tamtej chwili martwiłam się jedynie o to, żeby wyjść z twórczego impasu. Zaczęłam pisać. „Miałam dwanaście lat, kiedy pewien mężczyzna włamał się do naszego domu i zamordował moją matkę, ojca i siostrę Annę, która już na zawsze pozostanie siedmiolatką...”.

Eglin nie dał się nabrać. Mój tekst miał w sobie to coś, pewną surowość, której w żadnych z moich poprzednich prac nie było. Wysłałam mu pracę wczesnym rankiem, a pół godziny potem dostałam mejl z prośbą o przyjście do jego biura, kiedy tylko dotrę na uczelnię. Idąc korytarzem wydziału sztuki, przygotowywałam się na to, że zaprzeczę wszystkiemu, ale Eglin nawet nie zapytał. Znał prawdę.

I namawiał mnie na publikację tekstu.

Pamiętam, że nie wiedziałam, od czego zacząć, jak powiedzieć, dlaczego to nigdy się nie wydarzy.

– Eve, mogłabyś pomóc go złapać – rzekł bardzo cicho profesor.

Te słowa zmieniły wszystko.

Miałam wrażenie, że rzucam się z klifu. W noc przed tym, zanim moja praca ujrzała światło dzienne, śniłam o Annie wypełzającej z morza niczym hiszpańscy marynarze, których wyobrażałam sobie, będąc dzieckiem. Wyglądała jak banshee¹. Szła w moją stronę ze szponiastymi, gnijącymi palcami. Jej blond włosy były rozczochrane i splątane przez wodorosty. Krzyczała, że jej nie ochroniłam. Wtedy zrozumiałam, że chronienie samej siebie oznacza też chronienie mordercy. Nie zdołam zwrócić życia członkom mojej rodziny, ale może uda mi się sprawić, że zabójca zapłaci za to, że mi ich odebrał.

Mój tekst ukazał się na stronie internetowej „Irish Timesa” o czwartej rano ostatniego dnia maja 2015 roku. Wersja drukowana wyszła tego samego ranka kilka godzin później. Wieczorem byłam już na ustach wszystkich. Zaczęło się od mediów społecznościowych. Na kilku

popularnych kontaktach pojawił się link do mojej pracy. Potem udostępniali go już sami obserwujący. Sięgnęła po niego również gazeta z Wielkiej Brytanii, a potem miesięcznik ze Stanów Zjednoczonych. Wyglądało na to, że cały świat zastanawiał się, co się stało z dziewczyną, która przeżyła najbrutalniejszy i ostatni atak Mężczyzny bez twarzy. A opinia publiczna łaknęła coraz więcej.

Nieustraszeni dziennikarze znaleźli moje dane kontaktowe na portalu studenckim, więc posypały się zaproszenia do udziału w audycjach radiowych i programach telewizyjnych. Nie byłam jeszcze gotowa na opowiadanie w programach na żywo o tym, co się stało, ale chciałam jakoś wykorzystać tę szansę. Eglin skontaktował mnie ze swoją redaktorką z Iveagh Press, która zachęciła mnie do rozwinięcia artykułu w książkę. Powiedziała, że jeśli to zrobię, opublikuje ją. To właśnie tę książkę trzymacie teraz w dłoniach.

Jeszcze kilka tygodni wcześniej napisanie książki o historii mojej rodziny byłoby zupełnie nie do pomyślenia, ale gdy praca ujrzała światło dzienne, coś się we mnie zmieniło.

W ciągu kilku godzin od publikacji w internecie pojawiły się artykuły na temat mojego tekstu. Dostawałam do nich linki od kolegów z roku. Byli podekscytowani, że jedno z nich narobiło takiego szumu słowem pisanym i jak się zdawało nieświadomi mojego bólu, kryjącego się za całą tą historią. Na początku wszystko ignorowałam. Konsekwentnie unikałam czytania cokolwiek o sprawie Mężczyzny bez twarzy. Przez lata, które upłynęły od tamtej nocy, nigdy nie wchodziłam w temat głębiej niż ogólny zarys tego, co zrobił mojej rodzinie i już to wydawało się okropne. Nie chciałam, żeby niewyraźne kształty ofiar wyostrzyły się, bo nie byłabym w stanie wyrzucić ich obrazu z głowy.

Ale w końcu ciekawość wzięła górę. Klikałam w linki i przeglądałam artykuły, szybko je przewijając.

Zatrzymało mnie mrozące krew w żyłach zdanie w czwartym lub piątym artykule.

„Pod jedną z poduszek na kanapie znaleziono linę i nóż”.

Przewinęłam na dół i przeczytałam cały akapit od początku. Dwa tygodnie wcześniej Gardaí pojawili się w kompleksie apartamentowców, ponieważ jedna z lokatorek, samotnie mieszkająca kobieta, znalazła linę i nóż pod poduszką na kanapie w swoim salonie. Odkryła je podczas cotygodniowego odkurzania. Według jej relacji wcześniej tych rzeczy tam nie było i o ile jej wiadomo, nikt obcy nie przebywał u niej w mieszkaniu w ciągu ostatniego tygodnia. Natychmiast powiadomiła o znalezisku najbliższy komisariat. Funkcjonariusze doszli do wniosku, że te rzeczy pozostawił Mężczyzna bez twarzy, przygotowując się do zbrodni.

Krew zaszumiała mi w uszach, bo ja też pewnego razu znalazłam linę i nóż pod poduszką na kanapie.

Nikommu o tym nie powiedziałam.

Odkryłam je na krótko przed atakiem, może kilka dni wcześniej. Opiekowałam się Anną przez pół godziny, bo mama wyszła zrobić zakupy. Siostra namówiła mnie, żebyśmy zagrały w grę. Nie do końca pamiętam, o co w niej chodziło, ale musiałyśmy ułożyć na podłodze stos z poduszek. Kiedy podniosłam ostatnią z kanapy, wśród zagubionych gumek do włosów, okruszków herbatników i lepjących się miedziaków zobaczyłam plecioną niebieską linę, zawiązaną błyszczącą taśmą i nóż mniej więcej długości książki w twardej oprawie, z grubą, plastikową, żółtą rękojeścią, przypominający zabawki marki Fisher Price. Ostrze było ząbkowane i wyglądało na starannie wyczyszczone lub w ogóle nieużywane.

Nie zastanawiałam się, co tam robią. Moja matka miała zwyczaj składowania rzeczy pod poduszkami – głównie korespondencję i rachunki, które chciała ukryć przed moim ojcem, ale też jakieś dziwne czasopismo lub robótki na drutach – dlatego nie wydało mi się to specjalnie niezwykłe. Jednak zdawałam sobie sprawę z potencjalnego zagrożenia, jakie stanowi nóż, więc

powiedziałam Annie, że kończymy grę.

Kilka dni później, kiedy zobaczyłam tę samą niebieską linę zawiązaną wokół nadgarstków i kostek mojego ojca, gdy leżał połamany u podnóża schodów, pomyślałam, że zabójca użył rzeczy należących do taty. Nie przyszło mi do głowy, że Mężczyzna bez twarzy pojawił się w naszym domu przed atakiem i schował je pod poduszką, co stanowiło część jego przygotowań do zbrodni. Po napaści Gardaí przesłuchali mnie tylko raz. Podczas rozmowy ciągle płakałam i mogłam wydusić z siebie zaledwie pojedyncze słowa. Nikt nie pytał o linę, a ja miałam dwanaście lat i byłam w szoku, więc nie przyszło mi do głowy, żeby skojarzyć te dwa wydarzenia. W pewnym momencie zupełnie o tym zapomniałam.

Nagła świadomość, że mogłam zapobiec tragedii, gdybym tylko powiedziała komuś o nożu i linie, była nie do zniesienia. To tak jakby ogromne ciśnienie miażdżyło mi płuca i ponownie rozrywało serce na kawałki. Nigdy nie doświadczyłam większego bólu, nawet po samym ataku. W tamtej chwili zrozumiałam, że to nie musiało się wydarzyć.

Ale dostrzegłam jedną pozytywną rzecz: w śledztwie w sprawie Mężczyzny bez twarzy właśnie pojawiła się nowa poszlaka.

W noc morderstwa nie był w naszym domu po raz pierwszy. Był tam już wcześniej, może kilkakrotnie. Może ktoś widział mordercę? Potrafiłabym opisać nóż. Co jeśli jest charakterystyczny albo można go kupić tylko w niektórych miejscach? Czy to pomogłoby ująć zabójcę? Mimo że minęło prawie dwadzieścia lat?

Jakie jeszcze przydatne informacje kryły się w czeluściach mojego umysłu? Może ocalały inne ofiary? Co z DNA i medycyną sądową? Nastąpił ogromny postęp w nauce. Może warto wznowić śledztwo w sprawie Mężczyzny bez twarzy?

Co jeśli udałoby się ustalić jego tożsamość?

Co jeśli ja ustaliłabym jego tożsamość?

Zapytaj mnie raz jeszcze, czy „jestem tą dziewczyną, która...?”. Tym razem powiem ci prawdę: już nie.

Kiedyś byłam dziewczyną, która przeżyła atak Mężczyzny bez twarzy.

Teraz jestem kobietą, która go schwyta.

— I —

Z ciemności

CHOMIKO_WARNIA

Prawdziwe życie

Przed wydarzeniami z czwartego października 2001 roku nasza rodzina miała już do czynienia z przestępstwami, co stało się za sprawą pewnego pakunku, który sama wniosłam do środka.

Rok wcześniej dostałam na święta przenośny telewizor z wbudowanym magnetowidem. Moja matka niechętnie przystała na ten pomysł i to pod warunkiem, że sprzęt nie będzie podłączony do żadnych kanałów telewizyjnych, toteż mogłam oglądać jedynie nagrania z kaset wideo. (Jestem przekonana, że mama wzięła pod uwagę również fakt, że nie będzie musiała wysłuchiwać mojego narzekania na temat tego, co leci w telewizji w salonie). W domu, gdzie znajdowały się takie technologiczne cuda, jak kompletnie nieporęczny i uruchamiający się dobre pół godziny laptop, połączenie z siecią za pośrednictwem modemu telefonicznego oraz faks, którego ojciec używał do pracy, atrakcja w postaci telewizora we własnym pokoju była porównywalna z lądowaniem obcych w ogródku za domem. Za każdym razem, gdy włączałam sprzęt, jego moc rozchodziła się po całym pokoju wraz z charakterystycznym szumem, powodując u mnie nie lada ekscytację. Wydawało mi się, że mam nieskończone możliwości. Siedząc przed ekranem z pilotem w jednej dłoni i czymś słodkim w drugiej, czułam się najszcześliwsza na świecie – dopóki nie obejrzałam wszystkich kaset.

Nasza domowa kolekcja była typowa: filmy Disneya, nagrane programy telewizyjne i kilka sezonów *Przyjaciół*, kupionych na wyprzedających. Dlatego po szybkim wyczerpaniu się repertuaru przystąpiłam do negocjacji z tatą: będę mogła korzystać z konta rodziców w lokalnej wypożyczalni, pod warunkiem, że zobowiązę się płacić za kasety i oddawać je na czas. Szybko zrozumiałam, że jeśli chcę oglądać więcej wypożyczanych materiałów – na które przeznaczałam trzy z pięciu funtów kieszonkowego – muszę unikać nowości i przeszukiwać półki z napisem Z ŻYCIA WZIĘTE, znajdujące się na tyłach wypożyczalni. Okładki kaset w tym dziale zazwyczaj były czarne lub ciemnoniebieskie, a ze złowrogich czerwonych tytułów dla większego efektu kapąła krew.

Były to nakręcone na zlecenie amerykańskiej telewizji filmy oparte na prawdziwych zbrodniach popełnionych w Stanach i z jakiegoś powodu można je było wypożyczyć w Irlandii. Niskobudżetowe, z drętowymi dialogami i fabułą dość znacząco mijającą się z prawdą. Kiedy pierwszy raz natrafiłam na nie wiosną 2001 roku, większość miała już ponad dziesięć lat, a sprawy, których dotyczyły, wydarzyły się jeszcze wcześniej. Ale wypożyczenie dwóch takich pozycji na tydzień kosztowało tyle samo, co jednej nowości na dobę. Wybór był prosty, a ja szybko wciągnęłam się w te filmy.

Morderstwo w Beverly Hills przedstawiało historię braci Menendez, którzy zastrzelili swoich rodziców. Twierdzili, że ojciec się nad nimi znęcał, ale prokurator utrzymywał, że zrobili to dla spadku. *Oblężenie Waco* nakręcono na podstawie historii przeprowadzonego w Teksasie nalotu na siedzibę sekty religijnej, w której wyniku zginęło czterech agentów federalnych i sześćdziesięcioro siedmioro członków sekty o nazwie Gałąź Dawidowa. W *Niewinnych ofiarach* Diane Downs, grana przez Farrah Fawcett, zatrzymuje samochód na opustoszałej wiejskiej drodze i strzela do trójki swoich dzieci, po czym jedzie do najbliższego szpitala i cały czas utrzymuje, że zrobił to nieznanym, kudłaty mężczyzną. W *Historii Amy Fisher* szesnastolatka – grana przez nastoletnią i ognistowłosą Drew Barrymore – z Long Island o przydomku Lolita, którego wtedy kompletnie nie rozumiałam, najpierw wplątuje się w romans z trzydziestopięcioletnim

Joeyem Buttafoco, a potem próbuje zabić żonę kochanka, strzelając jej w głowę.

Gdybym miała wybrać mój ulubiony film tego typu, to pewnie postawiłabym na *Ofiarę piękną: historię Dawn Smith*. Shari, siedemnastoletnia siostra tytułowej bohaterki, zostaje porwana w biały dzień sprzed podjazdu swojego domu w maju 1985 roku przez Larry'ego Gene'a Bella, a potem zamordowana. Opowieść toczy się wokół Dawn, blondynki o niebieskich oczach, biorącej udział w konkursie piękności (w tej roli znana ze *Star Trek: Voyager*, Jeri Ryan) i obsesji Bella na jej punkcie. Fabuła obejmuje okres dwudziestu ośmiu dni, od zniknięcia Shari do schwytania Bella.

Nie wszystkie filmy dotyczyły morderstw. Jak przez mgłę pamiętam historię pewnej młodej pary z dzieckiem, która wybrała się w góry, a ich samochód został zasypany śniegiem, przez co musieli schronić się w jaskini, żeby przeżyć, i jeszcze jeden o dwóch blondynkach przypadkowo zamienionych w szpitalu po narodzinach, które dowiadują się o tym, będąc nastolatkami. Ale to tylko wyjątki potwierdzające regułę. W moim pokoju królowały kryminały.

Prawdopodobnie nie były to filmy odpowiednie dla dwunastolatki, lecz w tamtym czasie kompletnie mnie to nie obchodziło i zakładałam, że rodzice o niczym nie wiedzą. Ogólna zasada panująca w moim domu była taka: Dopóki nic nie mówisz, nikt nie będzie ciągnął cię za język. Na swoje usprawiedliwienie mogę powiedzieć, że w dzisiejszych czasach dzieci z łatwością mogą ukryć to, co oglądają, biorąc pod uwagę wielkość smartfona, który można szybko schować. Co do wpływu, jaki miało na mnie oglądanie takich filmów w młodym wieku, mogłabym ponuro stwierdzić, że przygotowały mnie do pokazu na żywo. Nic poza tym.

Zdawałam sobie sprawę, że wydarzenia, które oglądałam na swoim małym telewizorze, w jakimś stopniu oddają rzeczywistość, ale nie była to moja rzeczywistość. Żyłam w Irlandii na przełomie dwudziestego i dwudziestego pierwszego wieku. Policja nie nosiła przy sobie broni palnej. W kraju nigdy nie grasował seryjny morderca, definiowany przez FBI jako osoba, która popełniła przynajmniej trzy morderstwa na przestrzeni miesiąca lub dłużej, z wyraźnym okresem „ochłonięcia” między nimi. Tutaj niemal wszystkie morderstwa miały związek z terroryzmem lub półświatkiem. Ryzyko stania się przypadkowym celem było wyjątkowo niskie, a może nawet zerowe. (W popularnym podcaście West Cork, w którym omawiane jest jedno z najgłośniejszych nierozwiązanych morderstw popełnionych w Irlandii – śmierć Francuzki Sophie Toscan du Plantier w 1996 roku – prowadzący Jennifer Forde i Sam Bungle podają, że dla miejscowych słowo „morderstwo” jest synonimem tej sprawy, ponieważ w okolicy nigdy nie wydarzyło się nic podobnego). Poza tym doskonale wiedziałam, w jaki sposób unikać złych ludzi. W każdym filmie powtarzały się te same ostrzeżenia. Po zmroku nie wracaj do domu sama. Odmawiaj podwiezienia przez nieznajomych. Bądź grzeczną dziewczynką.

Byłam grzeczną dziewczynką i spędzałam czas bezpiecznie z rodziną w domu za zamkniętymi drzwiami i zaciągniętymi zasłonami.

Jak dowiadujemy się czegoś o swoich rodzicach? Niedawno zadałam to pytanie znajomym. Ich odpowiedzi zazwyczaj wpasowywały się w jeden z dwóch schematów: zbierali informacje od innych ludzi, na przykład krewnych lub znajomych rodziców, albo sami rodzice dzielili się z nimi opowieściami z przeszłości. To drugie nabierało intensywności wraz z upływem czasu, co oczywiste. Starszym dzieciom można powiedzieć więcej. Powinam też dodać, że ci znajomi mają dorosłe już rodzeństwo, wujków, ciocie i, jak każda szanująca się katolicka rodzina w Irlandii, kuzynów, z którymi mogą dzielić się historiami. Zdobywali przyjaciół przez całe życie, podobnie jak ich rodzice. Włączali do grona znajomych osoby znajdujące się w ich otoczeniu, jak choćby dziewczyna, która mieszkała obok ich rodzinnego domu, czy kolega z pracy. Jedna z koleżanek powiedziała mi, że większość z tego, czego dowiedziała się o przedmażeńskim życiu rodziców, pochodziła z komentarzy rzucanych przez babcię ze strony matki – która nigdy

nie przepadała za jej ojcem – na rodzinnych zjazdach, gdy przesadziła z ginem z tonikiem.

Oboje moi rodzice byli jedynakami i zginęli wraz z moją jedyną siostrą, kiedy miałam dwanaście lat. W tym wieku człowieka kompletnie nie interesuje, kim są lub kiedykolwiek byli jego rodzice. Potem została mi tylko babcia, a w tamtym okresie nie śmiałam pytać o moją rodzinę. Smutna prawda jest taka, że niewiele wiem o swoich rodzicach.

Moja matka miała na imię Deirdre. Była niska i szczupła – Anna odziedziczyła po niej figurę. Mama miała włosy w kolorze naturalnego jasnego brązu i zawsze nosiła tę samą fryzurę, nawet przed ślubem: bob do ramion. Pracowała jako ilustratorka. Tworzyła grafiki do podręczników do francuskiego i niemieckiego dla szkół podstawowych, a podczas semestru szkolnego była kelnerką w kawiarni w Carrigaline. Jadąc do pracy, odwoziła nas do szkoły i odbierała w drodze powrotnej. Na podłodze pod tylną kanapą czekały na nas smakołyki z kawiarni – kremowe ciastka, półbagietki czy rożki z owocowym nadzieniem. Mama ubóstwiała słońce i gdy tylko dopisywała pogoda, przesiadywała na leżaku w ogrodzie na tyłach domu, cała wysmarowana olejkiem do opalania. Urodziła się w miasteczku Killorglin w hrabstwie Kerry, nie poszła na studia i niewiele mówiła o swoich rodzicach, którzy zmarli, kiedy była nastolatką. W szkole średniej wyczynowo uprawiała wioślarstwo i zawsze powtarzała, że do tego wróci, tak po prostu, dla ćwiczeń, ale nikt nie traktował jej słów poważnie.

Była bardzo spokojna i prosta. Jeśli ja albo Anna źle się zachowywałyśmy, robiła zakłopotaną minę i wychodziła, żeby dać nam ochłonąć – co następowało dość szybko, ponieważ zostawałyśmy pozbawione publiczności, przed którą mogłybyśmy się popisać. Najlepsza przyjaciółka mamy miała na imię Joan. Poznały się w szkole średniej. Joan była właścicielką restauracji, w której mama pracowała. Nie pamiętam, żeby rodzice chodzili na spotkania osobno. W co drugą sobotę zostawiali nas pod opieką babci i szli na kolację do domu jakiegoś małżeństwa albo załatwiali różne sprawy.

Mama potrafiła być bardzo zabawna. Zawsze miała gotową dowcipną uwagę lub ciętą ripostę, co bardzo kontrastowało z zachowaniem wiecznie poważnego ojca. Robiła i wywoływała mnóstwo zdjęć, ale nie zdążyła zrealizować planu stworzenia albumów tematycznych. Pozostawiła mnie z pudłami pełnymi kopert, wypchanymi zdjęciami w formacie dziesięć na piętnaście, bez podpisów, dat czy miejsc, w których zostały wykonane, dlatego nie jestem w stanie spełnić marzenia mojej matki. Prawie wszystkie fotografie przedstawiają Annę, mnie albo nas dwie.

Mój ojciec miał na imię Ross. Pochodził z dzielnicy Sunday's Well znajdującej się w północnej części miasta Cork, gdzie wznosiły się wielkie domy zwrócone tyłem do rzeki, których właścicielami były zamożne rodziny. Kiedy tata się przeprowadził i ożenił, Bunia sprzedała dom i przenieśli się do Blackrock. Mój dziadek ze strony ojca zmarł na niewydolność serca, zanim się urodziłam, i jak wspominała babcia, „lubił sobie popić”. Tata poznał mamę w pubie i po osiemnastu miesiącach byli już małżeństwem. Zamieszkali w domu na Passage West.

Ojciec był wysoki, miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu. Na zdjęciach zrobionych przez mamę widać, że zaczął łysieć tuż po dwudziestce. Nie do końca rozumiem, czym się zajmował, ale miało to coś wspólnego z chemikaliami i dużą fabryką w Ringaskiddy. Dużo pracował i rzadko uczestniczył w życiu rodzinnym. Razem z siostrą wiedziałyśmy, że nie wolno nam wchodzić do jego biura na parterze. Kiedy myślę o ojcu, do głowy przychodzą mi kartki z oklepanymi życzeniami i banalne katalogi świąteczne, które sklepy rozdają przed Bożym Narodzeniem. Tata mógłby posłużyć im jako wzorzec typowego ojca. Do pracy chodził z teczką. Miał materiałową chusteczkę z inicjałami. Lubił whiskey, oglądał golfa, w samochodzie trzymał płyty z muzyką klasyczną, a jego garderoba składała się z ubrań wykonanych z tweedu w monotonnym brązowym kolorze i z granatowych dzianin.

Kilka tygodni po publikacji mojego artykułu otrzymałam mejl od kobiety, którą będę

nazywać Michelle. Twierdziła, że pracowała z moim ojcem przez wiele lat i że byli dobrymi przyjaciółmi. W wiadomości składającej się z prawie tysiąca słów opisywała ojca jako mężczyznę, którego nigdy nie poznałam: zabawnego, spontanicznego, chętnie udzielającego rad. Podobno podarował Michelle starannie wybrane książki i pozostawiał na jej biurku artykuły, które uznał za interesujące. Kobieta bardzo za nim tęskniła i chciała się ze mną spotkać. Skoro tak łaknęłam informacji o rodzicach, powinnam chwytać się każdej okazji, ale między wierszami wiadomości wyczułam coś subtelnego i zdradliwego, czego nie śmiałam zgłębiać. Tata nigdy nie wspominał jej imienia. Zignorowałam mejl, a Michelle więcej się ze mną nie skontaktowała. Nie zmienia to faktu, że przedstawiła mojego ojca w zupełnie innym świetle i nie bardzo wiedziałam, co zrobić z tą wiedzą.

Z moich obserwacji wynikało, że małżeństwo rodziców opierało się na solidnych fundamentach partnerstwa. Sprzeczali się, ale nigdy nie walczyli, co mogło wynikać z usposobienia mojej matki, która nie umiała się denerwować. Zanim doszło do zażartej dyskusji, wzruszała ramionami i odpuszczała. Nie zachowywali się jak pary z telewizji, które ciągle okazują sobie czułość, ale kiedy dorosłam, zrozumiałam, że w zasadzie nikt się tak nie zachowuje. Moi rodzice trzymali się za ręce podczas spacerów i często słyszałam przez ścianę swojej sypialni, jak cicho ze sobą rozmawiają do późna w nocy.

Kiedy masz dwanaście lat, dorosłe życie wydaje ci się wieczną przygodą – a przynajmniej masz nadzieję, że twoje takie będzie. Przez ostatnie kilka miesięcy przed morderstwem w grubym zeszyte w twardej oprawie zapisywałam swoje przemyślenia, obserwacje, sekrety, nadzieje i marzenia. Obłożyłam go w resztkę niebiesko-białej tapety z sielankowymi scenkami rodzajowymi, którą mama kupiła do salonu. Owijałam go też różnokolorowymi gumkami w sobie tylko znanej kolejności, żeby wiedzieć, czy ktoś do niego nie zaglądał pod moją nieobecność. Chyba wzięłam ten pomysł z książki Judy Blume. Przeglądając te zapiski teraz, widzę dziewczynę, która planuje przeżyć kilka żyć.

Chciałam wielkiej miłości jak z filmu *Romeo i Julia* Baza Luhrmanna. Chciałam mieszkać w Nowym Jorku, Londynie i Paryżu. Chciałam, żeby moje nastoletnie życie wyglądało jak to z amerykańskich seriali telewizyjnych, pełne balów maturalnych, cheerleaderek i fajnych ciuchów. Chciałam zostać profesjonalną tancerką, ale też naukowcem prowadzącym badania na Antarktydzie i fryzjerką na statku wycieczkowym, ponieważ mama mojej koleżanki tak pracowała, gdy była młodsza, i zawsze mówiła, że miała przy tym mnóstwo zabawy. Kiedy więc patrzyłam na moich rodziców – mieszkających w mieście, w którym się wychowali, wykonujących zwyczajną pracę, prowadzących przeciętne życie – nie mogłam nic poradzić, że nie byłam pod ich wrażeniem. Dlaczego nic nie zrobili ze swoim życiem? Dlaczego nie chcieli za wszelką cenę czegoś osiągnąć? Dlaczego nie mieli wielkich marzeń, życzeń i celów?

Problem polegał na tym, że nic nie wiedziałam o pragnieniach rodziców, więc nie potrafiłam stworzyć w swoim umyśle ich pełnego obrazu, ale ostatnio pomyślałam, że może ich największym marzeniem było założenie rodziny. Lubię tę myśl. Zdecydowałam, że ze mną pozostanie.

Najbardziej ubolewam nad tym, czego brakuje w moim pamiętniku. Skupiam się w nim przed wszystkim na rodzicach, a niewiele miejsca poświęcam Annie.

Mam w głowie niewiele wspomnień z nią związanych, które potrafię sobie przypomnieć. Są jakieś przebłyski i zdjęcia wykonane przez mamę, ale niewiele ruchomych obrazów. Kiedy jest się dzieckiem, szczególnie dzieckiem u progu dorastania, pięcioletnia różnica wieku to prawdziwa przepaść. W tamtym czasie Anna mnie irytowała, kręciła się pod nogami i ciągle czegoś chciała: pomocy, uwagi, coś pożyczyć. Przychodziła po cichu, z rękami założonymi za plecami i ze spuszczoną głową, doskonale wiedząc, że ma marne szanse, ale z nadzieją, że tym razem

będzie inaczej – że ja zachowam się inaczej.

Oczami wyobraźni widzę jej blond włosy przytrzymywane różową opaską, piegi na nosie i zapinane na rzepy adidas z podświetlanymi podeszwami. Jedną nogę zgina za drugą i patrzy na mnie z nadzieją w oczach. Rozpaczliwie pragnę cofnąć czas i powiedzieć jej, że może dostać wszystko, czego chce, całą mnie; że zapomnę o wszystkich innych i będę spędzała z nią każdą wolną chwilę do końca życia; że będziemy robić, co tylko zechce; że ją kocham i mam ogromne szczęście, że jestem jej siostrą.

Właściwie to nie, zapomnijcie o tym, co przed chwilą napisałam. Gdybym mogła cofnąć czas, uciekłabym z nią i pozostałybyśmy bezpieczne, dorastając i osiągając ten wiek, kiedy siostry stają się przyjaciółkami. Ale wtedy byłyśmy tylko dziećmi i żadna z nas nie wiedziała, co nadchodzi.

Oto, co pamiętam o Annie: uwielbiała bawić się w dorosłą. Podczas gdy ja upodobałam sobie lalki Barbie i układałam historie godne oper mydlanych z udziałem cudzołożnych Kenów, ona wolała lalki wielkości prawdziwego niemowlaka, zazwyczaj w zestawie z wózkiem i kołyską, lub takie, jaką dostała na święta, która pozostawiała brązowe smugi na pieluszcze. W salonie mieliśmy regał sięgający nam do pasa. Anna odsuwała go od ściany, stawała za nim, a potem wszyscy ustawiali się w kolejce, żeby odwiedzić biznes, który Anna prowadziła danego dnia: czy to bank, pocztę, czy kawiarnię. Pewnego lata urządziliśmy grilla i Anna zatrudniła tatę na stanowisku szefa kuchni w jej restauracji, która miała tylko trzy miejsca przy stole na patio, ale moja siostra zadbała o drukowane menu i z tego, co pamiętam, była bardzo uprzejmą kelnerką (natomiast szef kuchni przypalił wszystkie burgery i najwyraźniej potrzebował ponownego przeszkolenia). Wymyślone światy Anny nigdy nie kręciły się wokół księżniczek, syren czy superbohaterów, tylko wokół stewardes, pracowników biurowych i bibliotekarzy. Nie mogła się doczekać, kiedy przestanie być dzieckiem i wejdzie do świata dorosłych, ale jak się okazało, mogła doświadczyć tylko zabawy w dorosłą.

Tamtego lata wydarzyły się dwie rzeczy, które pamiętam dość dobrze. Po pierwsze, w czerwcu Anna miała wypadek. Zjeżdżała rowerem przyjaciółki ze stromego wzgórza w pobliżu naszego domu i przednie koło najechało na wybój. Anna przeleciała przez kierownicę. Na szczęście włożyła kask, ale i tak miała mnóstwo otarć, a podczas upadku zwichnęła serdeczny palec prawej dłoni. Nastawienie go wymagało znieczulenia ogólnego, więc moja siostra musiała spędzić dwie noce w szpitalu. Widok małej, zagubionej dziewczynki leżącej na szpitalnym łóżku całkowicie mną wstrząsnął. Spędziłam z nią mnóstwo czasu podczas tych dwóch czy trzech dni. Grałyśmy w karty, czytałam jej i pomalowałam lakierem z brokatem paznokcie wystające z gipsu. Kiedy wróciła do domu, oddałam jej władzę nad moim telewizorem – ale tylko tymczasowo, zaznaczyłam to kilkakrotnie – żeby mogła obejrzeć swój ulubiony film Disneya, czyli *Nowe szaty króla*, a potem *Toy Story 2*, które tata kupił jej w ramach życzeń szybkiego powrotu do zdrowia. Zawsze prosiła, żebym została i oglądała film razem z nią, a ja, mając w głowie obraz tego, jak leżała na szpitalnym łóżku, zgadzałam się, przewracając oczami i wzdychając, aby zachować pozory. Mama przynosiła nam popcorn i puszki z colą. Wchodziła po cichutku, jakbyśmy byli dzikimi zwierzętami, a pokój naszym naturalnym środowiskiem, którego równowagę łatwo zachwiać.

gorzej zachowywałam się na imprezie Anny – to moje kolejne wyraźne wspomnienie z tamtych czasów. Z jakiegoś powodu mama zgodziła się zabrać Annę i pięciu czy sześciu jej przyjaciół do pobliskiego McDonalda na zakończenie roku szkolnego, co moja siostra natychmiast nazwała „imprezą”. W restauracji znajdowało się specjalne miejsce z krzeselkami-muchomorami i stołami-słonecznikami do dziecięcych przyjęć. Mama wyznaczyła mnie do pomocy, ale jasno zakomunikowałam, że za żadne skarby nie będę siedziała w części z dziećmi. I to kil-

kakrotnie. Sprawiałam tym Annie wielką przykrość. Dopiero teraz zdaję sobie z tego sprawę. Za każdym razem, gdy podejmowałam ten temat i narzekałam, że mam lepsze rzeczy do roboty w sobotnie letnie popołudnie niż udział w tak zwanej imprezie dzieciaków, moja siostra mocno zaciskała usta i szeroko otwierała oczy. Bardzo chciała, żebym tam była i martwiła się, że nie przyjdę. W końcu przyszłam, ale usiadłam kilka stolików dalej, podjadałam frytki i co chwila zerkałam na zegarek, robiąc wszystko, by wyglądać na potwornie znudzoną.

Z tego, co pamiętam, Anna doskonale się bawiła. Właśnie zawiązywała własny krąg przyjaciół spoza szkoły i kiedy cofam się myślami, widzę ją w jego centrum, uśmiechniętą od ucha do ucha i zanurzającą nuggetsy w keczupie. Wiem, że była zadowolona z imprezy. Podśluchałam, jak z dumą mówiła mamie, że spotkanie bardzo podobało się koleżankom. Chciałabym towarzyszyć jej w tamtym momencie, jak na dobrą starszą siostrę przystało.

Najbardziej pragnę powiedzieć wam, jaka Anna była za czasów nastoletnich i jaką stała się kobietą. Chcę wiedzieć, jak wygląda, jaka jest i czym się zajmuje. Jaki kierunek studiów wybrała i dokąd ją to zaprowadziło. Chcę poznać jej partnera, jej dzieci, zobaczyć, jak się ubiera, jak urządziła dom, odwiedzać ją na święta, z butelką wina dla nas i prezentami dla jej dzieci, i żebyśmy wszyscy wspólnie wyjechali na wakacje. Chcę siedzieć z nią do późnego wieczora i wspominać zabawy w bank, wypadek na rowerze i imprezy urodzinowe. Chcę usłyszeć, jak mówi, że u niej wszystko w porządku, że jest szczęśliwa i zadowolona z życia. Chcę usłyszeć jej dorosły głos.

Ale przez niego to niemożliwe.

Zagrajmy w grę

Ostatnie minuty 31 grudnia 1999 roku, gdy cały naród z optymizmem zmieszonym z niepewnością świętował nadejście nowego tysiąclecia, spędziłam, siedząc na kanapie w salonie między śpiącą Anną i cicho pochrapującą Bunią. Moi rodzice poszli na imprezę do Carrigaline Court Hotel – miałam zobaczyć ich dopiero rano. W telewizji transmitowano koncert na żywo z Dublina. Zbliżała się godzina fajerwerków. Oczy same mi się zamykały, ale byłam zdeterminowana, żeby popatrzeć na sztuczne ognie. Chyba chwyciłam puszkę coli albo nawet wstałam i zaparzyłam sobie herbatę.

Mniej więcej w tym samym czasie, w domu oddalonym o jakieś dwanaście minut drogi samochodem od naszego i kilka minut od Carrigaline Court Hotel, szesnastoletni Tommy O’Sullivan oglądał ten sam koncert.

Nagle zadzwonił telefon w kuchni.

Na początku Tommy stwierdził, że nie słyszy nikogo po drugiej stronie linii przez hałas z telewizora lub wrzaski swojego rodzeństwa, którym się opiekował: dwunastoletniego Davida, dziesięcioletniej Nancy i siedmioletniej Emer. Dzieciaki skakały przed telewizorem, tańczyły, klaskały i od czasu do czasu klóciły się o słodkości pozostałe ze świąt oraz puszki gazowanych napojów. Telefon był zamontowany na ścianie obok lodówki. Tommy uciszył młodsze rodzeństwo, zamknął drzwi do kuchni i ponownie zapytał: „Halo?”.

Jak później relacjonował, w odpowiedzi usłyszał trzaski, a potem długie, głębokie westchnięcie. Ktoś głośno dyszał w słuchawkę, wydając z siebie dziwny, przerażający dźwięk. Głos, który usłyszał Tommy, należał do mężczyzny i był chrapliwy. Coś między zachrypłym szeptem a głosem nałogowego palacza. Powiedział: „Zagrajmy w grę...”.

Nie mówił z wyraźnym akcentem, ale sposób, w jaki się wypowiadał, miał w sobie coś z przesadnie dramatycznej groźby. Tommy’emu przypomniał się horror *Krzyk*. W pierwszej scenie filmu postać grana przez Drew Barrymore otrzymuje telefon, który na początku wydaje się niewinnym żartem. Wkrótce okazuje się, że dzwoniący jest zamaskowanym mordercą, który wdziera się do mieszkania i zabija bohaterkę. Tommy miał ten film świeżo w pamięci, ponieważ oglądał go wraz z przyjaciółmi w halloweenowy wieczór. Teraz nie spędzał sylwestra ze swoimi przyjaciółmi w domu Mike’a Hickneya, pijąc podkradzione rodzicom trunki i słuchając muzyki tak głośno, że w inną noc skutkowałyby to interwencją policji. Tommy został obciążony obowiązkiem opieki nad rodzeństwem, bo jego rodzice wybrali się na tę samą imprezę, co moi.

Od początku nie podobał mu się ten pomysł, a poczucie niezadowolenia przybierało na sile wraz ze zbliżającą się północą. Przekonany, że telefon był drwiną jednego z przyjaciół, Tommy wymamrotał coś w stylu: „Och, spierdalać, kretyni” i się rozłączył. Następnego dnia koledzy zaprzeczyli, że wykonali taki telefon.

Dwa tygodnie później, 14 stycznia 2000 roku, Tommy’ego obudziła dzwoniąca komórka, którą dostał po ojcu wraz z przedpłaconą kartą SIM. Chłopak pracował w soboty w supermarkecie: rozkładał towar, pakował torby i co tydzień odkładał dziesięć funtów na opłacenie abonamentu. Taka kwota w zupełności wystarczała na wymienianie esemesów z kolegami, którzy mieli telefony komórkowe, a których można było policzyć na palcach jednej ręki. Jego mama nie miała telefonu, a ojciec używał swojego tylko do spraw służbowych. Dlatego Tommy był zaskoczony, że niewielki kwadratowy ekran wyświetla kontakt „Tata”. Kiedy spojrzął na godzinę, poczuł się jeszcze bardziej zdezorientowany; było dwie po piątej.

– Tommy? – głos ojca sprawiał wrażenie oddalonego, chociaż prawdopodobnie rodzice przebywali w swojej sypialni po drugiej stronie ściany. – Masz zamknięte drzwi?

Wydawało się, że jest środek nocy. Na początku Tommy pomyślał, że ojciec postradał zmysły. Poprosił, żeby powtórzył pytanie.

– Masz zamknięte drzwi do sypialni? Sprawdź.

– Tato, co do chu... – Chłopak powstrzymał się przed wypowiedzeniem przekleństwa, którego często używał w gronie przyjaciół. – Co się dzieje?

– Po prostu sprawdź.

Ojciec dziwnie się zachowywał. Zmęczenie sprawiało, że powieki Tommy’ego same opadały, głowę z powrotem ciągnęło do poduszki, a jego kończyny były ciężkie i powolne. W tym momencie pragnął jedynie znowu się położyć. W końcu stęknął, wstał z łóżka i podszedł do drzwi sypialni – które rzeczywiście były zamknięte.

Nachylił się i zobaczył, że w dziurce nie ma klucza.

– Nasze też są zamknięte – powiedział tata. – I nie ma ze mną twojej matki.

– Po co zamknęła drzwi? I gdzie jest?

Ojciec nie odpowiedział. Tommy przycisnął telefon do klatki piersiowej i zawołał: „Mamo?”. Brak odpowiedzi. Spróbował ponownie, tym razem głośniej: „Mamo?!”. Wciąż nic. Kilka razy uderzył w drzwi, a potem podszedł do ściany oddzielającej jego pokój od pokoju jego brata Davida i w nią także uderzył.

– Wychodzę na zewnątrz – oznajmił ojciec. – Przez okno. Wejdę do środka, otwierając zapasowym kluczem.

Zakończyli połączenie.

Potem Tommy usłyszał przez ścianę jęk niezadowolenia. David w końcu się obudził, więc polecił młodszemu bratu sprawdzić drzwi. To samo: zamknięte, brak klucza.

Chłopak wyjrzał przez okno. Na zewnątrz panowała całkowita ciemność. Domy na Bally’s Lane budowano na dużych działkach, bez latarni ulicznych. Mimo to Tommy dostrzegł, że na podjeździe stały dwa samochody. Mama musiała być w domu. Tylko co robiła? Przypomniał sobie święta, a konkretnie Wigilię. Od kilku lat Nancy i Emer były bardzo podekscytowane zbliżającym się przybyciem Świętego Mikołaja, ale od jakiegoś czasu ekscytacja przeszła w obsesję. Dziewczynki wzajemnie się nakręcały i nie chciały spać. Co chwilę wchodziły do salonu, żeby sprawdzić, czy pod choinką są już prezenty. Poirytowana ich zachowaniem mama zamknęła je w sypialniach. Czy tak było i tym razem? Czyżby planowała jakąś niespodziankę na rano? Tylko po co zabrała klucze? Dlaczego zamknęła też swój pokój? I czemu nie odpowiadała na telefony?

Nagle na zwirowany podjazd padł snop żółtego światła, a chwilę później rozległ się głucho stukot otwieranego okna. Ojciec wychodził na zewnątrz. Zajął mu to trochę czasu, ale Tommy w końcu usłyszał chrzęst żwiru i dostrzegł pod swoim oknem przemykającą sylwetkę. Nasłuchiwał dźwięku klucza wkładanego do zamka, ale ten nie nadszedł.

Zamiast tego usłyszał krzyk ojca.

Tata kazał Tommy’emu dzwonić po Gardaí.

Dźwięk dzwonka przeszył ciszę panującą w samochodzie i zaskoczył Jima. Będąc cały czas myślami przy książce, bez zastanowienia odebrał telefon.

– Och – powiedziała Noreen. – Nie sądziłam, że odbierzesz. Już miałam pisać wiadomość. Nie jesteś w pracy?

– O co chodzi, Nor?

– Katie wpada na kolację. – Chociaż ich córka wynajmowała pokój w pobliżu uniwersytetu na College Road, bardzo często odwiedzała dom rodzinny. – Trzeba kupić kilka rzeczy.

Jim spojrział na książkę leżącą na jego kolanach.

– A dlaczego ty nie możesz tego zrobić?

– Nie mam za co – wyszeptała Noreen.

– Przecież w piątek dostałaś ode mnie pieniądze. Na co je wydałaś?

– Na rachunki, Jim. I na jedzenie. Nie mogę...

– Wyślij mi listę.

Jim zakończył połączenie i rzucił telefon na fotel pasażera. Nie miał zamiaru słuchać, jak Noreen histeryzuje. Przyprawiało go to o ból głowy.

Poza tym chciał wrócić do czytania książki.

Tak więc Eve Black znalazła nóż i linę. To była dla niego ciekawostka. W noc ataku wciąż tam były, więc Jim nie mógł tego wiedzieć. Ciekawe odkrycie, nawet jeśli nic nie zmieniło. I jeszcze Spanish Point. Nigdy tam nie był, ale kojarzył to miejsce. Zawsze zastanawiał się, gdzie zniknęła po ataku i teraz poznał odpowiedź. Wspomnienia z dzieciństwa: nuda. Jima nie obchodziło, kim byli ci ludzie.

Ale to kłamstwo? Ciekawa sprawa.

Na razie trzeba dać Eve kredyt zaufania. Nazwijmy to kłopotami z pamięcią.

Czy będzie próbowała opisać ze szczegółami wydarzenia tamtej nocy? Co wymyśli? Jima kusilo, żeby przeskoczyć dalej i to sprawdzić.

Lecz pragnął też delektować się lekturą.

Czytanie książki coś w nim obudziło. Uczucie. Tak, uczucie. To jakby usłyszeć głos dobrego przyjaciela, z którym utraciło się kontakt – już po chwili trudno uwierzyć, że zapomniało się, jak brzmi.

Musiał jednak stłumić w sobie to uczucie. Miał prawie sześćdziesiąt trzy lata. Nie był już tak szybki, jak kiedyś.

Nie miał też siły na to... wszystko.

Było w pół do drugiej. Normalnie wracał z pracy piętnaście po trzeciej. Zdąży przebić się na przedmieścia i zrobić zakupy, jeśli wyjedzie za czterdzieści pięć minut.

Zabrzączał telefon. Wiadomość od Noreen.

„Pierś kurczaka, frytki mrożone, pieczarki, butelka białego wina”.

Żadnego „proszę” ani „dziękuję”. O winie mogła zapomnieć. Jim nie miał zamiaru serwować swojej osiemnastoletniej córce alkoholu we wtorkowy wieczór. Zresztą Katie i tak by odmówiła. Każdego ranka wstawiała o świcie, żeby potrenować w siłowni przed zajęciami na uniwersytecie.

Poza tym, czy Noreen sądziła, że on śpi na pieniądzech?

Ustawił alarm w telefonie i wrócił do czytania.

Zamiast tego usłyszał krzyk ojca.
Tata kazał Tommy'emu dzwonić po Gardaí.

Z zewnątrz dom O'Sullivanów zupełnie nie rzucał się w oczy. Klasyczny przykład parterowego domu kompletnie niepasującego do krajobrazu, których pełno na wiejskich terenach w Irlandii: niski, prostokątny budynek z ciemnoszarej cegły, cofnięty od drogi. Okna krótkie i szerokie, jakby przygniecione przez napór spadzistego dachu, ciężkiego od brudnych łupkowych dachówek. Dom „Aurora” – jak głosiła mosiężna tabliczka przy bramie – wybudowano w 1978 roku. Od tamtego czasu przeprowadzono jedynie prace remontowe na tyłach – wykonane przez naciągacza, który zniknął, nie kończąc roboty i pozostawiając nieocieploną oranżerię, w której nie dało się przebywać przez dziesięć miesięcy w roku – i wstawiono niedomykające się szklane drzwi.

Rodzice Tommy'ego, Alice i Shane O'Sullivanowie, poznali się na przyjęciu urodzinowym w Blarney, kiedy mieli po dziewiętnaście lat. Matka pochodziła z Clonakilty, a ojciec z Bandon. Tamtego wieczoru podczas rozmowy doszli do wniosku, że mają mnóstwo wspólnych znajomych i dziwili się, jakim cudem ich ścieżki dotychczas się nie przecięły. Potem wszystko potoczyło się dość standardowo. Spotykali się trzy lata, następnie wzięli ślub i kupili dom. Po dwunastu miesiącach Alice była w ciąży z Tommym. Shane dostał pracę w banku i wspinał się po szczeblach kariery. Ostatecznie na świat przyszła czwórka dzieci, czyli o jedno więcej, niż Alice sobie wymarzyła.

Przez jakiś czas było ciężko i panował chaos, ale wraz z dorastaniem dzieci Alice poczuła, że znowu ma trochę przestrzeni, by odetchnąć. Shane'a mianowano dyrektorem oddziału banku w Douglas, dzięki czemu miał więcej czasu i wyższe zarobki. Alice oszczędzała pieniądze z zasiłku na dzieci, chociaż jeszcze do niedawna przeznaczała go na bieżące wydatki. Co więcej, snuła ambitne plany. Rodzinne wakacje, najlepiej we Francji. Nowa przybudówka z sypialnią, żeby każde dziecko miało swój pokój. Zburzenie paskudnej oranżerii.

To właśnie Alice jako pierwsza natknęła się na mordercę.

Obudziła się oślepiona białym światłem wczesnym rankiem 14 stycznia 2000 roku. Kiedy ponownie zamknęła oczy, światło niewiele straciło na intensywności. Przeszło jej przez myśl, że ma udar albo wylew krwi do mózgu. Przypomniała sobie potworny ból głowy, który miała całkiem niedawno – może należało wtedy iść do lekarza? Czy teraz było już za późno? Wpadła w panikę. Poklepała drugą stronę łóżka w poszukiwaniu ciepłego ciała męża, pragnąc poinformować go, że coś jest nie tak, ale zanim zdążyła to zrobić, ktoś ją pochwycił. Źródło światła oddaliło się i chwilę później poczuła na sobie ciężar czyjegoś ciała. Ten ktoś przystawił jej ostry przedmiot do szyi.

Nagle wszystko połączyło się w przerażającą całość. Światło pochodziło z latarki umieszczonej na głowie zamaskowanego napastnika, który jakimś cudem znalazł się w ich domu, a teraz wszedł na Alice. Swoją prawą dłoń przyciskał jej lewą rękę do materaca, zaledwie kilka centymetrów od koszulki Shane'a, a w drugiej trzymał coś ostrego tuż przy szyi kobiety. Pachniał mokrymi liśćmi i ziemią, a z jego ust wydobywał się znajomy, ale nieco nieprzyjemny zapach... czyżby kawy?

Dłoń w rękawiczce spadła na usta Alice z taką siłą, że poczuła metaliczny smak, a jej dziąsła zaczęły krwawić.

– Cicho – wyszeptał napastnik. – Poderżnę ci gardło. Potem to samo zrobię z pozostałymi. Pokiwaj głową, jeśli zrozumiałaś.

Alice wykonała polecenie.

Przeraźliwie się trzęsła i nie mogła zrozumieć, dlaczego Shane jeszcze się nie obudził.

Nagle się poruszył. Poczuela to i usłyszała skrzywienie materaca, gdy jej mąż zmieniał ułożenie kołczyń. Niestety, tylko westchnął i ponownie pogрузił się w głębokim śnie.

Napastnik zszedł z Alice, a w pomieszczeniu zrobiło się ciemniej, czyli tak, jak powinno być. W tej chwili do pokoju przez uchylone drzwi wpadał jedynie wąski snop światła rzucający przez żarówkę w holu. Wszystko wydarzyło się tak szybko. Przez moment Alice pomyślała, że był to tylko sen, bardzo realistyczny koszmar w stylu tych, gdy człowiek budzi się przekonany, że jest gdzieś spóźniony, po to jedynie, żeby po chwili zerknąć na zegarek i stwierdzić, że ma jeszcze dużo czasu. Już poczuła ulgę, gdy nagle coś szarpnęło ją za stopę.

Prześladowca leżał pod łóżkiem albo kuczał przy nim i trzymał Alice za kostkę. Prowadził czubek noża po tylnej części nogi kobiety, zwolnił przy pięcie i narysował ósemkę. Następnie znów posuwał się w górę, po wewnętrznej części uda i zahaczył o koronkową bieliznę. Alice drżała z przerażenia. Nigdy czegoś takiego nie doświadczyła i bała się, że mimowolnie nabije się na nóż. Teraz zamaskowany mężczyzna wyciągnął ją za drugą nogę z łóżka i wyszeptał do ucha:

– Zagrajmy w grę.

Wciąż przystawiając nóż do szyi Alice, wypchnął ją z sypialni, a potem pchał wzdłuż korytarza aż do drzwi wejściowych. Kobieta nie próbowała uciekać. Nie wierzyła, że da radę. Zabierze mnie stąd i zabije, pomyślała. Gdy mijali drzwi do sypialni dzieci – Tommy’ego, Davida i tej dzielonej przez Nancy oraz Emer – Alice już czuła się tak, jakby wbił jej nóż w klatkę piersiową. Weszli do salonu. Dlaczego przyprowadził ją właśnie tutaj, do przeciwległej części domu? Pewnie chce ją zgwałcić.

Miała nadzieję, że skończy się tylko na tym. Powtarzała sobie, że fizycznie to przeżyje, a wraz z upływem czasu nauczy się funkcjonować z ponurymi wspomnieniami. Odmówiła w myślach modlitwę, żeby żadne z jej dzieci nie obudziło się w trakcie tego, co chciał zrobić z nią ten potwór. Alternatywny scenariusz był po prostu zbyt przerażający, żeby się nad nim zastanawiać.

W domu znajdowały się dwie łazienki: jedna przy sypialniach, a druga, mniejsza, niedaleko kuchni. Była naprawdę mała, niewiele ponad półtora na półtora metra, ale zdołali zmieścić w niej sedes, umywalkę i prysznic. Dla dzieci nadawała się idealnie i pozwalała na rozładowanie porannego zatoru przed szkołą i pracą. Napastnik otworzył drzwi lekkim kopnięciem i wepchnął Alice do środka. Kazał jej usiąść na podłodze, wskazując czubkiem noża przestrzeń między sedesem a kabiną prysznicową. Kobieta opadła na kolana. W tym momencie mężczyzna stał tuż nad nią.

Potem zrobił gwałtowny ruch ręką, a Alice przeszył potworny ból: uderzyła głową w porcelanowy sedes, kiedy napastnik dał jej w twarz. Oszołomiona zawyla i runęła na podłogę. Poczuela coś lepkiego na ustach – krew – i od razu pomyślała, że ma złamany nos.

Konsternacja.

Kiedy otworzyła oczy, leżała na podłodze i widziała płytki. Miała wrażenie, że mózg zaraz wypłynie jej z czaszki. Krew z rozcięcia na czole spływała na oczy. Alice ostrożnie uniosła dłoń, żeby dotknąć rany, ale coś ją blokowało. W czasie gdy leżała nieprzytomna, napastnik przywiązał ją do rury za sedesem. Kilkakrotnie owinął jej nadgarstki liną i zawiązał kilka schludnych, ciasnych węzłów.

Stał w progu. Jego sylwetkę oświetlało światło z korytarza. Nachylił się i Alice poczuła ciepły oddech na skórze.

– Tommy. David. Nancy. Emer – wyszeptał jej na ucho.

Kobieta zrozumiała. Nie będzie stawiać oporu.

Przygotowywała się w duchu na prawdziwy atak. Tymczasem mężczyzna wyszedł i cicho zamknął za sobą drzwi. Rozległ się dźwięk przekręcania klucza w zamku.

W łazience było ciemno, a Alice została sama. Czyżby napastnik gdzieś wyszedł? Jak długo ona ma tu siedzieć? Co on planował? Skąd ona ma mieć pewność, że nie skrzywdzi jej dzieci? Czy powinna krzyknąć, żeby zaalarmować członków rodziny? A może z tego powodu napastnik ich skrzywdzi? Co ma robić?

Przez następnych kilka minut cisza panująca w domu stawała się coraz bardziej uporczywa, niczym szum z rozkręconego na pełną moc głośnika, ale bez muzyki. Ten szum mieszał się z dudniącym pulsem Alice, powodując tak silny ból głowy, że aż nabierał kształtu przed jej oczami i utrudniał rozglądanie się. A może to dlatego, że miała spuchnięte oczy. Albo po prostu widziała własny nos. Słyszała jakieś dźwięki, ale nie miała pewności, czy są prawdziwe, a jeśli tak, to co je powodowało. Ciche skrzywienie zawiasów drzwi. Szuranie stóp po dywanie. Odległy brzęk szkła o coś, być może o drewno.

Alice zamknęła oczy i modliła się o życie swoich dzieci.

*

Podczas rozmowy z Gardaí Shane powiedział, że prawdopodobnie obudził go hałas, ale nie był tego w stu procentach pewny. Zaskoczyła go nie tyle nieobecność żony w łóżku – często wstawiała w nocy za potrzebą – co zamknięte drzwi do sypialni. Odkąd przywieźli swoje pierwsze dziecko ze szpitala, zawsze pozostawały otwarte. Shane czekał minutę lub dwie, nasłuchując, aż zaskoczenie przeszło w niepokój. Wstał z łóżka i odkrył, że drzwi są zamknięte na klucz, którego brakuje w zamku. To nie miało żadnego sensu. Shane’a kusilo, żeby zawołać Alice i dowiedzieć się, co się, u licha, dzieje, nawet jeśli miałyby obudzić cały dom. Ostatecznie doszedł do wniosku, że to lekka przesada.

Chwycił telefon ładujący się na stoliku nocnym i wykręcił numer do Tommy’ego. Kiedy syn powiedział mu, że drzwi do jego sypialni również są zamknięte, Shane już wiedział, że dzieje się coś niedobrego. Włożył buty, wyszedł z domu przez okno i pobiegł do drzwi wejściowych. Planował dostać się do środka, korzystając z zapasowego klucza, który trzymali pod jedną z terakotowych donic, ale okazało się, że drzwi są otwarte na oścież.

Czyżby Alice wyszła z domu? Shane rozejrzał się po ogrodzie, żwirowanym podjeździe i pobliskiej drodze, ale w takich ciemnościach niewiele widział. Przydałaby się latarka, pomyślał. Jedna znajdowała się w szufladzie na różności, obok lodówki. Wszedł do domu i skierował się do kuchni, włączając po drodze wszystkie światła. W powietrzu unosił się zapach kawy. I rzeczywiście, na blacie w kuchni stał kubek z parującą czarną kawą.

Wszystko wydawało się jakieś dziwne. Alice piła kawę, ale tylko z mlekiem i tylko rano. Poza tym nigdy nie korzystała z tego kubka. Był częścią kompletu, który dostali na święta. Dość droga sprawa, ręczna robota znanego irlandzkiego projektanta artykułów gospodarstwa domowego. Alice sklasyfikowała go jako „zbyt dobry, żeby go używać”, dlatego komplet zazwyczaj stał w jednej z szafek za szklanymi drzwiczkami i był przeznaczony dla wyjątkowych gości. A teraz jeden z kubków stał na blacie, poplamiony kawą, z ciepłym napojem w środku.

Ale Shane zobaczył na blacie coś jeszcze dziwniejszego: pięć długich, srebrnych kluczy do drzwi ich sypialni. Oblał go zimny pot, a strach skręcił mu żołądek. Wiedział, co się dzieje. Nie dbając już o to, że kogokolwiek obudzi, krzyknął do Tommy’ego, aby dzwonił na policję.

Wszystko zaczęło składać się w całość: otwarte drzwi frontowe, drzwi do sypialni zamknięte od zewnątrz, zniknięcie Alice... i Shane piastujący wysokie stanowisko w banku. Miał na ten temat szkolenie w pracy. Specyficzny rodzaj porwań dla okupu. Zaczynało się od groźenia rodzinie i ostrzeżenia, żeby nie dzwonić na policję. Pewnie zaraz dostanie telefon albo porywacze zostawili mu gdzieś kartkę z dalszymi instrukcjami. Alice prawdopodobnie siedziała na tylnej kanapie jakiegoś vana, przerażona, ale cała i zdrowa. Rano Shane pójdzie normalnie do pracy

i wyjdzie z dziesiątkami tysięcy funtów w gotówce. A może poinstruuje go, żeby poszedł do pracy już teraz, przed wszystkimi, wyłączył alarmy i opróżnił sejf. Później odda pieniądze członkowi gangu, a wkrótce potem Alice wróci do domu.

Przypuszczalnie tak miałyby to wyglądać, przynajmniej w umysłach kryminalistów. Ale pracodawca Shane'a – największy bank komercyjny w kraju – jasno określił zasady postępowania w takiej sytuacji: nie słuchać napastników. W końcu to nie napad z bronią w ręku. Ci ludzie byli złodziejami, a nie mordercami. W Garda służą specjalnie wyszkoleni do tego funkcjonariusze, którzy pomogliby mu sfingować wręczanie okupu, a potem wkroczyliby i odbili Alice.

Shane zgarnął klucze i wyruszył na poszukiwania odpowiadających im zamków. Nancy i Emer spały. David siedział na swoim łóżku ze zdziwioną miną. Sypialnia, którą Shane dzielił z żoną, wyglądała tak samo jak wtedy, gdy ją opuszczał. Tommy stał naprzeciwko drzwi z telefonem w dłoni: dyspozytorka numeru alarmowego pytała, co się stało. Shane szybko wprowadził ją w sytuację. W odpowiedzi kobieta zapewniła go, że radiowóz już wyjeżdża z posterunku w Carrigaline. Oddał telefon Tommy'emu i zdał sobie sprawę, że w lewej dłoni pozostał mu jeszcze jeden klucz. Pięć kluczy, cztery sypialnie. Któreś drzwi wciąż były zamknięte.

Wszedł do łazienki i zanim zdążył zapalić światło, jego stopa uderzyła w nogę żony. Alice leżała zamroczona i bezwładna, jej twarz była opuchnięta i we krwi. Miała złamany nos i płytką ranę na głowie. Ostatecznie wyszła z tego dość szybko, ale tamtej nocy jej twarz przypominała krwawą miazgę.

Pierwszy radiowóz Garda przyjechał na miejsce pięć minut później. Wszczęto by śledztwo, ale brakowało dowodów. Jedynym świadkiem była Alice, która nie widziała twarzy napastnika. Mężczyzna nie zostawił żadnych śladów. W okolicy nie zauważono żadnego pojazdu, a obszar znajdował się poza zasięgiem miejskich kamer. Nikt nie potrafił nawet stwierdzić, w jaki sposób intruz wszedł do domu. Równie dobrze facet mógł być duchem.

Funkcjonariusze Garda zastanawiali się między sobą, czy napastnik w ogóle istniał. Dopiero wiele miesięcy później kobieta o nazwisku Claire Bardin przekazała policji, że widziała mężczyznę w ciemnym ubraniu, gdy jechała Bally's Lane mniej więcej w porze ataku. Bardin mieszkała za granicą i nie zdawała sobie sprawy ze znaczenia swojego odkrycia, dopóki nie usłyszała relacji w radiu na temat tego incydentu podczas kolejnej wizyty w Cork. Poproszono ją o podanie rysopisu mężczyzny, a policyjny rysownik stworzył portret, który upubliczniono. Niestety, nie przyniosło to żadnego rezultatu.

Tymczasem O'Sullivanowie wymienili zamki i zainstalowali światła alarmowe oraz elektryczną bramę. Czekali na wiadomość o aresztowaniu sprawcy, ale ta nigdy nie nadeszła. W gazetach i lokalnym radiu pojawiło się kilka reportaży o ataku. Wszystkie przedstawiały całe zajście jako nieudane porwanie dla okupu. Alice mówiła rodzinie i znajomym, że wszystko z nią w porządku i pragnie jedynie jak najszybciej zapomnieć o całej sprawie, ale pół roku później większość nocy spędzała, siedząc na kanapie w salonie i wpatrując się ślepo w ekran telewizora. Straciła zaufanie do zamków i drzwi. We własnym domu czuła się równie zagrożona, jak na pustej, nieoświetlonej ulicy. W końcu przed bramą zawisła tabliczka z napisem „Na sprzedaż”, a Shane poprosił o przeniesienie do oddziału banku w innej części kraju.

Każde z dzieci usłyszało inną wersję historii na temat tego, co wydarzyło się tamtej nocy. Nancy i Emer dowiedziały się niewiele i przez kilka kolejnych lat myślały, że matka wstała w nocy do łazienki i potknęła się o coś w ciemności. David otrzymał informację, że mama przestraszyła włamywacza, który teraz, dzięki nowym systemom bezpieczeństwa, nie dałby rady dostać się do środka. Tommy natomiast znał prawdę, ale bez szczegółów. Nie wiedział, że napastnik powiedział matce ten sam tekst o graniu w grę, który on usłyszał przez telefon w noc sylwestrową. Dlatego nie połączył obu wydarzeń.

Telefon znajdujący się w kuchni O'Sullivanów przypominał automat telefoniczny: kanciasty kawał ciemnoszarego plastiku z dużymi, niebieskimi przyciskami i otworem na monety. Kompletnie nie pasował do wystroju mieszkania. W Irlandii w latach dziewięćdziesiątych rodzice w taki sposób kontrolowali wydatki na telefon swoich nastoletnich pociech. Moja koleżanka ze szkoły, Danielle, również miała taki automat w domu, ale odkryła, gdzie jej mama trzyma do niego klucz. Za każdym razem, kiedy chciała gdzieś zadzwonić, po prostu czekała na okazję, żeby otworzyć pudełko z monetami, wyjmowała garść jednofuntówek oraz pięciopensówek i ponownie wrzucała je do automatu. Matka niczego się nie domyśliła, bo robiła to samo.

Czasem wyobrażam sobie ten osobliwy telefon w kuchni O'Sullivanów w noc 31 grudnia 1999 roku. Pomagają mi w tym fotografie. Kuchnia w stylu wiejskim ze starannie ustawionymi kryształowymi szklankami i porcelanowymi talerzami w przeszklonych szafkach wiszących nad blatem, na którym stoją przedmioty codziennego użytku. Telefon znajduje się obok lodówki. Na jej drzwiach przyczepiono magnesem biuletyn parafialny, złożony tak, żeby było widać godziny mszy. Kadr w mojej głowie jest nieruchomy i przyciemniony. Jedyne oznaki życia są dźwięki: przytłumiona muzyka oraz krzyki nadmiernie ruchliwych dzieci dochodzące z innego pokoju.

W takich chwilach czujemy się bezpiecznie i jesteśmy przekonani, że gdy wchodzimy wieczorem do domu i zamykamy za sobą drzwi, tworzymy barierę oddzielającą wszystko, co dobre i znajome od tego, co niebezpieczne i nieznanego.

Nagle dzwoni telefon.

Jego dźwięk przeszywa powietrze. Niewykluczone, że coś pojawia się na niewielkim wyświetlaczu albo świeci się lampka sygnalizująca połączenie przychodzące. A może nie. Tak czy owak, po drugiej stronie linii czeka potwór.

Przez lata przygotowywałam listę rzeczy, o które chciałabym zapytać człowieka odpowiedzialnego za zamordowanie członków mojej rodziny, jeśli kiedykolwiek nadarzyłaby się taka okazja. Trzecim pytaniem (po „Po co?” oraz „Dlaczego my?”) jest „Dlaczego tamtej nocy?”. Żadna północ nie obiecywała tak wiele, co początek nowego tysiąclecia. Symboliczna data, która nawet gdy już nadeszła, wydawała się czymś odległym, z przyszłości. Co działo się w głowie tego mężczyzny, kiedy dzwonił do domu O'Sullivanów? Czy wcześniej przydarzyło mu się coś traumatycznego? A może planował atak od wielu miesięcy? I po co dzwonił przed atakiem?

Ale przede wszystkim zastanawiam się, jak by to wszystko wyglądało, gdyby Tommy O'Sullivan znał kombinację klawiszy, które należało nacisnąć, aby oddzwonić na ostatnie przychodzące połączenie. Ciekawe, gdzie zabrzmiałby dzwonek. W opustoszałej już budce telefonicznej przy nieuczęszczanej wiejskiej drodze? W jakimś niespodziewanym miejscu, jak uniwersytet, szpital czy posterunek Garda? A może w domu, takim jak ten należący do O'Sullivanów, gdzie grała muzyka, słychać było krzyki dzieci i łał się szampan, a domownicy szykowali się na historyczne odliczanie wraz z resztą kraju.

Doskonale wiem, który scenariusz przeraża mnie najbardziej. Jest też najbardziej prawdopodobny.

Pierwszą rzeczą, jaką zobaczył Jim po wjeździe na podjazd, było wielkie psie gówno leżące pośrodku ogrodu. Krew zagotowała mu się w żyłach. Wyszedł przez bramę, ruszył ścieżką i dotarł na podjazd sąsiedniego domu. Tam w ogrodzie jakoś nie leżało gówna. Zabawne.

Zadzwoił do drzwi i po chwili pojawiła się Karen.

Karen i Derek byli ledwo po trzydziestce. Ona miała bladą cerę, ciemne loki i drobne, ale wyćwiczone ciało, na które wkładała elastyczną odzież. On był chudy i blady. Kompletnie do niej nie pasował. Nie mieli dzieci i przeważnie byli nieszkodliwymi sąsiadami – przynajmniej dopóki nie uratowali jakiegoś głupiego, starego psa z problemami żołądkowymi, który wypróżniał się w ogrodach sąsiadów.

– Jim – powiedziała Karen i uśmiechnęła się przez zaciśnięte wargi. – Co mogę dla ciebie zrobić.

Doskonale wiedziała, dlaczego tu jest. W ostatnim miesiącu pojawiał się u nich dwukrotnie, zawsze z jednego powodu.

– Znowu to samo.

Karen wykrzywiła usta.

– Cóż, przykro mi to słyszeć, ale to w końcu pies. Nie rozumiem, czego od nas oczekujesz.

– To proste. Nie pozwólcie mu ganiać po moim ogrodzie.

Kolejny wymuszony uśmiech.

– Postaramy się.

– Jeśli sytuacja się powtórzy, będę zmuszony pójść krok dalej.

Karen spojrzała za siebie. Najpierw Jim pomyślał, że rozgląda się za Derekiem, szukając wsparcia, ale potem dostrzegł delikatnie uniesiony kącik ust. Kiedy odwróciła się z powrotem do niego, zobaczył, jak mocno je zaciska i zdał sobie sprawę, że jego sąsiadka powstrzymuje śmiech.

Poczuł uderzenie gorąca.

To on był mężczyzną, który wszedł do domu przy Bally's Lane i wyciągnął z łóżka śpiącą kobietę. To on związał ją i wyszeptał do ucha imiona jej dzieci. To on rozbił jej głowę o kant muszli klozetowej.

A potem robił jeszcze gorsze rzeczy.

Ale Karen widziała tylko swojego sąsiada emeryta. Starszego mężczyznę z kępkami białych włosów po obu stronach głowy. Z plamami wątrobowymi na wierzchu dłoni. Silnego i sprawnego, owszem, ale z pewnym zastrzeżeniem: jak na swój wiek. Widziała mężczyznę, który przeżył już swoje (zwykłe) życie, dał społeczeństwu to, co miał dać (czyli niewiele) i niczego nie mógł zmienić (bo było za późno). Gdy się wprowadzili, powiedział im, że jest emerytowanym funkcjonariuszem Garda Síochána, ale nawet to nie robiło już takiego wrażenia jak dawniej. Ludziom w dzisiejszych czasach brakowało pokory.

Pewnego dnia, kiedy wiek w końcu go pokona, Karen więcej nie zobaczy swojego sąsiada.

Gdyby tylko знаła prawdę, na pewno by się nie uśmiechała.

Uciekałyby z krzykiem.

– To się więcej nie powtórzy – powiedziała. Nawet nie próbowała być przekonująca.

– Lepiej już pójść, mam coś w piekarniku. – Przyciągnęła drzwi do siebie.

– Jeśli nie pozbędziecie się tego psa, ja to zrobię.

Jego słowa zabrzmiały jak groźba. I dobrze. W normalnych okolicznościach nie naciśkałyby tak mocno, ale wspomnienia o tamtej nocy na Bally's Lane coś w nim obudziły.

Potrzebował przypomnieć sobie, kim tak naprawdę jest.

Jednak Karen pozostawała niewzruszona.

– Miłego wieczoru, Jim – rzuciła i zamknęła mu drzwi przed nosem.

CHOMIKO - WARNIA

Jim pozostawił egzemplarz *Mężczyzny bez twarzy* na fotelu pasażera w swoim aucie – owinięty w obwolutę wakacyjnego czytadła prawdopodobnie wzbudzał jeszcze większe podejrzenie. Doszedł do wniosku, że popełnił błąd. Lepszą przykrywkę stanowiłaby okładka biografii jakiegoś sportowca albo książki o astronautach. Zdjął „złą” obwolutę, porwał ją na strzępy i wyrzucił do śmietnika przy domu wraz z oryginalną książką. To samo zrobił z obwolutą *Mężczyzny bez twarzy* i kupioną z książkami kartką urodzinową. Teraz z zakupów w księgarni pozostał mu tylko *Mężczyzna bez twarzy* w czarnej płóciennnej oprawie i z tytułem wytłoczonym złotymi literami na grzbiecie. Wrzucił książkę do schowka w samochodzie i wszedł do domu z zakupami dla Noreen.

Stała w kuchni przy blacie i kroїła warzywa. Stół był starannie nakryty dla trzech osób: podkładki, ładne sztućce i serwetki. Noreen miała na sobie zwiewne ubranie z krótkimi rękawami. Prześwitujący materiał podkreślał nadmiar tkanki tłuszczowej na plecach kobiety. Jim wcisnął przycisk „Wyłącz” na termostacie przy kuchennych drzwiach.

– Gdzie byłeś? – zapytała Noreen, nie unosząc głowy znad warzyw.

W odpowiedzi Jim rzucił torbę z zakupami na stół.

– Słyszałam, że podjechałeś pięć minut temu.

– U sąsiadów. Ten cholerny pies znowu to zrobił.

Noreen odłożyła nóż, odwróciła się do męża i wytarła dłonie o fartuch.

Wpatrywała się w niego, a on zastanawiał się, czy jakimś cudem jest w stanie dostrzec jego drugie ja. Prawdziwe ja. Czy przez lekturę o tym, co się wtedy wydarzyło, bardziej się odkrył? Czyżby był teraz bardziej narażony na zdemaskowanie niż rano, wczoraj i przez ostatnie osiemnaście lat?

Na pewno nie. Noreen jak zwykle niczego się nie domyślała.

– Mam nadzieję, że nie zrobiłeś sceny – powiedziała i spojrzała na torbę. Jej zawartość była widoczna przez przezroczysty plastik. – A wino?

– W sklepie. Nie potrzebujesz go.

– Owszem, potrzebuję. Dlatego poprosiłam, żebyś je kupił.

– Katie nie pije alkoholu w tygodniu i tobie też nie wypada.

– Wino nie było dla mnie ani dla Katie, tylko do potrawy. – Noreen wzięła głęboki oddech. – Jest jednym ze składników potrawy, którą przygotowuję – dodała spokojnym tonem.

– W takim razie przygotuj coś innego.

Jim otworzył drzwi lodówki. Jak zwykle była pełna jedzenia. Wskazał na nie, ale Noreen już dorwała się do torby z zakupami.

– Och, na litość boską – powiedziała. – Napisałam frytki mrożone.

– Niczym się nie różnią, Nor.

– Różnią.

– Nie, to tylko chwyt marketingowy. Jezu, jak łatwo cię nabrać.

Noreen rzuciła mu ostrzegawcze spojrzenie.

– O której przychodzi Katie? – zapytał Jim.

– Już tu jest – poinformowała go żona, po czym otworzyła szafkę, wyjęła blachę do pieczenia i trzasnęła nią o blat. Jim nienawidził tych jej dziecinnych napadów złości. – Na górce, bierze prysznic. Pewnie taniej ją wychodzi kąpanie się w domu, gdzie nie musi dokładać się do rachunków.

– Ty też za nic nie płacisz, Nor.

Nie czekał na odpowiedź. Ponownie wszedł do holu, stanął przy schodach i nasłuchiwał szumu bieżącej wody. Tak jest. Katie okupowała łazienkę, a Noreen kuchnię, więc była to idealna okazja do umieszczenia książki w bardziej bezpiecznym miejscu.

Wyjął książkę ze schowka i szybkim krokiem okrążył dom, trzymając ją nisko przy nodze. We wschodnim rogu ogrodu znajdującego się na tyłach domu stała szopa. Jego szopa. Drzwi zamykał na ogromną kłódkę, do której tylko on znał właściwą kombinację.

Miejsca nie było dużo, zaledwie dwa i pół na trzy metry, ale w całości należała do niego. W jednym rogu stała wysoka, stalowa szafka z mniejszą kłódką zabezpieczającą drzwi. Trzymał tam też składany stół piknikowy, na którym stał stary radiodbiornik, oraz poobijany fotel z wyblakłą i podartą tapicerką. Został jako jedyny z kompletu wyrzuconego z domu kilka lat temu. W szopie było tylko jedno małe okno, zasłonięte zaciemniającą żaluzją. Pochlapana farbą lampka biurowa stała na wywróconej do góry nogami skrzynce po mleku, tuż obok niewielkiego regału, na którym znajdowały się typowe akcesoria z ogrodowej szopy: stare puszki po farbie, nawóz, trutka na szczury, pojemnik z karmą dla ptaków oraz starannie zwinięty szlauch.

Nie było sensu nadmiernie się wysilać: w końcu to tylko książka, a szopa była zabezpieczona. Równie dobrze mógł zostawić egzemplarz gdziekolwiek. Tylko Jim miał dostęp do tego pomieszczenia. Ostatecznie uniósł siedzisko fotela i tam wsunął książkę.

Na pamiątkę starych czasów.

Właśnie miał wychodzić, ale w oko wpadła mu pewna rzecz stojąca na regale.

Trutka na szczury.

Jim leżał w ciemności z rękami założonymi na klatce piersiowej i czekał. W domu panowały cisza i spokój. Odkąd wybiła północ, z trudem powstrzymywał sen. Zmęczenie osłabiało kończyny, zamykało powieki i spowalniało oddech, ale ciekawość była silniejsza, a godziny nocne to najlepsza pora do dalszego zapoznawania się z *Mężczyzną bez twarzy*. Nie mógł zasnąć.

Kolacja była niesmaczna, tak jak się spodziewał. Jediną atrakcją stanowiły kruche ciasteczka, które przygotowała dla Katie jej współlokatorka. Ich córka żywo opowiadała o życiu na uczelni, wyraźnie czerpała z niego garściami. Od zawsze była aktywna, ale teraz włączyła wyższy bieg. Dołączyła do akademickiej drużyny wioślarskiej i biegowej. Kiedy Jim przytulił ją na do widzenia, poczuł przez ubranie jej wystające łopatki. Efekty ciężkiej pracy i aktywnego życia.

Oczywiście w trakcie pożegnania Noreen rozwodziła się na temat za szczupłej sylwetki Katie, mówiła, że powinna więcej jeść, odpoczywać i zapytała, dlaczego nie zjadła przyniesionych przez siebie ciasteczek. Jim powiedział Noreen, że powinna brać przykład ze swojej zdyscyplinowanej córki, tym samym ucinając niepotrzebną dyskusję.

Żona leżała teraz obok niego. Jej oddech był głęboki i regularny, a ciało nieruchome. Spała na plecach i wydawała specyficzne, nosowe dźwięki. Jedną rękę trzymała na kołdrze i nawet w półmroku Jim widział pomarszczoną, starzejącą się, zwisającą przy nadgarstku, cienką jak bibuła skórę. Miała spuchnięte dłonie i złota obrączka na palcu wrzyniała się w ciało. Noreen była od niego sporo młodsza, ale ponieważ o siebie nie dbała, wyglądała na starszą.

Wybiła pierwsza. Żona nie kręciła się już od pół godziny, więc Jim ukradkiem wymknął się z łóżka.

Mieszkali w tym domu przez całe swoje małżeńskie życie, dlatego Jim doskonale wiedział, gdzie znajduje się każdy skrzypiący schodek czy trzeszczący zawias. Poruszając się na palcach po ciemnym domu, nie mógł uwierzyć w absurdalność zaistniałej sytuacji. Ile to nocy po cichu i sprawnie otwierał drzwi wejściowe domu, licząc, że w końcu nadarzy się odpowiednia okazja do wykonania roboty? I teraz, lata później, robi dokładnie to samo, żeby poczytać książkę o własnych dokonaniach. Dziwne, ale ekscytujące uczucie. Kiedy wyszedł na zewnątrz, był już w pełni przytomny.

Miał na sobie spodnie od piżamy, klapki i płaszcz, który zdjął z wieszaka w holu. Gdyby ktoś go zobaczył, na pewno bardzo by się zdziwił. Jim stanął przy drzwiach wejściowych i rozejrzał się po okolicy. Jego dom był drugi od końca w rzędzie identycznych bliźniaków. Naprzeciwko stały takie same budynki w takim samym rzędzie. Przyjrzał się ich oknom. Wszystkie były zasłonięte. Co prawda, na kilku werandach świeciło się światło, ale to wszystko. Na osiedlu mieszkały małe dzieci, ich rodzice pracujący od ósmej do szesnastej i starsze małżeństwa, takie jak on i Noreen.

Zadowolony okrążył dom i wszedł do szopy. Sprawdził, czy żaluzje zasłaniają całe okno, włączył lampkę, a następnie wyjął książkę spod siedziska fotela i się w nim rozsiadł.

W szopie było chłodniej niż na zewnątrz. Jim pomyślał, że powinien zainwestować w niewielki grzejnik albo przynieść z domu koc. Nie pogardziłby też kubkiem gorącej herbaty, ale czajnik głośno gwizdał. Może w przyszłości sprawi sobie termos, który napełniałby wcześniej.

W końcu otworzył *Mężczyznę bez twarzy* i wrócił do lektury.

Łapacz snów

Latem roku dwutysięcznego Christine Kiernan miała dwadzieścia trzy lata i po raz pierwszy zamieszkała sama. Odziedziczyła po babce dwupokojowe mieszkanie w kompleksie o nazwie Covent Court, mieszczącym się przy Blackrock Road na przedmieściach Cork City. Normalnie kompleks nie otrzymałby nazwy, ale dzieło północnoirlandzkiego architekta Paula Berry'ego uznano w latach sześćdziesiątych za wspaniały przykład współczesnego wzornictwa. Grupy studentów z zagranicy nadal tu przyjeżdżały, żeby podziwiać budynki i szkicować elewacje, siedząc po turecku na środku dziedzińca, podczas gdy mieszkańcy zasłaniali żaluzje i przewracali oczami, zmęczeni ciągłymi odwiedzinami, ale pewnie skrycie zadowoleni z prestiżowego statusu ich rezydencji. Na małej tabliczce przy wjeździe umieszczono informację, że Covent Court zdobyło w 1972 roku srebrny medal Królewskiego Instytutu Architektów Irlandzkich w dziedzinie mieszkalnictwa. Gdy któreś z mieszkań wystawiano na sprzedaż, w ogłoszeniu pisano „rezydencja miejska”, a agenci nieruchomości szybko męczyli się ciągłym poprawianiem potencjalnych nabywców w kwestii nazwy: „Nie, nie mieszkanie. Rezydencja miejska”.

Christine nienawidziła tego miejsca. Kiedy odwiedziłam je pewnego kwietniowego, pochmurnego dnia, zrozumiałam dlaczego. Wiele rozwiązań, które wydawały się nowoczesne sześćdziesiąt lat temu – płaskie dachy, aluminiowe rozsuwane drzwi, sufity pokryte drewnem cedrowym, przesuwne okna – obecnie popadało w ruinę przez zły dobór materiałów podatny na zniszczenie spowodowane opadami deszczu. Kompleks przypominał mi budowane po kosztach mieszkania socjalne, których konstrukcje rozpadały się jeszcze przed oddaniem do użytku.

Od wewnątrz Covent Court przypominało plan starego filmu o Jamesie Bondzie albo miejsce sesji w kolorowym czasopiśmie do artykułu o żonach astronautów. Pokoje miały dziwne kształty, kompletnie niepasujące do obecnych standardów. Nawet w najpogodniejsze dni musiało być tu ciemno. Odślonięta cegła, powierzchnia sufitu, wyszlifowany beton, z którego wykonano kominki, blaty kuchenne i schody, całkowicie pochłaniały promienie słońca.

Agent nieruchomości, który pokazywał mi mieszkanie, zasugerował pomalowanie ścian na biało i powieszenie luster. Spotkaliśmy się w środku dnia, a mimo to włączył światła we wszystkich pomieszczeniach.

Mieszkanie Christine należało do niej, ale stanowiło ostatni pomost między nią, babcią i resztą licznej rodziny. Mary Malloy zginęła w wypadku na przejściu dla pieszych w wieku sześćdziesięciu czterech lat. Cały klan Kiernanów długo nie mógł dojść do siebie po stracie. Pomysł sprzedaży obcym ludziom mieszkania pełnego wspomnień po tragicznie zmarłej kobiecie wydawał się okrutny. Christine nie chciała narazić się rodzinie, a poza tym jej matka – najstarsza córka Mary – i tak nie pozwoliłaby na sprzedaż.

Ale Christine zmieniła wystrój. Rozwiesiła zdjęcia z różnych zakątków świata w tematycznych galeriach. Kupiła nowoczesną kanapę w szmaragdowym kolorze, którą wypatrzyła na powystawowej wyprzedży. Powiesiła koszyk z petuniami przy drzwiach frontowych i łapacz snów przy tylnych drzwiach wychodzących na mały ogródek, z którego można było dojść na skróty do głównej ulicy. Łapacz snów miał dzwonki i gdy tylko mocniej zawiało, delikatnie brzęczał, ale na tyle cicho i kojąco, że nie irytował sąsiadów. Christine zastanawiała się też nad pozbyciem się cienkich firanek, żeby wpuścić do pomieszczenia więcej światła.

Covent Court to same okna. Stanowiły najbardziej nowatorskie rozwiązanie w całym kompleksie: było ich więcej niż ścian, sięgały od sufitu do podłogi. Budynki ustawiono wokół

dziedzińca w kształt tworzący wąską literę „U”. Christine, dzięki własnym obserwacjom, doskonale wiedziała, że żaden z sąsiadów z naprzeciwka nie widzi wnętrza jej mieszkania, ale i tak czuła się widoczna. Pewnie dlatego, że mimo znaków z napisem „Własność prywatna” w całym kompleksie nie było bramy ani szlabanu – choć po niedawnym włamaniu wśród rezydentów pojawiły się głosy, że warto je postawić. Ogólnie rzecz biorąc, każdy mógł wejść na teren Covent Court.

Pewnego dnia rano, w pierwszym tygodniu lipca – najprawdopodobniej czwartego i nie później niż szóstego – Christine w końcu zdjęła firanki na parterze. Efekt był zadowalający. Może czuła się mniej komfortowo, ale coś za coś. Trzeba się będzie przyzwyczaić, w zamian za to do pokoju wpadało więcej światła.

A potem dostrzegła odciski dłoni.

CHOMIKO - WARNIA

Jim odłożył książkę i wstał z fotela, postępując, ale natychmiast przypomniał sobie, że jest środek nocy i powinien zachowywać się cicho. Otworzył szafkę z narzędziami i poszukał w niej czegoś do pisania. W słoiku z różnymi drobiazgami znalazł klucze imbusowe oraz krótki, gruby ołówek. Był naprawdę krótki, ale na dzisiaj wystarczy. Jutro Jim przyjdzie do swojej czytelnicy lepiej przygotowany.

W ostatniej szufladzie leżał stary kompaktowy odkurzacz, któremu brakowało rury i nasadek. Miał turkusowozielony kolor, a na obudowie widniał napis GOBLIN. Kilka lat wcześniej Jim wziął go z kontenera stojącego niedaleko wjazdu na osiedle. Nachylił się, chcąc zdjąć pokrywę odkurzacza, lecz szybko się rozmyślił.

Jeszcze nie pora.

Czytanie książki to jedno, a otwarcie tego to już zupełnie coś innego.

Zamknął szafkę i ponownie rozsiadł się w fotelu. Na wewnętrznej stronie okładki *Mężczyzny bez twarzy* napisał:

Eglin – kim/gdzie teraz

Artykuł w Irish Timesie – maj 2015

Nóż/lina – nowe zeznania sąsiadów?

„Niedawne włamanie” – więcej??? Sprawdź!

Gruba grafitowa końcówka sprawiała, że litery były niezgrabne i rozmazane.

Jim wrócił do lektury, cały czas trzymając ołówek w dłoni.

Znalazła je na największym oknie w salonie. Poprzedniego dnia ich tam nie było. Dwa duże ślady, mniej więcej w połowie wysokości, obok siebie, jakby ktoś opierał się o szybę, żeby zajrzeć do środka. Christine wyszła na zewnątrz, aby lepiej się im przyjrzeć. Raczej smugi niż odciski. Podglądacz musiał dotykać wcześniej czegoś tłustego. Ślady po palcach były nienaturalnie rozstawione. Tak jak odrysowują dłonie dzieci.

Miało się wrażenie, jakby ktoś umyślnie zostawił dowód. Christine zmyła ślady i ponownie zawiesiła firanki.

Pewnej nocy, kiedy miałam dziewięć lub dziesięć lat, obudziło mnie trzeszczenie schodów i stukot kroków, wybijany w równym tempie. Lewa, prawa. Lewa, prawa. Lewa, prawa. Od razu domyśliłam się, że coś jest nie tak, ponieważ słyszałam delikatne chrapanie ojca śpiącego w sypialni obok, a gdy moje oczy przywykły do ciemności, naprzeciwko zobaczyłam śpiącą Annę zawiniętą w koc. Odgłos nie przypominał lekkiego kroku mamy. Kto wchodził po schodach w naszym domu w środku nocy? I dlaczego robił to tak powoli?

Wstrzymałam oddech i leżałam sparaliżowana strachem, wydawać by się mogło przez całą wieczność, ale w rzeczywistości trwało to pewnie kilka sekund. Po tym czasie wszystko stało się jasne. Otwarte gdzieś okno powodowało przeciąg, przez co drzwi do mojej sypialni co chwila uchylały się i przymykały przy akompaniamencie zgrzytu nienaoliwionych zawiasów.

W nocy czternastego czerwca dwutysięcznego roku Christine Kiernan przeżyła coś podobnego. Obudził ją stukot kroków, a jej kończyny zeszytywniały ze strachu. Różnica polegała na tym, że w przypadku Christine nie były to omamy słuchowe. Dźwięk był coraz głośniejszy. Po chwili ucichł, kiedy ten ktoś wszedł na wyłożoną dywanem podłogę na półpiętrze. Potem z cienia wyłoniła się sylwetka i w końcu przy łóżku Christine stanął zamaskowany mężczyzna.

Żaden z sąsiadów nie pamiętał, żeby coś słyszał, ale dziewczyna zdołała wydać z siebie jeden przeraźliwy krzyk, zanim dłoń w rękawiczce wylądowała na jej ustach, a czubek ostrego narzędzia, prawdopodobnie noża, na jej szyi. Dziwnym, niemal teatralnym szeptem napastnik powiedział jej, że jeśli będzie cicho, to „tylko” ją zgwałci, ale jeśli narobi hałasu albo spróbuje uciec, zginie. Następnie przewrócił dziewczynę na brzuch i związał jej nadgarstki. Potem był już tylko ból.

Christine miała niecałe sto siedemdziesiąt centymetrów wzrostu i ważyła około pięćdziesięciu kilogramów. W siłowym starciu nie miała szans z wysokim, dobrze zbudowanym, ciężkim, a do tego uzbrojonym mężczyzną. W związku z tym, kiedy on ją gwałcił, ona zrobiła to, co mogła i całkowicie wyłączyła umysł. Próbowwała oderwać się od rzeczywistości i skupić na tym, co zrobi później: dopilnuje, żeby napastnik trafił za kratki.

Podsumowała w głowie, ile o nim wie. Widziała go, jak stał w progu, więc mogła określić jego wzrost. Nie mówił z obcym akcentem, czyli pochodził z Irlandii, może nawet mieszkał w okolicy. Skóra wokół jego oczu była biała. Christine odniosła wrażenie, że mężczyzna miał między trzydzieści a czterdzieści lat. Pachniał czymś ziemistym, chyba mokrymi liśćmi i błotem. Obiecała sobie, że jeśli tylko nadarzy się okazja, wpije się w niego paznokciami. Wiedziała z telewizji, że policja jest w stanie wydobyć spod paznokci materiał genetyczny. Niestety, z rękami zawiązanymi z tyłu nie miała szans. Kiedy gwałciiciel skończył, obrócił ją na plecy i wsadził jej do ust zwiniętą skarpetę. Dziewczyna nie mogła złapać oddechu i zaczęła się krztusić.

Usiadła, mając nadzieję, że to pomoże. Nic z tego. Powoli traciła przytomność, a napastnik nie reagował. Siedział na krawędzi łóżka i obserwował, jak ona się dusi. Czowała ból, jakby przeszywał ją prąd. Potem pojawiło się też pieczenie w klatce piersiowej i panika, że nie jest w stanie złapać oddechu. W ostatniej chwili, kiedy myślała, że to już koniec, gwałciiciel przystawił jej nóż do twarzy i kiwnął ostrzem. To było pytanie. Bez wahania skinęła głową. Nie będzie

krzyżeć. Mężczyzna wyciągnął skarpetkę, a Christine od razu zwymiotowała na rękawy jego ubrania, swoją koszulkę i pościel.

Napastnik odskoczył w tył, jakby substancja była radioaktywna. Stał przy krawędzi łóżka i przypatrywał się przez chwilę swojej ofierze, po czym odwrócił się i wyszedł.

W tym przerażającym wydarzeniu najgorsze dla Christine było to, że nie wiedziała, jak długo będzie musiała cierpieć ani co nastąpi później. Czy sytuacja jeszcze się pogorszy? Co wymyśli napastnik? Czy ona zdoła wytrzymać ból? Z jakimi obrażeniami skończy? A może on po prostu ją zabije? Tak długo, jak przebywał w jej sypialni, przeżywała coś gorszego niż gwałt: nieświadomość, do czego to wszystko zmierza. Jego nagłe wyjście oznaczało, że cierpienie dobiegło końca. Należało iść naprzód i myśleć o tym, co się wydarzyło, w czasie przeszłym. Christine nie spodziewała się takiego obrotu spraw i nie wiedziała, co robić. Nasłuchiwała, jak jej oprawca zbiega po schodach i zatrząskuje za sobą drzwi. Potem siedziała nieruchomo w ciszy, która nastąpiła. Płakała, cierpiała i krwawiła.

A gdy nadszedł świt, poszła szukać pomocy.

Christine nie miała rodzeństwa. Jej ojciec był właścicielem sieci restauracji szybkiej obsługi, a matka prowadziła agencję pijarowską, znaną w mieście z przesadnie wystawnych promocji nowych produktów i sesji zdjęciowych z celebrytami czwartej kategorii. Kiernanowie mieszkali w designerskiej oszklonej posiadłości z widokiem na ujście rzeki przy Rochestown Road, zbudowanej na wzniesieniu (dla widoków – twierdzili ich przyjaciele; żeby wszyscy mogli zobaczyć, ile mają kasy – mamrotali wrogowie). Lokalnie znany był jako „ten dom z basenem”. Christine uczęszczała do szkoły w centrum miasta, w której od pokoleń kształciły się córki zamożnych rodziców, ale nawet tam uznawano ją za dziwaczkę i inną, ponieważ jej rodzina wystawiała swój majątek na pokaz. Kiedy dostała się na uniwersytet w Cork, nie potrafiła znaleźć wspólnego języka z kolegami z roku: oni wiązali koniec z końcem, pracując na pół etatu, mieli określone poglądy polityczne i mieszkali w obskurnych mieszkaniach, a ona czuła się, jakby przybyła z innej planety i mówiła w obcym języku. Co prawda, znalazła kilku znajomych, ale nie dzieliła się z nimi swoimi odczuciami. Trzy miesiące przed atakiem Christine zdała egzaminy i ruszyła naprzód.

Podjęła pracę jako asystentka zarządu w kancelarii prawniczej, która w nazwie miała nazwisko najlepszego przyjaciela jej ojca, i szybko zbliżyła się do innego nowego pracownika, syna jednego ze wspólników firmy. Spędziła z nim i jego rodziną oraz przyjaciółmi kilka letnich weekendów. Raz postanowili, dla kaprysu, polecieć we dwójkę na dzień do Paryża. Christine miała bliską relację z jedną ze swoich kuzynek, Emmą, z którą wymieniała korespondencję od 1996 roku, gdy rodzina Emmy przeprowadziła się do Dubaju. W jednym z mejli Christine przekazała Emmie, że w końcu jest szczęśliwa, a przynajmniej wszystko do tego zmierza.

Christine korzystała w życiu z wielu przywilejów, a jej przyszłość miała być łatwa, wygodna i stabilna finansowo. Ale potem pojawił się tamten mężczyzna. Żeby wyleczyć się z takiej traumy, potrzebne było wsparcie. Szybko stało się jasne, że akurat w tym aspekcie życia Christine była niezwykle uboga. Nie utrzymywała bliskich kontaktów z rodzicami, nie miała rodzeństwa i niewielu, o ile w ogóle, przyjaciół. Jej związek zakończył się z powodu tego, co stało się z jej ciałem. Christine nie chciała być dotykana – raczej zrozumiałe – ale partner dziewczyny nawet nie chciał jej dotykać i patrzył na nią z obrzydzeniem. Co więcej, mieszkańcy Covent Court wydawali się bardziej zaniepokojeni niedogodnościami związanymi z obecnością policji i złą reputacją niż zdrowiem młodej sąsiadki. Christine, co dla wielu było niepojęte, zdecydowała się wrócić do Covent Court i nadal mieszkać tam sama. Zainstalowała system alarmowy i wymieniła zamki, ale mimo wszystko decyzja była zaskakująca.

W okolicy nigdy nie doszło do czegoś podobnego. Nic dziwnego, że sprawa zdominowała

nagłówki gazet. W żadnym artykule nie padło nazwisko Christine, ale wszyscy miejscowi wiedzieli, o kogo chodzi. Do wywiadów ustawiała się długa kolejka byłych „koleżanek” ze szkoły, które ubarwiały pojawiające się plotki. Na przykład, jak to w piątej i szóstej klasie przyjeżdżała do szkoły własnym land roverem, a ojciec załatwił jej specjalne pozwolenie, dzięki któremu mogła parkować na miejscu dla kadry nauczycielskiej. Albo jak nosiła się po szkole w markowych ubraniach, a podręczniki trzymała w designerskich torbach. Czy to, jak matka kupiła jej apartament w The Elysian, żeby uniknęła trzydziestominutowych dojazdów na uniwersytet z rodzinnego domu. Nikt nie odważył się powiedzieć tego wprost, ale podtekst był jasny: każdy człowiek musi wycierpieć swoje. Do tej pory Christine nigdy nie cierpiała, więc jej pierwsza dawka przyszła z podwójną siłą. Poza tym, hej, przecież nie zginęła.

Siedem tygodni po ataku detektyw Garda, Geraldine Roche, prowadząca śledztwo w sprawie, udała się na umówione spotkanie z Christine do jej mieszkania w Covent Court. Dziewczyna nie odpowiadała na pukanie do drzwi i nie odbierała telefonu. Zaniepokojona wyważyła drzwi i znalazła ją nieprzytomną na łóżku. Christine przedawkowała leki przeciwbólowe i dwa dni później zmarła w szpitalu.

Z powodu zaistniałych okoliczności Gardaí po raz kolejny przeszukali mieszkanie. Zbadano i sfotografowano każdy centymetr powierzchni – i to o wiele dokładniej niż poprzednio, ponieważ tym razem Christine nie mogła już pomóc w śledztwie.

Podczas przeszukania techniczka kryminalistyczna znalazła działający telefon stacjonarny, choć raczej nieużywany ze względu na brak słuchawki. Urządzenie leżało w szafce wraz z kablem owiniętym wokół aparatu. Był to stary model w beżowym kolorze, z tarczą obrotową. Niewątpliwie należał do babci Christine, a sama dziewczyna prawdopodobnie nigdy go nie użyła. Mimo to Gardaí musieli mieć pewność.

Techniczka знаła sposób, jak szybko się tego dowiedzieć. Podłączyła telefon i wykręciła trzycyfrowy numer, który na początku lat dwutysięcznych pozwalał uzyskać dostęp do wbudowanej poczty głosowej. Jak w wielu innych domach, kod dostępu nie został zmieniony z domyślnego 1,2,3,4, dzięki czemu specjalistka mogła wysłuchać pozostawionych wiadomości.

Najpierw usłyszała głos z automatu, który ostrzegł, że skrzynka jest pełna. Potem nastąpiła seria prawie identycznych wiadomości, różniących się jedynie datą i godziną nagrania. Każda trwała około minuty lub dwóch minut. Ten sam męski, szorstki głos szeptał: „Jestem, Christine. Wpuść mnie”, a w tle słychać było pobrzękiwanie dzwoneczków wietrznych.

Pierwszą wiadomość pozostawił dwudziestego lipca, sześć dni po ataku. Ostatnią dwa tygodnie temu, dziewiętnastego sierpnia. To oznaczało, że napastnik powracał do Covent Court.

Łącznie nagrał trzynaście wiadomości.

Pogoda dopisywała podczas mojej drugiej wizyty w Covent Court: niebieskie niebo, lekka bryza, grzejące słońce. Wymieniałam korespondencję mejlową z Margaret Barry – sąsiadką, która znalazła nóż i linę pod poduszką na swojej kanapie, dwa tygodnie przed atakiem na Christine. Po wielu tygodniach namawiania w końcu zgodziła się ze mną spotkać.

Przemierzając dziedziniec, minęłam grupkę studentów. Czulałam na sobie ich spojrzenia. Założyłam, że przyjechali tu podziwiać architekturę, ale kiedy wspomniałam o tym, Margaret stwierdziła, że odkąd ukazał się mój artykuł, trudno stwierdzić, po co się tutaj zbierają. Mężczyzna bez twarzy ponownie trafił na pierwsze strony gazet i przyciągnął do Covent Court entuzjastów zwiedzania miejsc zbrodni.

Margaret jest po sześćdziesiątce i ma siwe włosy obcięte na krótko. Każe mówić na siebie Maggie. Ma irlandzkie korzenie, ale dorastała w Berkeley w Kalifornii, wychowywana przez rodziców urodzonych w Cork. Przyjechała do Irlandii w wieku dwudziestu sześciu lat. Lato dwutysięcznego roku spędziła, pracując w biurze międzynarodowym uniwersytetu w Cork. Aparta-

ment w Covent Court kupiła niecały rok wcześniej, kiedy rozpadł się jej długoletni związek, który, jak sądziła, zmierzał do ślubu. Margaret widywała babcię Christine, Mary Malloy, lecz nigdy z nią nie rozmawiała – mieszkały na przeciwległych krańcach Covent Court. Nie wiedziała o istnieniu Christine, aż do poranka dzień po ataku. Wtedy odsłoniła zasłony i zobaczyła radiowozy zaparkowane na dziedzińcu i dwóch umundurowanych funkcjonariuszy, którzy po chwili zapukali do jej drzwi.

W dniu, w którym się poznałyśmy, miała na sobie długą, wzorzystą letnią sukienkę i błyszczące sandały. Gdy zwróciłam na nie uwagę, wyjaśniła, że tego popołudnia wybiera się na urodzinowy grill do koleżanki. Mimo upływu lat, jej amerykański akcent nie zniknął. Usiadłyśmy w ogrodzie ogrzewanym przez promienie słońca i piłyśmy mocną, gorzką kawę z eleganckich filiżanek. Maggie powiedziała, że czytała mój artykuł, ale nie jest pewna, czy jest na tyle zdeterminowana, żeby przeczytać całą książkę.

Znalazła nóż i linę podczas cotygodniowego sobotniego sprzątanía. Stała nieruchomo i wpatrywała się w przedmioty z głośno bucującym odkurzaczem u stóp. Szukała w głowie jakiegoś sensownego wytłumaczenia. Po pewnym czasie wyłączyła urządzenie, ale nadal patrzyła na przedmioty. Jak się tutaj znalazły? Nie należały do niej. Była pewna, że w poprzednią sobotę ich tam nie było, a przez ostatni tydzień nikogo nie zapraszała.

Zadzwoiła na policję i czekała na funkcjonariuszy przed domem, ponieważ na zewnątrz czuła się bezpiecznie. W końcu pojawiły się dwie Gardaí. Spisały zeznanie Maggie i zabrały znalezione przedmioty. Poradziły jej, żeby dokładnie zamykała okna i drzwi i zostawiły jej kartkę z numerem, na który miała zadzwonić, gdyby coś się wydarzyło.

– Potraktowały mnie poważnie – powiedziała Maggie. – Ale nie mogły zrobić nic więcej.

To nie był świat, w którym zamaskowani mężczyźni włamywali się do domów na przedmieściach Cork City w środku nocy i napadali na samotnie mieszkające w nich kobiety. Jeszcze nie. Przez blisko dwa kolejne tygodnie Maggie zadrezczała się myślą o odkryciu. Nie traktowała tego jako groźby, raczej chciała rozwikłać tajemnicę pojawienia się u niej znaleźiska. Szukała wyjaśnienia na wiele sposobów: przepytowała znajomych, zadzwoniła nawet do firmy, która wyprodukowała kanapę, żeby zapytać, jakich materiałów używali, ale ostatecznie nie zdołała wymyślić żadnego rozwiązania. Nie wydawało jej się prawdopodobne, że ktoś włamał się do domu, aby zostawić rzeczy pod poduszką, i wyszedł, nie uszkadzając okien ani drzwi. Po co miałyby to robić?

Potem doszło do ataku na Christine i wszystko nabrało nowego, strasznego sensu. Zobaczywszy nóż, Maggie pomyślała o sklepach budowlanych, ale teraz oczami wyobraźni widziała pchnięcia wykonywane przez napastnika i nadgarstki oraz kostki dziewczyny związane liną. Udała się do komisariatu policji w Togher, żeby ponownie złożyć zeznanie. Jej uwagę zwrócił fakt, że rozmawiający z nią policjant skupił się przede wszystkim na opisie znalezionych przedmiotów.

– Przecież je macie – powiedziała. – Nie może pan po prostu spojrzeć?

– Mamy problem z ich zlokalizowaniem – przyznał w końcu funkcjonariusz. – Prawdopodobnie zostały źle oznaczone, ale na pewno je znajdziemy.

Zapytałam Maggie o moment, w którym połączyła znalezienie przedmiotów z napaścią na Christine i kiedy zdała sobie sprawę, że to ona była pierwotnym celem gwałciiciela.

Chciałam usłyszeć od niej, że zrobiła, co mogła, mimo że zgłoszenie znaleźiska nie zapobiegło napadowi. Podświadomie pragnęłam udowodnić sobie w ten sposób, że gdybym zrobiła to samo, nic by to nie dało, i pozbyć się towarzyszącego mi poczucia winy.

Maggie nie odpowiedziała od razu. Specjalnie wzięłam łyk kawy, żeby dać jej więcej czasu na zastanowienie. Kiedy ponownie na nią spojrzałam, zobaczyłam łzy napływające do jej

oczu.

– Ulga – szepnęła. – Poczułam ulgę.

CHOMIKO_WARNIA

Jim cały czas pamiętał kwaśny odór wymiocin. Ich nieprzyjemne ciepło na jego skórze. Były żółtozielone i miały pomarańczowe resztki niestrawionego jedzenia. Nie tylko zabrudziły pościel, ale też odebrały mu całą frajdę. Doskonale wiedział, że nie odtworzy w głowie wspomnień z tej nocy bez przypomnienia sobie nieprzyjemnego zapachu. Kontynuowanie tak zrujnowanej akcji nie miało sensu, więc po prostu wstał i wyszedł.

Chociaż mógł ją zabić.

Powinien, biorąc pod uwagę, że ostatecznie popełniła samobójstwo.

Gdyby tylko ta głupia baba, sąsiadka, nie znalazła noża i liny kilka godzin przed tym, gdy planował zrobić z nich użytek.

Przynajmniej nauczył się czegoś tamtej nocy: żadnych skarpet. Krawat wciśnięty między górną szczękę a żuchwę i zawiązany z tyłu głowy sprawiał, że ofiara musiała mieć otwarte usta, lepiej uciszał i usuwał ryzyko zakrzepienia. Podczas przedostatniej akcji, w domu na Westpark, użył krawata należącego do ofiary. Do tej pory nikogo jeszcze nie zabił i nikt nie wiedział, że Mężczyzna bez twarzy w ogóle istnieje – wszystko miało dopiero nadejść. Tamta para pomyślała pewnie, że jest zwykłym włamywaczem. Musiał im uświadomić, że czeka ich coś znacznie, znacznie gorszego. Pragnął zobaczyć strach w ich oczach i trzęsące się kończyny.

Stanął więc w drzwiach ich sypialni i wyciągnął z kieszeni krawat w charakterystyczny wzór w batoniki pewnej znanej marki. Należał do tamtego mężczyzny. Od razu spostrzegli, że nie był w ich domu po raz pierwszy. Płacz i drżenie pojawiły się niemal natychmiast.

Był z tego niezwykle dumny.

Nocny terror

Ostrzeżono mnie, że nigdy nie znajdę właściwego domu sama, więc Patricia Kearns proponuje, żebyśmy spotkały się w Fermoy, skąd mnie do niego zawiezie. Mówi, żebym zatrzymała się przed sklepem Aldi i szukała krótko ostrzyżonej blondynki w czerwonym płaszczu. Zauważam ją już podczas parkowania. Stoi w pobliżu wejścia i trzyma kartonową tackę z dwoma papierowymi kubkami z kawą. Po wymianie grzeczności i ponownym podziękowaniu z mojej strony, idziemy do jej samochodu, dacji duster w kolorze szklawionej terakoty.

– Mieści się w nim cały zespół – rzuca, czule poklepując auto.

Patricia ma trójkę dzieci w wieku od jedenastu do dziewiętnastu lat. Przeprasza za stan wnętrza samochodu, a ja macham ręką i mówię, że pewnie i tak bym nie zauważyła, ale po otwarciu drzwi widzę pełno okruchów oraz pustych opakowań po jedzeniu, a zapięcie pasa bezpieczeństwa pozostawia uczucie lepkości na palcach.

Patricia jeździ szybko. Po kilku minutach opuszczamy Fermoy i wjeżdżamy na wąskie, kręte wiejskie drogi osłonięte po obu stronach przez żywopłoty. Na początku liczę zakręty i tworzę w głowie mapę trasy, próbując udowodnić samej sobie, że dałabym radę znaleźć dom. Wkrótce przyjmuję jednak, że byłoby to niemożliwe. Tracę rozeznanie po trzecim zakręcie w lewo, a przed nami jeszcze skrzyżowania i dwa rozwidlenia. Na trasie nie ma żadnych znaków, każda droga wygląda tak samo. Ostatecznie poddaję się i spoglądam przez okno na mijane pola.

Dotarcie do domu trwa dziesięć minut. Znajduje się na odcinku drogi, który kończy się ślepym zaułkiem i stojącymi w rzędzie pięcioma domami. Patricia powiedziała mi, że ziemia należała do jednego rolnika, który podzielił ją na działki i sprzedał. Od razu rozpoznaję interesującą mnie posiadłość. Tylko ona jest zbudowana w amerykańskim stylu: wielopoziomowy dach i zamontowane w nim długie okna, przez które widać kręcone schody. Na zewnątrz nie stoi żaden samochód i wszystkie zasłony są zaciągnięte.

– Są na Florydzie – mówi Patricia, wyłączając silnik. Zaparkowała tuż przed bramą. – Ale Jean powiedziała, że możemy rozejrzeć się po posesji.

Żwir chrzęści nam pod stopami, gdy idziemy podjazdem. Słońce wznosi się za domem, więc muszę osłaniać oczy dłonią. Pytam Patricię, czy była tu przed wezwaniem.

– Nie – odpowiada. – Tylko przejeżdżałam obok.

Ona również przygląda się posiadłości. Ma zaciśnięte usta, które opadają w kącikach, jakby przed chwilą spróbowała czegoś kwaśnego.

– Straszne – dodaje. – Nie widziałam w życiu nic bardziej okropnego.

Nie musi wyjaśniać, że nie chodzi jej o dom.

The Criminal Assets Bureau założono w październiku 1996 roku, gdy zorganizowana przestępczość w Irlandii osiągnęła najwyższy poziom. W czerwcu tamtego roku dziennikarka „Sunday Independent”, Veronica Guerin, została zamordowana, gdy zatrzymała się samochodem na czerwonym świetle na Naas Road tuż poza granicami Dublina. Dwóch mężczyzn podjechało do jej auta na motocyklach – jeden z nich pociągnął za spust aż sześć razy. Byli współnikami skazanego kryminalisty Johna Gilligana. Guerin publicznie pytała, jak taki człowiek może prowadzić życie milionera, mimo że od długiego czasu jest bezrobotny. Po jej śmierci nastąpiło narodowe oburzenie, a Irlandczycy pragnęli dostać odpowiedź na postawione przez dziennikarkę pytanie.

Utworzenie CAB oraz uprawnienia nadane mu na mocy Ustawy o dochodach pochodzą-

cych z przestępstw z 2002 roku umożliwiły władzom zajmowanie aktywów, które według nich pochodziły z nielegalnej działalności, nawet jeśli ich zarejestrowany właściciel nie był tym, który popełnił przestępstwo. Nieruchomości, samochody, gotówka – w ciągu pierwszych piętnastu lat istnienia CAB przejęło kontrolę nad majątkami wartymi łącznie ponad siedemdziesiąt milionów euro. Dwieście pięćdziesiąt tysięcy z tej puli to dom z sześcioma sypialniami znajdujący się dziesięć minut drogi od miasta Fermoy, w północnej części Cork.

Akty notarialne wystawiono na Barry'ego Pike'a. Ojciec Pike'a, wiecznie opalony Richard, był milionerem, który mówił znajomym, że zajmuje się rozwojem nieruchomości za granicą, podczas gdy w rzeczywistości nielegalnie handlował papierosami. Po tym jak Pike senior został zmuszony do przeprowadzki do więzienia Mountjoy w 1999 roku, dom w Fermoy wystawiono na sprzedaż. Ogłoszenie widniało przez wiele miesięcy. Klienci tłumnie zgłaszali się do oglądania, ale nikt nie chciał kupić domu, który pojawiał się w wiadomościach z powodu swojej złej reputacji. Cena wywoławcza spadała trzykrotnie. Ostatecznie Conor i Linda O'Neillowie, trzydziestokilkulatkowie powracający do Irlandii po dziesięcioletnim pobycie w San Francisco, złożyli najniższą możliwą ofertę, którą ku ich zaskoczeniu natychmiast zaakceptowano. Para otrzymała klucze ostatniego dnia lutego 2001 roku.

Linda nie miała oporów, żeby mieszkać w domu wybudowanym przez kryminalistę, ale nie była zachwycona okolicą. W San Francisco ona i Conor mieszkali w kawalerce na Pacific Heights. Mieli sąsiadów nad i pod sobą i obok siebie. Zawsze towarzyszył im szum włączonych telewizorów i trąbienie aut. W Fermoy słychać było jedynie śpiew ptaków i terkotanie silnika traktora, a najbliższy sąsiad mieszkał daleko. Do tego żadnych przejeżdżających samochodów, ponieważ dom stał przy drodze kończącej się ślepym zaułkiem.

Miasto Fermoy było oddalone o dziesięć minut jazdy samochodem. Koniecznie samochodem, ponieważ podróżowanie pieszo lub na rowerze po okolicznych wiejskich drogach było zbyt niebezpieczne, a transport publiczny tu nie docierał. Szkoda zachodu. Linda poinformowała przyjaciół z San Francisco, że centrum miasta składa się z jednej ulicy, przy której stały budynki użyteczności publicznej – bank, supermarket, fryzjer, sklep budowlany, pięć pubów – i zawsze spotyka się tu kogoś znajomego. Na przykład nowego sąsiada. Albo krewnego Conora, z którym dorastał. Lub znajome twarze za ladami. Wszyscy byli przemili, ale Linda bardzo ceniła sobie anonimowość.

– Pozwól mi to wyjaśnić, bo nie rozumiem – drażnił się z nią Conor. – Kiedy siedzisz w domu, to przeszkadza ci, że wokół nikogo nie ma, a kiedy wybierasz się do miasta, to nie lubisz tego, co się tam dzieje?

Co ciekawe, Linda nie dorastała w tętniącej życiem metropolii. Pochodziła z Shanamore, wysławianego „rozstaju dróg” nad morzem we wschodnim Cork, liczącego całe pięciuset trzydziestu ośmiu mieszkańców. Potem wyjechała na studia do Dublina, gdzie podczas otrzęsin, w kolejce do jednego z klubów nocnych, poznała Conora. Dziesięć lat spędzonych w San Francisco było najszcześniejszym czasem w jej życiu, a teraz, gdy znowu utknęła na irlandzkiej wsi, czuła, że jest miejską dziewczyną. Nie zmieniał tego fakt, że były to skłonności nabyte.

Jednak nie miała wyjścia, musiała się przyzwyczaić. Realizowała pierwszą część planu, który uzgodniła z Conorem. Ich życie w Stanach nie było usłane różami: długie godziny spędzane w pracy, wygórowany czynsz i ciągła presja. Oboje pragnęli zmiany tempa i tak narodził się pomysł powrotu do Irlandii, do miasteczka, w którym dorastał Conor, gdzie mieszkała większa część jego rodziny i gdzie zaoszczędzone przez nich pieniądze miały o wiele większą wartość. Może nawet udałoby się kupić dom i mieć dzieci.

W zadomowieniu się w nowym miejscu nie pomógł fakt, że Conor mógł nadal pracować dla tej samej firmy, która ściągnęła go do Stanów, po prostu przenosząc się do jej europejskiej

siedziby w Cork City. Linda nie miała takiej możliwości. Najpierw patrzyła na to jak na nowe otwarcie, chwilę przerwy, która pomoże jej znaleźć właściwą ścieżkę kariery. Miała niejasne wyobrażenie, że napisze powieść albo założy firmę konsultingową, a może otworzy szkołę jogi na pustej przestrzeni za domem. Ale na razie spędzała większość czasu, nadzorując remont domu. Człowiek, za którego pieniądze został zbudowany, dał upust swoim nowobogackim upodobaniom i obsesji na punkcie osobistego bezpieczeństwa: zamontował kuloodporne szyby, skomplikowany system monitoringu z pokojem kontrolnym wielkości szafy, armaturę łazienkową z litego złota, windę (jeżdżącą między parterem a pierwszym piętrzem) i drukowany mural przedstawiający tropikalną plażę, który zajmował trzy ściany głównej sypialni. Linda nie mogła się doczekać, aż zrobi wszystko po swojemu.

Kiedy Connor oświadczył, że został wezwany z powrotem do San Francisco, żeby dokończyć jakiś ważny projekt, Linda odmówiła wyjazdu z nim. Pobyt miał trwać tylko trzy tygodnie. Jako pretekstu użyła argumentu, że musi doglądać prac remontowych, chociaż prawdziwym powodem było to, że bała się drugiego w ciągu pół roku rozstania z ukochanym miastem – tym razem doskonale wiedząc, gdzie wraca – co byłoby zbyt bolesne. Postanowiła zostać w domu w Fermoy. Sama.

Na pierwsze incydenty Linda nie zwróciła większej uwagi, więc później trudno było ustalić, kiedy tak naprawdę się zaczęły i ułożyć je chronologicznie. Wiadomo tylko, że zdarzyły się po wyjeździe Conora do San Francisco. Linda pamiętała, że:

- Pewnej nocy zostawiła włączone światło w holu, kiedy szła na górę do sypialni, a następnego dnia rano było wyłączone. Nie chodziło o przepaloną żarówkę, Linda sprawdziła to, pstrykając przełącznikiem. Mimo to stwierdziła, że coś jej się pomieszało i machnęła na to ręką.

- Telewizor w salonie sam się włączył. Stało się to pewnego wczesnego wieczora, gdy Linda wstawiała naczynia do zmywarki. Przestraszyła się, kiedy nagle usłyszała jakieś głosy, a potem się zdziwiła, zdając sobie sprawę, że dochodzą z telewizora w sąsiednim pokoju. W tamtym momencie jeszcze nie rozważała możliwości, że ktoś mógł włamać się do domu i włączyć aparat. Znalazła pilota wciśniętego między dwie poduszki na kanapie i wmówiła sobie, że wywołały pewien napór na czerwony guzik urządzenia. A jeśli nie, po prostu nastąpiła jakaś awaria. Wyłączyła telewizor i wróciła do wstawiania naczyń do zmywarki. Taki incydent już się nie powtórzył.

- Znalazła mokry ręcznik do rąk w łazience na piętrze. Pamiętała, że poprzedniego dnia tuż przed pójściem do łóżka wytarła w niego dłonie. Po tylu godzinach nie powinien być nawet wilgotny, a gdy weszła do łazienki o siódmej rano, woda aż z niego kapała. Nie było żadnego wycieku, a pozostałe rzeczy wiszące na wieszaku były suche. Bez sensu. Ale ponownie wmówiła sobie, że jej pamięć szwankuje. Może jeden z budowlańców użył ręcznika, żeby coś wytrzeć. Żadnego z nich o to nie zapytała.

- Wiele przedmiotów zginęło lub zostało przeniesionych w inne miejsca. Małych przedmiotów, jak szminka. Linda myślała, że wrzuciła ją do miski stojącej na toalecie, ale później pojawiła się w salonie. Nóż, który zawsze odkładała do stojaka, nagle znalazł się w szufladzie na różności. Pewnego wieczora chciała obejrzeć film *Gladiator* na DVD, ale w pudełku znalazła płytę z *Parkiem Jurajskim*. Potem okazało się, że jeszcze kilka opakowań nie pasuje do znajdujących się w środku płyt. Conor był bardzo dumny ze swojej kolekcji i układał filmy w kolejności alfabetycznej. Linda również lubiła porządek. To nie mógł być przypadek. Czyżby ekipa remontowa się z nimi droczyła? Kierownik budowy, Johnie Murphy, był przyjacielem Conora z czasów szkolnych, więc istniało takie prawdopodobieństwo. Podczas jednej z rozmów telefonicznych para uznała to za sensowne wytłumaczenie i zbyła całą sytuację śmiechem.

Obecność budowlańców sprawiła, że wszystko to było łatwe do wytłumaczenia. Dom nie

był zamknięty. Na podjeździe co chwila stawały samochody i wychodzili z nich mężczyźni w ciężkich buciorach i kaskach. Rzeczoznawczyni, Roisin, miała w zwyczaju pojawiać się bez uprzedzenia i znikać bez pożegnania. Linda zamykała drzwi wejściowe jedynie na noc, a elektroniczna brama wjazdowa była zawsze otwarta. Linda rzadko przebywała sama w domu. Nie mogła wymagać, żeby rzeczy pozostały, gdzie je położyła. Mieszkała na placu budowy i musiała się z tym liczyć.

Ale potem zniknął pamiętnik.

Linda zapisywała wydarzenia z życia w zeszycie w niebieskiej okładce, mniej więcej tej samej wielkości, co opakowanie płyty DVD. Jeszcze w Stanach notowała tam drobnym i niechlujnym pismem sprawy związane z pracą, a w tylnej oprawie chowała wizytówki, paragony i bilety. Pod koniec każdego roku zeszyt był tak wypchany, że nie chciał się zamknąć. Linda udawała się wtedy po świeży i nieskazitelny, żeby na początku nowego roku zapełnić pierwszą stronę swoimi postanowieniami. Kiedy ten kupiony na 2001 rok zniknął w kwietniu, wciąż było w nim mnóstwo wolnych kartek. W Stanach było to nie do pomyślenia, ale w Fermoy dni nie mijały na pracy zawodowej, więc pamiętnik został zdegradowany do roli powiernika w sprawie remontu domu. Znajdowały się w nim takie rzeczy, jak numer telefonu do hydraulika, wymiary płytek w kuchni i data dostawy nowej kanapy, ale i tak przez większość czasu leżał w płytkiej szufladzie stołu stojącego w holu. Któregoś dnia zniknął na zawsze.

Na początku Linda wyszła z założenia, że wzięł go jeden z budowlańców, żeby znaleźć jakiś numer telefonu i nie odłożył go na miejsce, ale każdy z czterech mężczyzn pracujących w tym czasie w domu zaprzeczył, że go brał. Linda zadzwoniła do Johnniego, brygadzysty, który obiecał, że się tym zajmie. Niestety, następnego dnia przyjechał do domu z pustymi rękami. Jak przekazał, nikt z ekipy nie wzięł dziennika, a on ufa swoim ludziom. Linda była przekonana, że zostawiła zeszyt w szufladzie. Gdzie się podział?

W przeciwieństwie do poprzednich incydentów tym razem miała pewność. Dziennik zaginął dziewiątego kwietnia 2001 roku. Rankiem dziesiątego kwietnia Johnnie zgłosił, że żaden z jego ludzi nie wzięł zeszytu. Linda doskonale pamiętała daty, ponieważ w nocy z dziesiątego na jedenastego kwietnia, tuż po tym, jak na zegarku wybiła północ, obudziła się i zobaczyła zamaskowanego mężczyznę stojącego przy jej łóżku.

Nie pamiętała, co ją obudziło, ale pierwsze, co zobaczyła, był właśnie ten mężczyzna. Wysoki i dobrze zbudowany. Miał czarną maskę z dziurami na oczy i trzymał coś, co Linda opisała jako niewielki pistolet. Jego lufa była skierowana w jej brzuch. Mężczyzna ostrzegł, że jeśli Linda krzyknie, on pociągnie za spust, a śmierć z powodu rany postrzałowej brzucha jest powolna i bardzo bolesna.

Linda zapytała go, czego chce. Nie odpowiedział. Błagała, żeby wzięł z domu wszystko, co chce i zostawił ją w spokoju, ale on podał jej opaskę na oczy i kazał ją założyć. Kiedy się zaważała, przycisnął lufę do jej ciała. Opaska przypominała jedwabny krawat. Po tym jak ją zawiązała, mężczyzna ostrzegł, że jeśli wyda z siebie choćby jeden dźwięk, pociągnie za spust i ona zginie. Później ją zgwałcił.

Jakaś część Lindy wypierała to, co się wydarzyło. Przez dziesięć lat mieszkała w amerykańskim mieście słynącym z drobnych przestępstw. San Francisco ma wysoki odsetek włamań do domów i samochodów. Teraz mieszkała na irlandzkiej wsi, gdzie pojęcie przestępczości sprowadza się do pijackich burd i jazdy pod wpływem alkoholu, i była gwałcona we własnym łóżku przez zamaskowanego mężczyznę. Niemożliwe. Czy to tylko sen? Nigdy nie miała problemu z wybudzeniem się z koszmaru i w tym momencie usilnie starała się to zrobić.

Po wszystkim napastnik związał jej nadgarstki jasnoniebieską plecioną liną, kazał zejść z łóżka i pójść do łazienki. Następnie polecił kobiecie wejść do wanny. Gdy to zrobiła, związał

jej kostki liną, a drugi koniec przywiązał do uchwyty bezpieczeństwa z boku wanny. Linda leżała uwięziona, z zasłoniętymi oczami, cierpiąca, naga i przerażona. Zamaskowany mężczyzna wyszedł z łazienki i zszedł na dół, ale pozostał w domu.

Sądząc po odgłosach, które towarzyszyły jego ruchom, kręcił się po kuchni i salonie. Otwierał i zamykał drzwi, odkręcił kran, włączył telewizor. Potem rozległo się charakterystyczne skrzypienie zawiasów, sugerujące, że otworzył tylne drzwi, a chwilę później głuchy huk oznajmił, że znowu są zamknięte. Czyżby wyszedł? Temperatura ciała Lindy znacznie spadła, odkąd zostawił ją leżącą w zimnej ceramicznej wannie. Teraz jeszcze szczękała zębami. Skupiała się jedynie na zimnie. Nie była w stanie zebrać myśli, a co dopiero wychwycić dźwięki dochodzące z dołu. Zapadła cisza. Czy na pewno? Czy on w końcu wyszedł?

Linda pomyślała, że jeśli będzie pocierać głową o kafelki na ścianie, to może uda jej się ściągnąć opaskę. Miała ruchy ograniczone do mniej więcej trzydziestu centymetrów, ale niewykluczone, że na brzegu wanny leży maszynka do golenia. Gdyby mogła jej dosięgnąć, postrzępiłaby nią linę na tyle, żeby ją rozerwać.

Nie miała jednak pewności, czy mężczyzna opuścił już dom, więc czekała. Zacisnęła szczęki i starała się ignorować ból i przeszywające zimno. Nasłuchiwała jakichkolwiek odgłosów, ale w domu panowała cisza. Wydawało się, że jest jedyną żyjącą, oddychającą i poruszającą się istotą w środku. Mimo to czekała. Pomyślała o broni i o tym, do czego mógłby jej użyć, gdyby przyłapał Lindę na próbie ucieczki. Odniosła wrażenie, że przez materiał opaski przebija się szare światło. Od ostatnich odgłosów minęło dużo czasu, może nawet kilka godzin. Biorąc pod uwagę, że na zewnątrz robiło się jasno, mężczyzna na pewno opuścił dom. Odczekała jeszcze pięć minut, licząc w głowie sekundy. W końcu potarła głową o kafelki na ścianie.

Nagle rozległ się hałas, jakiś świst, a potem poczuła ciepły oddech przy uchu.

– Mówiłem ci, żebyś się nie ruszała, pieprzona dziwko.

Linda nie miała pojęcia, jak długo ją obserwował. Nawet nie słyszała, jak wchodził po schodach.

To była ostatnia rzecz, którą zapamiętała, bo jej głowa uderzyła o kafelki z tak ogromną siłą, że czaszka pękła w kilku miejscach. Jeden z odłamków kości wbił się w miękką tkankę mózgu. Przez następne trzydzieści pięć godzin Linda leżała w wannie i powoli konała.

Po czterech z tych godzin Johnnie Murphy i dwóch członków jego ekipy pojawili się jak co rano w domu. Weszli, korzystając z własnej pary kluczy. Nic nie wzbudziło ich podejrzeń. Linda witała ich często, ale nie zawsze, więc założyli, że gdzieś wyszła. Ponieważ nie wróciła do domu do wieczora, Johnnie zostawił w kuchni notkę z prośbą, żeby zadzwoniła do niego w sprawie oprav oświetleniowych, które nie dotarły.

Po dwudziestu siedmiu godzinach Johnnie po raz kolejny wszedł do domu. Zobaczył, że notatka wciąż leży na stole, a Lindy nie ma. Pomyślał, że coś tu nie gra. Rozejrzał się po domu, nawołując kobietę po imieniu. Drzwi do głównej sypialni były otwarte, zasłony w sąsiednim pokoju zaciągnięte. Johnnie zajrzał do środka. Zobaczył niepościelone łóżko, ale żadnego śladu Lindy. Drzwi do łazienki również były otwarte, lecz z miejsca, w którym stał, nie mógł dostrzec jej ciała. Założył, że nie ma jej w domu. Postanowił zadzwonić do Conora, ale w Kalifornii było po dwudziestej trzeciej, więc Conor, który był rannym ptaszkiem, pewnie już spał. Minęło kolejne sześć godzin, zanim odsłuchał wiadomość nagraną przez Johnniego.

W trzydziestej trzeciej godzinie Conor zadzwonił na numer żony, jednak od razu włączyła się poczta głosowa. Następnie skontaktował się z Johnniem i dowiedział się, że ten nie widział Lindy od półtora dnia. W końcu podzwonił po rodzinie i przyjaciółach, którzy mieszkali w okolicy i mogli widzieć albo nawet gościć u siebie Lindę. Nic z tego. Lekko spanikowany zadzwonił do rodziców. Byli na weselu w Gorey w hrabstwie Wexford, oddalonym o dwie godziny jazdy

samochodem od domu w Fermoy, ale ojciec zapewnił syna, że natychmiast wsiądą do auta i pojadą sprawdzić, co się dzieje. Zanim to zrobili, ojciec Connora zadzwonił do swojego kumpla, którego syn był sierżantem Garda w komisariacie na okręg północnego Cork, znajdującym się akurat w Fermoy. Sierżant Brendan Byrne przyznał później, że przewrócił oczami, słuchając, jak jego ojciec opowiada o żonie Conora O'Neill, która zniknęła bez śladu, podczas gdy jej mąż robił za szycę w San Francisco. Mimo czterdziestki na karku Brendan wciąż czuł niepokój, kiedy nie wykonywał poleceń ojca, więc zgodził się sprawdzić dom. Po zakończeniu połączenia stwierdził, że jest zbyt zajęty, by zawracać sobie tym głowę i do wykonania zadania oddelegował młodszą stopniem członkinię swojego zespołu, będącą na służbie zaledwie od pół roku.

W trzydziestej piątej godzinie, po długim błędzeniu, funkcjonariuszka Garda, Patricia Kearns, w końcu dotarła do domu O'Neillów. Po kilkuminutowej rozmowie z Johnniem rozpoczęła przeszukiwanie posiadłości. To ona znalazła Lindę leżącą w wannie.

Opóźnienie nie tylko przedłużyło cierpienie Lindy, ale też utrudniło prowadzenie śledztwa. Przez półtora dnia, zanim przed domem pojawiła się niebiesko-biała taśma Garda, miejsce przestępstwa było niezabezpieczone i wielokrotnie naruszane. Nawet eliminując próbki od wszystkich pracujących w domu, zebranie DNA i innych fizycznych dowodów stanowiło nie lada wyzwanie. Ponadto jedyny świadek doznał urazu mózgu i nie mógł nic powiedzieć.

Przez kilka tygodni śledztwo stało w miejscu. Wreszcie na początku czerwca Linda doszła do siebie na tyle, żeby złożyć policji zeznanie. Gardaí skupili się na jednym szczególe: krótkiej broni palnej.

Na początku 2001 roku w Irlandii nawet policjanci nie nosili broni. Na południe od granicy i autostrady M50, odgradzającej obszary, na których walczyły dublińskie gangi, niezwykle trudno było dostać broń palną. Zwykli przestępcy jej nie nosili. Atak na Lindę stał się pierwszą napaścią na tle seksualnym z bronią w ręku w hrabstwie Cork. Gardaí powiązali zbrodnię z pierwszym właścicielem domu.

Ten zbieg okoliczności nie do końca przemawiał do detektywów prowadzących śledztwo w sprawie, ale też nie musiał. Powiązanie wydawało się logiczne. Bardzo prawdopodobne. I wygodne. Dość szybko stało się główną linią dochodzenia, a potem jedyną. Teraz wszystko było zrozumiałe. Kobiety mieszkających na irlandzkiej wsi nie terroryzował jakiś przypadkowy typ, tylko członkowie zorganizowanej grupy przestępczej. Detektywi wiedzieli, co z tym zrobić.

Ściągnęli na przesłuchanie Richarda Pike'a, kilku jego współpracowników, nawet syna gangstera, chociaż nie odziedziczył po tatusiu zamiłowania do łamania prawa, ale poprzednio zamieszkiwał dom w Fermoy. Podejrzani podali policji kilka tropów prowadzących donikąd oraz plotkę, że Pike schował dużą kwotę pieniędzy we wnękach ścian domu w Fermoy. Gardaí założyli, że napastnik wiedział o ukrytej gotówce i obserwował dom w oczekiwaniu na dogodną sytuację, żeby ukraść pieniądze, ale kiedy wszedł do środka, zmienił plany i postanowił zaatakować Lindę. Nigdy nie znaleziono na to dowodów. Przesłuchano również dwóch mężczyzn mieszkających w okolicy, skazanych za napaść seksualną i przemoc domową, lecz to także nie przyniosło spodziewanego rezultatu. Sześć miesięcy po ataku Lindę wypisano z ośrodka rehabilitacyjnego, a Gardaí nie poczynili żadnych postępów w sprawie. Jedyne, czym mogli się pochwalić, to lista osób, które na pewno nie pojawiły się tamtej feralnej nocy w domu w Fermoy.

Conor i Linda byli załamani. Ona walczyła z demonami w głowie, a on tonął w poczuciu winy, ponieważ naciskał na przeprowadzkę do Fermoy, a potem zostawił ją tam samą. Do tego oboje musieli zmagać się z ciągłymi telefonami.

Linda całkowicie poddała swoje prawo do anonimowości. Nie było sensu się ukrywać, skoro ludzie z całego Fermoy i okolicznych wiosek potrafili ją rozpoznać i szeptać do siebie, że „to Linda O'Neill, żona Conora. Wiesz, ci co przyjechali z Ameryki i zostali... napadnięci”. Co

więcej, od czasu kiedy wróciła do domu ze szpitala, miała wrażenie, że jedynym sposobem na wzbudzenie zainteresowania sprawą, który Garda praktycznie odpuściła, było udzielenie kilku wywiadów w mediach. Niestety, przyciągnęła tym tylko uwagę szaleńców.

Telefony urywały się dniami i nocami. Dzwoniło medium, które rzekomo знаło miejsce pobytu napastnika. Religijne świry twierdzące, że gdyby para regularnie uczęszczała na mszę, nic złego by im się nie przydarzyło. Mężczyźni grożący, że zrobią Lindzie to samo, co napastnik. Były też głuche telefony. Głównie głuche telefony. Cisza na linii lub chwilowe sapanie, a potem dźwięk przerwane połączenia. Były nieszkodliwe i prawdopodobnie wykonywane przez bezmyślnych nastolatków. Conor chciał odłączyć telefon stacjonarny, ale Linda wciąż wierzyła, że zadzwoni ktoś z użyteczną informacją. Gardaí polecili im rejestrować wszystkie przychodzące połączenia, tylko ile pożytku było z ciszy lub sapania?

Któregoś popołudnia przebywająca na piętrze Linda odebrała telefon w tym samym momencie, co Conor będący na parterze. Na początku wydawało się, że to jedno z wielu podobnych połączeń: w słuchawce rozległo się ciężkie sapanie. Conor wymamrotał coś w stylu „spierdalaj” i rzucił słuchawkę na widełki. Natomiast Linda, która wciąż miała problemy z panowaniem nad dłońmi, nie zareagowała tak szybko. Po chwili w słuchawce odezwał się męski głos.

– Linda? To ty? – Potem krótka pauza. – Masz coś przeciwko, żebyśmy zagrali w kolejną grę?

Kobieta nie miała wątpliwości. Dzwonił jej oprawca.

Policji udało się namierzyć połączenie. Zostało wykonane z budki telefonicznej przy Pàirc Uí Chaoimh, gaelickim stadionie sportowym w Cork, trzy minuty po ostatnim gwizdku ćwierćfinałowego meczu w hurling podczas finałów mistrzostw Munster, w którym to drużyna z Limerick pokonała drużynę z Cork. W tym samym czasie stadion opuszczało ponad czterdzieści tysięcy kibiców.

Spaceruję razem z Patricią po obrzeżach domu. Nie ma tu za wiele do oglądania. Lokatorzy też się zmienili. Linda i Conor rozwiedli się pięć lat po ataku i znaleźli innych partnerów. Żadne z nich nie mieszka w okolicy Fermoy.

Patricia zrezygnowała z pracy w policji wiele lat temu. Powiedziała mi, że to, co zobaczyła w łazience O’Neillów, zmieniło ją na zawsze. Po urodzeniu pierwszego dziecka nie chciała wracać do pracy. Bała się, że znowu będzie świadkiem takiej sceny i zabierze ją ze sobą do domu. Nie chciała zostać tym skażona. Ale lubiła okolicę i zawarła przyjaźnie z poznanymi tu ludźmi. Przez ostatnie siedemnaście lat wychowywała dzieci i pracowała na pół etatu w różnych miejscach, ostatnio w sklepie ogrodniczym.

Kiedy pytam ją o to, co zobaczyła w łazience, patrzy na mnie z rozczarowaniem. Tłumaczę jej, że chcę, by ludzie lepiej zrozumieli, jak bardzo zły, niebezpieczny, podły i brutalny jest ten człowiek. Pragnę, żeby czytelnicy byli wściekli, że ktoś taki pozostaje na wolności. Patricia kiwa głową i chwilę się zastanawia. W końcu mówi:

– Nie powiem ci, co zobaczyłam. Tamta biedna kobieta już dość się wycierpiała. Ujmę to w ten sposób: kiedy połączyłam się z centralą, przekazałam, że mam podejrzenie zgonu. Tak, nie czułam pulsu, ale bardziej chodziło o wygląd Lindy. Kolor ciała, rany na głowie... Gdy zobaczyłam ją leżącą w wannie, pomyślałam, że od razu trafi do czarnego worka.

Jim gwałtownie się obudził i egzemplarz *Mężczyzny bez twarzy* spadł z jego kolan na podłogę. Śnił o domu w Fermoy. O tym, jak poruszał się po niewykończonych jeszcze pokojach i o kobiecie, która tam mieszkała. Bardzo wyraźne wspomnienia, jak stał nad łóżkiem, podczas gdy ona rzucała się i obracała we śnie albo to, jak sapał przy zasłonie prysznicowej, kiedy ona brała ciepłą kąpiel. Słuchał też nocnych rozmów małżonków, tego, co zrobi z nią mąż po powrocie, żeby on, Jim, mógł zrobić z nią to samo. Chciał, by wiedziała, że podsłuchiwał. Desperacko pragnął wrócić do krainy marzeń, ale sen powoli odpuszczał i...

Czy to śpiew ptaków?

Na zewnątrz budziło się życie. Która była godzina? Jim odsunął zasłony i głośno przeklął, gdy oślepiły go promienie słońca.

Od razu pomyślał o telefonie, który został na pięttrze w domu.

Miał w nim ustawiony alarm.

Wepchnął książkę pod poduszkę fotela i opuścił szopę. Gdy szedł szybko do drzwi frontowych, usłyszał wściekłe dzwonięcie.

Jego budzik, ustawiony na siódmą, brzęczący pół metra od głowy Noreen.

Jim spędził całą noc w szopie.

W momencie, kiedy zamykał drzwi, dzwonięcie ustało. Potem zaskrzypiało łóżko. Noreen już się obudziła.

Było za późno.

Wszedł do kuchni i zajął swoje miejsce u szczytu stołu. Na krześle obok leżał starannie złożony egzemplarz gazety „Echo”. Chwycił ją i rozłożył przed sobą. Nie miał zamiaru jej czytać. Wziął kilka głębokich oddechów, żeby uspokoić tętno.

Na górze Noreen spuściła wodę w toalecie.

Był nie tyle spanikowany, co wkurzony na samego siebie. Nie lubił, gdy sprawy nie szły po jego myśli. W głowie wystarczająco mu szumiało, bez dodatkowego idiotycznego paplania Noreen.

„Czemu już wstałeś? Jak długo nie śpisz? Dlaczego nie wyłączyłeś budzika?”.

Potrafiła doprowadzić człowieka do szału.

W przeszłości wszystko było prostsze. Wystarczyło powiedzieć, że był na akcji i nie może zdradzić nic więcej. Mógł zniknąć z domu na całe dni, a Noreen nie miała żadnych obiekcji i nie pytała, gdzie był ani co robił. Doskonale wiedziała, co by odpowiedział. Teraz wszystko się zmieniło. Jim pracował w centrum handlowym w stałych godzinach, od ósmej trzydzieści do piętnastej. Miejsce znajdowało się zaledwie piętnaście minut jazdy samochodem od ich domu. Noreen nie była zbyt bystra, ale na pewno nie głupia. Doskonale wiedziała, że jej mąż nie ma gdzie pójść poza pracą.

Ich krewni mieszkali daleko, zresztą Jim miał w nosie rodzinę z każdej strony. Mógł co najwyżej przecierpieć spotkanie świąteczne. Nie spotykał się też ze starymi kolegami z pracy, ponieważ ich nienawidził i nie miał ochoty na rozmowy o czasach służby w Garda. Czasem żałował, że nie włożył wysiłku w pielęgnowanie znajomości i rozwijanie zainteresowań, żeby móc ogłosić Noreen, że w weekend gra w golfa albo zniknąć na kilka godzin pod pretekstem spotkania na kawę. Teraz było już na to za późno, a wcześniej nie przypuszczał, że będzie mu to potrzebne, szczególnie na tym etapie życia.

Ale chciał skończyć książkę. I to raczej prędzej niż później. Koniecznie musi coś wymyślić.

Dudnienie na schodach. Noreen schodziła na dół.

Na szczęście nie suszyła mu o nic głowy. Zawsze była nerwowa, a za czasów pracy w policji Jim jeszcze podsyczał to uczucie, opowiadając ze szczegółami o każdym straszliwym

wypadku zasłyszonym od kolegów. Zmiażdżone ciała, których nie mogła zidentyfikować nawet rodzina. Czaszki połamane jak skorupki jajek. Mózg rozprysnięty na asfalcie. Noreen niekiedy jeździła do miasta, jednak większość czasu poza domem spędzała w pobliskim kościele, lokalnym domu kultury i na cmentarzu. Pomagała podczas udzielania komunii świętej i we mszach, była członkiem Legionu Maryi i angażowała się w pomoc starszym osobom. Ponadto brała udział w różnych cyklicznych wydarzeniach. Znała się z kilkoma kobietami, które miały podobne zainteresowania, ale raczej nie spotykały się w innych okolicznościach. Każdy dzień rozpoczynała od spaceru po osiedlu. Potem szła drogą prowadzącą do kościoła, okrążała go i wracała do domu.

Szuranie w holu.

Teoretycznie Noreen mogłaby podejść do centrum handlowego, ale Jim nie uważał tego za prawdopodobne. Głośno wyrażała negatywną opinię o tym miejscu. Narzekała, że połowa sklepów zawsze jest zamknięta, a poza tym wołała robić zakupy w Tesco albo Aldi, które nie znajdowały się w centrum handlowym. Musiałoby wydarzyć się coś wyjątkowego, żeby pół roku po tym, jak Jim rozpoczął tam pracę i prawdopodobnie wiele lat od jej ostatniej wizyty, nagle zdecydowała się ponownie odwiedzić to miejsce.

Noreen weszła do kuchni.

– Zapomniałem ci powiedzieć – zaczął Jim. – Do końca tygodnia będę dłużej siedział w pracy. Jakiś gość się rozchorował. Muszę zostawać do siedemnastej.

Kobieta stanęła w progu i zamrugała.

– Cóż. – Owinęła się brudnym szlafrokiem, w którym wyglądała na jeszcze grubszą niż w innym ubraniu, i podeszła do czajnika. – Tobie również miłego dnia.

Stała za nim, ale po odgłosach wiedział, co robi.

Wyjęła dwa kubki, potem torebki herbaty z puszki stojącej na blacie, a na końcu mleko z lodówki.

– Wcześniej wstałeś – odezwała się po chwili ciszy. – Czemu?

Woda w czajniku zabulgotała.

– Bo tak się obudziłem – odpowiedział i przewrócił stronę w gazecie. – No to wstałem. Nie widziałem sensu w gapieniu się w sufit.

– O której godzinie?

– Jakiś czas temu.

Jim ponownie przewrócił stronę w gazecie. Wcześniej używał gazety jako przykrywkę, ale w tym momencie jego wzrok przyciągnął wielki napis „Mężczyzna bez twarzy”.

Na chwilę zapomniał, gdzie się znajduje, kim jest i że Noreen stoi w pobliżu. Pochylił się nad gazetą i przejechał palcem po literach.

SPRAWA MĘŻCZYZNY BEZ TWARZY ODŻYWA W NOWO WYDANEJ KSIĄŻCE.

Nagłówek znajdował się nad dwoma zdjęciami – jedno przedstawiało rodzinę mieszkającą niegdyś przy Bally’s Lane, a drugie dom w Fermoy – cholerny szkic ołówkiem i miniaturka okładki wspomnianej książki. Jim przebiegł wzrokiem tekst.

Sprawa, która prawie dwadzieścia lat temu nie dawała spokoju mieszkańcom Cork, jest tematem nowej książki... Jedyną osobą, która przeżyła tragiczny w skutkach atak Mężczyzny bez twarzy to Eve Black. Miała wtedy zaledwie dwanaście lat... Detektyw Edward Healy dobrze wypowiada się o książce i wyraził nadzieję, że ponownie wzbudzi ona zainteresowanie sprawą... Morderca wciąż jest na wolności, ale my cały czas szukamy.

Przed Jimem pojawił się kubek z parującą herbatą.

– Nareszcie – rzucił i odebrał kubek od Noreen tak gwałtownym ruchem, że trochę płynu skapnęło na gazetę. Jim przewrócił stronę i z udawanym zainteresowaniem przeglądał artykuł o wędkowaniu na irlandzkim wybrzeżu.

Czekał, aż Noreen w końcu pójdzie ze swoją herbatą na górę, jak robiła to każdego poranka.

Ale zamiast tego kobieta stanęła za nim.

– Wydaje mi się, że ta gazeta ma już kilka dni – powiedziała. – Katie przyniosła ją wczoraj wieczorem.

CHOMIKO - WARNIA

W centrum handlowym przemieszczało się więcej ludzi niż poprzedniego dnia, ale nadal trudno było mówić o tłumach. Poza załatwieniem sprawy samochodu zaparkowanego przy rampie załadunkowej i zaginionej torebki szybko odnalezionej w damskiej przebieralni, Jim nie miał nic ciekawego do roboty oprócz odliczania minut do końca zmiany, po której mógł kontynuować czytanie *Mężczyzny bez twarzy*.

Kiedy Noreen brała prysznic, Jim przeniósł książkę z szopy do schowka w samochodzie. Po pracy planował pojechać gdzieś – może w pobliże przystani – gdzie mógłby w spokoju oddawać się lekturze przez kilka godzin bez przyciągania niepotrzebnej uwagi. Mógł sobie na to pozwolić, ponieważ wcześniej wcisnął Noreen historyjkę o zastępstwie w pracy.

Lecz na razie bardzo się nudził. Godziny w pracy okropnie się dłużyły.

Dopóki nie zobaczył kobiety w trenczu.

Dzisiaj miała ściągnięte włosy i włożyła spódnicę zamiast spodni, ale płaszcz i torebka były te same. To na pewno ona. Prawdopodobnie mieszka albo pracuje w okolicy, a może i jedno, i drugie. Przemierzała dział warzyw i owoców, trzymając w dłoni druciany koszyk.

W środku znajdowała się siatka z jabłkami.

Kiedy widział ją ostatnim razem, dwadzieścia cztery godziny temu, szła do kasy z egzemplarzem *Mężczyzny bez twarzy*. Czy rzeczywiście go kupiła? Czy już zaczęła czytać? O ilu jego wyczynach już wiedziała?

Jak by się poczuła, gdyby zdała sobie sprawę, że *Mężczyzna bez twarzy* stoi zaledwie kilkanaście metrów od niej i się jej przygląda?

Kiedy ruszyła w stronę mrozonek, Jim – kierowany impulsem – zrobił to samo. Zachowywał dystans i udawał, że patroluje sklep, ale nie spuszczał z niej wzroku.

Dzisiaj zapięła płaszcz, a pasek był ciasno zawiązany wokół talii i podkreślał figurę. Jim przypatrywał się, jak kobieta wkłada do koszyka butelkę wina, dwa posiłki do odgrzania w mikrofalówce i czteropak papieru toaletowego.

Czyżby mieszkała sama? Czy wstępuje tu po drodze z pracy do domu? Jeśli tak, to może Jim dałby radę ją śledzić? Co mógłby jej zrobić w ciemności?

Co chciałby jej zrobić.

I czy fizycznie byłby w stanie?

– O, właśnie cię szukałem.

Przed Jimem stanął Steve O'Reilly i zasłonił mu widok na kobietę w trenczu. Jego włosy wyglądały tak, jakby przesadził z żelam, a do tego specjalnie stanął z dłońmi opartymi na biodrach, żeby wyeksponować spinki do mankietów.

Pracował jako menedżer w zwykłym centrum handlowym i do roboty zakładał spinki. Żalosne.

Jim nie był w stanie na niego patrzeć.

– Co się z tobą wczoraj działo? – zapytał Steve.

Jim przybrał taką samą pozycję, jak jego przełożony.

– Migrena – odpowiedział.

– Migrena – powtórzył Steve.

Przez chwilę patrzyli sobie w oczy.

– I co z tym zrobiłeś?

Jim zrobił skonsternowaną minę.

– Słucham?

– Masz zwolnienie od lekarza czy coś?

– Po prostu poszedłem spać. W ciemnym pokoju.

– Po prostu poszedłeś spać? W ciemnym pokoju?

Powtarzanie każdego zdania i formułowanie go jako pytanie. Techniki przesłuchań dla amatorów, rozdział pierwszy. Jim nie miał ochoty tego ciągnąć.

– Nie wzięłeś żadnych środków przeciwbólowych? – Steve uniósł brwi. – Na tę twoją migrenę?

W tym momencie zapikala krótkofalówka Jima. Menedżer odpiął mu ją od paska i przystawił do ust.

– Tutaj Steve, odbiór. – Po krótkim szumie głos ze słuchawki przekazał, że jest jakiś problem z komputerem w biurze obsługi klienta. – Już idę – poinformował Steve, spojrzął Jimowi w oczy, po czym dodał z kamienną twarzą: – Bez odbioru.

Ze słuchawki wydobył się krótki, ostry śmiech, a potem padły dwa słowa, które Jim doskonale słyszał.

– Przyjąłem, Jim.

Odpowiedź aż kipiała sarkazmem.

Steve tryumfalnie się uśmiechnął.

Jim poczuł, że płoną mu policzki.

To prawda, żaden z pracowników tak nie mówił. Jim robił to, ponieważ nawyku utrwalanego przez dwadzieścia lat trudno się pozbyć. A poza tym miało to sens. W taki sposób potwierdzało się dobre połączenie radiowe. Mogli się z niego śmiać do woli, ale kto będzie śmiał się ostatni? Inteligentny człowiek, który miał za sobą wspaniałą karierę w An Garda Síochána czy idioci, którzy do końca życia będą pracować za minimalną krajową?

Steve włożył krótkofalówkę do etui, uśmiechając się szeroko, dawał wyraz zadowoleniu.

Jim rzucił się na młodszego mężczyznę, chwycił go jedną ręką za gardło, a drugą, zaciśniętą w pięść, wepchnął mu do ust, niszcząc ten szyderczy uśmiech i zmuszając do rozwarcia jego sztucznie wybielonych zębów, aż palce dotknęły miękkiego podniebienia Steve'a. Potem rozszerzył palce i usłyszał trzask łamanej szczęki, chrzęst miażdżonych zębów i krzyk człowieka wystawionego na niewyobrażalny ból. W momencie gdy Steve był już na granicy wytrzymałości i czuł, jak jego czaszka eksploduje, Jim wyciągnął pięść z ust menedżera, po czym tą samą dłońią uderzał głową Steve'a o najbliższe szklane drzwi zamrażarki, dopóki nie pękły. Następnie chwycił przełożonego za nażelowane kudły i przeciągnął go przez cały korytarz, od drzwi do drzwi, jeszcze bardziej masakrując jego twarz...

– Cóż, mam nadzieję, że dzisiaj nie wystrzelisz z żadną migreną, co? – Steve puścił do Jimiego oko. – A najlepiej to do końca tygodnia.

Powrót do rzeczywistości. Jim spoglądała na plecy odchodzącego menedżera.

Potem odwrócił się i zobaczył swoje odbicie w drzwiach zamrażarki. Przyłożył czoło do zimnej szyby.

Był roztrzęsiony i oszołomiony. Musiał się uspokoić. Za bardzo się zagotował.

Steve nie był tego wart.

Jim ruszył w stronę wejścia do centrum handlowego. Często ustawiał się tam na piętnaście do trzydziestu minut podczas każdej zmiany. Dzięki temu był dobrze widoczny, do tego stanie w pobliżu czujników odstraszało potencjalnych złodziejasków. Co więcej, sprawiał wrażenie, jakby ciężko pracował, chociaż wcale tak nie było.

Ale tym razem nie dotarł na miejsce.

Na początku działu spożywczego, tuż za stoiskami z kwiatami i kioskiem, przed działem z owocami i warzywami, znajdowało się stoisko z gorącymi napojami. Przy ladzie stały trzy stołki barowe, na których ludzie mogli usiąść, wypić kawę i gapić się w telewizor zawieszony na ścianie. Zawsze był wyciszony, ale czasem wyświetlano napisy.

Dziś rano był ustawiony na jeden z tych programów, w których dwójka prowadzących

rozmawia z siedzącymi na kanapie ludźmi, zupełnie Jimowi nieznanymi. Gościem w programie była mniej więcej trzydziestoletnia platynowa blondynka. Ładna, mimo usilnych prób oszpecenia się. Miała bardzo krótko obcięte, postrzępione na brzegach włosy, a na drobną sylwetkę naciągnęła jakieś czarne, workowate ubranie. Nie pozwoliła też zrobić sobie mocnego telewizyjnego makijażu, który sprawiał, że wszyscy wyglądali jak figury woskowe. Prawdę mówiąc, akurat to by się jej przydało, ponieważ miała wory pod oczami i była tak blada, że wyglądała na chorą. Jasność jej cery dodatkowo podkreślał fakt, że miała usta pomalowane jaskrawoczerwoną szminką. Niestety, niezbyt starannie. W czterdziestodwucalowym telewizorze o wysokiej rozdzielczości łatwo można było dostrzec, że szminka rozmasała się poza kontur ust.

Tą kobietą była Eve Black.

Oczywiście Jim jej nie rozpoznał – widział ją tylko raz, gdy miała dwanaście lat, i to jedynie przez krótką chwilę. Na pasku wyświetlił się napis: **MĘŻCZYZNA BEZ TWARZY ZAMORDOWAŁ MOJĄ RODZINĘ: EVE BLACK OPOWIADA O SWOJEJ KSIĄŻCE.**

Potem napis zniknął z ekranu, podobnie jak Eve.

Zastąpiło je zdjęcie rodzinne, ziarniste i odrobinę nieostre, przedstawiające matkę, ojca i dwie dziewczynki o blond włosach, trzymające się za ręce.

Następnie wyświetlił się krótki klip, na którym widać było Eve i inną kobietę idące w stronę jakiegoś domu, plecami do kamer. W pewnym momencie Eve stanęła i pokazała coś palcem.

Tym razem napisy były wyłączone. Jim nie miał pojęcia, co mówią.

Powrót do studia.

Kamera pokazała prezenterów. Mieli poważne miny.

Potem znów zwrot na Eve.

Kobieta kiwnęła głową i zaczęła coś mówić, gestykułując.

Im dłużej Jim na nią patrzył, tym więcej widział podobieństw do twarzy tej małej dziewczynki, którą zobaczył przed wieloma laty.

Powinien był to przewidzieć. Tak skupił się na czytaniu książki, że nie dostrzegł szerszej perspektywy i o wiele poważniejszego problemu: inni ludzie również to czytali. Artykuł w lokalnej gazecie, której i tak już nikt nie czyta, to jedno. Ale program w telewizji? I to emitowany na cały kraj?

Prezenterka wzięła do ręki egzemplarz *Mężczyzny bez twarzy*. Jim domyślił się, co mówiła, ponieważ na ekranie pojawił się grafik z datami i godzinami.

Dziś wieczorem Eve Black będzie podpisywała swoją książkę w księgarni w centrum Dublina. Jutro zrobi to samo w Cork.

W tym samym sklepie, w którym Jim kupił swój egzemplarz *Mężczyzny bez twarzy*.

Od razu zdecydował, że pójdzie na to spotkanie.

Westpark

Są takie straszne miejsca, gdzie na dzieci czekają specjalne pokoje.

Ten, do którego zabrali mnie tamtej nocy, był mały i nieprzyjemnie jasny, oświetlony jarzeniówkami. W pomieszczeniu brakowało okien, chyba że liczyć niewielką szybę w drzwiach, przez którą widziałam odblaskowe kamizelki funkcjonariuszy Garda stojących na zewnątrz. Wystrój przypominał sklep z używanymi rzeczami: dwie zapadłe kanapy, stolik do kawy z zaciękami i stojąca mahoniowa lampa z abażurem z frędzlami. Na ścianach wisiały plakaty, takie jakie widuje się w kinie, promujące filmy dla dzieci sprzed kilku lat. W jednym rogu stał czerwony kosz wypełniony figurkami superbohaterów, lalkami z kręconymi włosami i grammi planszowymi, na pewno zdekompletowanymi. Przez wiele lat myślałam, że pokój znajdował się w komisariacie Garda, ale ostatnio dowiedziałam się, że mieścił się w szpitalu uniwersyteckim w Cork, który mieszkańcy określają mianem regionalnego.

Wszystko w tym pokoju było nie tak, a najbardziej sam fakt, że w ogóle się w nim znalazłyśmy. Bunia poszła ze mną. Pierwszy raz w życiu widziałam, że jej włosy nie były ściągnięte w schludny kok. Przez większość czasu spędzonego w pomieszczeniu patrzyła pustym wzrokiem w przestrzeń. Obok nas siedziała pracowniczka socjalna, o której nie jestem w stanie wiele powiedzieć. Zapamiętałam ją jako szarą plamę widzianą kątem oka. Było tak późno, że aż wcześniej, prawdopodobnie około szóstej rano. Miałam na sobie pożyczoną piżamę i za duże wełniane, drapiące skarpetki. Nikt nic nie mówił, w pokoju panowała całkowita cisza. Chciałam zapytać, co stało się z Anną i moimi rodzicami – gdzie są, jak się mają, co wydarzyło się w naszym domu – ale czułam pod skórą, że wolę nie znać odpowiedzi. Pomieszczenie było służą powietrzną między życiem, jakie znałam, a życiem, które dopiero miałam poznać. Tak długo, jak siedziałam w pokoju, znajdowałam się pomiędzy. Nic złego się nie wydarzyło. Kiedy spadasz, teoretycznie wszystko jest w porządku, dopóki nie uderzysz o ziemię.

Po jakimś czasie do pokoju weszły dwie osoby, mężczyzna i kobieta. Byli po cywilnemu i wyglądali na nauczycieli. Powiedzieli do Buni, że jest im bardzo przykro, ale muszą przeprowadzić ze mną rozmowę. Kiedy zapewniali, że moje samopoczucie jest dla nich priorytetem, dziwnie zaszumiło mi w uszach. Czułam się, jakbym powoli szła na dno, podczas gdy reszta obecnych stała na lądzie. Głosy stawały się coraz bardziej przytłumione, oddalone, a potem już całkowicie niesłyszalne. Tonęłam i nie miałam jak bić na alarm.

Mężczyzna ukucnął naprzeciwko mnie. Miał rudawe włosy i piegi na nosie. Był tak blisko, że gdy mówił, jego ciepły oddech muskał moją skórę. Ale w tamtym momencie już nic do mnie nie docierało.

Detektyw Edward Healy potrafi podać dokładny dzień, czas i miejsce, kiedy postanowił zostać policjantem: 14 sierpnia 1980 roku, tuż po dwudziestej pierwszej. Miał osiem lat i był w salonie w domu rodzinnym w Ballysheedy w hrabstwie Limerick. Po jego bokach miejsca zajęło dwóch umundurowanych funkcjonariuszy Garda. Obaj przyjęli dokładnie taką samą pozę: siedzieli na krawędzi kanapy z łokciami opartymi o kolana i trzymali czapki w dłoniach. Ich czarne buty lśniły. Matka Edwarda stała przy kominku. Nie chciała usiąść. Po jej twarzy płynęły łzy. Kilka minut wcześniej, usłyszawszy pukanie do drzwi, przewróciła oczami i wymamrotała „w końcu”, ponieważ była przekonana, że w progu zobaczy Eddiego seniora, który spóźnił się do domu na kolację, nie podając wcześniej powodu. Funkcjonariusze łagodnym głosem wyjaśnili, że na wybrzeżu w Limerick City doszło do wypadku. Pewien samochód zderzył się z dru-

gim i oba wpadły do rzeki. Nikt nie przeżył. Kierowca pierwszego auta był pijany. Drugi samochód prowadził ojciec Healy'ego.

Młody Edward doskonale wiedział, że chęć pracy w policji pojawiła się u niego właśnie tej feralnej nocy, ale przez wiele lat nie potrafił w pełni wyjaśnić, co jedno ma wspólnego z drugim. W końcu znalazł odpowiedź. W świecie, w którym dorośli wściekali się, płakali i tracili nad sobą panowanie, tamtych dwóch mężczyzn zachowywało całkowity spokój. Tak naprawdę to nie miało nic wspólnego z podjęciem decyzji o zostaniu policjantem. Po prostu tamtego dnia funkcjonariusze byli jedynymi ludźmi spoza rodzinnego kręgu. Gdy Healy zdał sobie z tego sprawę, było już za późno, żeby zmienić zawód.

W dniu rozdania dyplomów w akademii w Templemore stał dumny niczym paw. Zawsze kojarzył ciemnogrnatowy kolor z nadchodzącą pomocą i zapewnieniem, że wszystko będzie dobrze, a teraz miał prawo nosić mundur w tych samych barwach i nieść te same wartości. Niestety, ten dzień był szczytem jego pozytywnych relacji z An Garda Síochána. Niemal natychmiast po otrzymaniu pierwszego przydziału Healy poczuł ponure rozczarowanie. Dostał się do organizacji z rozdętą biurokracją i pożeraną przez lenistwo i korupcję. Według Edwarda nie istniał realny sposób, żeby ją uleczyć. Miał złamane serce, ponieważ marzył o tej pracy przez pół swojego życia, a teraz odkrył, że po pierwsze, nic nie pokrywało się z jego wyobrażeniami, a po drugie, to wcale nie była wymarzona praca.

W marcu 1999 roku to rozczarowanie stało się dla niego niezwykle destrukcyjnie. Po tym jak Healy dostał awans na detektywa i przeniósł się z komisariatu w Ballincollig na zachodzie kraju do komisariatu dzielnicowego mieszczącego się na ulicy Anglesea, trochę się uspokoił, ale już po krótkim czasie nadzieja na zmianę na lepsze dzięki pracy w cywilnym ubraniu całkowicie umarła. Co więcej, nigdy nie czuł się tak przybity. Jego małżeństwo, trwające niespełna trzy lata, wisiało na włosku. Healy martwił się też o częstotliwość i zakres swojego picia, przez co pił jeszcze więcej, żeby chociaż na chwilę zagłuszyć myśli. W nocy leżał, nie mogąc zasnąć, dręczony przez poczucie, że stoi na rozdrożu i jeśli szybko nie wprowadzi drastycznej zmiany w swoim życiu, ciemność pochłonie go na dobre.

Co gorsza, nie miał z kim o tym pogadać. W tamtych czasach policja nie przejmowała się zdrowiem psychicznym funkcjonariuszy. Ci, którzy mieli do czynienia z przerażającymi miejscami zbrodni i sytuacjami, radzili sobie z zespołem stresu pourazowego, pijąc piwo w pubach, ale nawet tam – jak ujął to jeden z funkcjonariuszy – w owym czasie policjanci woleli rywalizować, niż wzajemnie się wspierać. „I co, to tobą tak wstrząsnęło? Posłuchaj, co ja dziś widziałem!”.

Pewnego ponurego, wtorkowego poranka Healy pojechał w teren, żeby sprawdzić zgłoszenie o włamaniu w miejscu o nazwie Westpark, na osiedlu mieszkaniowym przy Maryborough Road, w północnej części Cork. Na razie był to jeden wielki plac budowy z rzędami bliźniaków, gładko wykończonych i pomalowanych na kremowo z pasem gołej czerwonej cegły wzdłuż parteru. Betonowe podjazdy były równe i czyste, ale do domów wciąż prowadziły tylko żwirowane drogi. Na znaku STOP wisiał czarny worek na śmieci, a z okien jeszcze nie usunięto folii ochronnej.

Z domu z prefabrykatów oznaczonego napisem BARAK BIUROWY wyszedł mężczyzna w kamizelce odbłaskowej i przedstawił się jako David Walsh, kierownik robót w firmie Browne Developments, odpowiedzialnej za budowę Westpark. Mężczyzna przekazał Healy'emu złożoną mapę całej posiadłości. Przedstawiała sto domów ustawionych w rzędach oraz należące do nich ogrody, położone obok siebie i sąsiadujące z główną drogą prowadzącą na tyły posiadłości. Na mapie każdy dom wyglądał jak pusty kwadrat wielkości miniatutki zdjęcia. Przynajmniej kilkanaście z nich było zaznaczonych czerwonym iksem.

Wszystko zaczęło się pół roku temu, wyjaśnił Welsh. Westpark budowano etapami, rozpoczynając od domów najbliższej trasy i posuwając się dalej, w głąb błotnistych pól. Prawie natychmiast po zakończeniu pierwszego etapu wykonawcy zgłaszali dziwną aktywność na placu budowy. W nocy różne przedmioty zmieniały swoje miejsce. Z wewnętrznych drzwi usunięto mechanizmy zabezpieczające, bardzo profesjonalnie, bez żadnych zadrapań. Inne rzeczy, takie jak narzędzia, wiertarka elektryczna oraz oprawy oświetleniowe, po prostu znikwały. Czasem pojawiały się ponownie, najczęściej zawinięte w śpiwór.

Wandalizm był dość częstym problemem na placach budów. Zazwyczaj oznaczało to, że w pobliżu mieszkają znudzeni nastolatki. W tym przypadku, co dziwne, aktywność obserwowano jedynie w ukończonych domach, czekających na pierwszych lokatorów. Browne Developments zwiększyło ochronę na terenie obiektu, zatrudniając dwóch strażników, którzy mieli za zadanie patrolować go w nocy, ale to nie pomogło. W końcu firma ubezpieczeniowa zaproponowała Browne Developments zgłoszenie sprawy Garda.

– To właśnie jeden z ochroniarzy odnalazł kryjówkę – powiedział Welsh.

Obaj pojechali samochodem Healy'ego na tyły posiadłości, gdzie przy gęstym, ciemnym lesie znajdowały się rzędy wylanych fundamentów, cierpliwie czekających na cegły i zaprawę. Walsh poszedł z Edwardem do przerwy w linii drzew.

Gdy dotarli na miejsce, Healy dostrzegł, że kilkanaście metrów dalej gwałtownie opadająca ziemia prowadzi do niewielkiej przesieki. Była położona dwa, dwa i pół metra poniżej poziomu placu budowy i otoczona wysokimi, bujnymi drzewami, więc dostrzeżenie jej z daleka graniczyło z cudem. Pośrodku leżało coś, co na pierwszy rzut oka wyglądało jak pozostałości po ognisku. Gdy Healy zsunął się odrobinę niżej, zobaczył, że to stos materiałów budowlanych. Płyty MDF. Rurki PVC. Różne narzędzia. I, co potwierdzili przedstawiciele Brown Developments, wszystkie zamki usunięte z drzwi.

Healy spoglądał to na Walsha, to na stos i ledwo powstrzymywał się od śmiechu. Co to miało być? Po co w ogóle tu przyjechał? Przenoszenie materiałów nie podpadało pod paragraf. Jeśli złodziej planowałby je sprzedać, już dawno by to zrobił. Miejsce nie mogło mu też służyć za składowisko towarów, ponieważ wyciągnięcie łupów na główną drogę byłoby koszmarem. Materiały wciąż leżały zawinięte w plastikowe opakowania, w których przyjechały na plac budowy. W takim przypadku nawet oskarżenie o uszkodzenie mienia byłoby naciągane.

Healy trochę popytał i coś zapisał w notesie, co zazwyczaj wystarczało ludziom wzywającym Garda. Następnie zalecił zablokowanie drogi do kryjówki i zainstalowanie kamer miejskich do czasu, aż lokatorzy zajmą domy. Browne Developments zastosowało się do jego poleceń. Gdy kilka tygodni później Edward zadzwonił na plac budowy, wykonawca nie zgłosił już żadnej podejrzanej aktywności. W związku z tym detektywowi nie pozostało nic innego, jak okazjonalne zastanawianie się nad zagadką i opowiadanie współpracownikom o dziwnych kradzieżach na Westpark. Jeden z nich stwierdził, że wyglądało to na próbę wymuszenia roszczenia ubezpieczeniowego, a Healy chętnie się z nim zgodził.

Minął jakiś czas. Edward i jego żona oficjalnie byli w separacji: zgodnie z irlandzkim prawem musieli pozostać w takim stanie cztery lata, żeby złożyć papiery rozwodowe, a jego żona chciała jak najszybciej rozpocząć ten okres. Ponieważ detektyw zamieszkał sam, na początku z jego pić było trochę gorzej, jednak potem sytuacja się poprawiła. Przełom tysiąclecia nadszedł i minął. Healy awansował na sierżanta, ale rozważał rezygnację z pracy. Zastanawiał się, jak by to było, gdyby wrócił na studia i został psychologiem. Mimo wątpliwości, każdego ranka wstawał i szedł do pracy, a wieczorem kładł się do łóżka, nie zrobiwszy nic, żeby spełnić swoje marzenia.

Napaść na Alice O'Sullivan.

I Christine Kiernan.

I Linde O'Neill.

A potem, wczesnym niedzielnym rankiem w czerwcu 2001 roku, do Edwarda zadzwonił kolega z pracy z pytaniem, czy słyszał najnowsze wieści. W nocy zamordowano młodą parę w jej własnym domu w południowej części miasta. Ze wstępnych raportów wynikało, że sprawca wykorzystał seksualnie kobietę. To, co Gardaí znaleźli na miejscu zbrodni, w ogóle nie trzymało się kupy.

– Może mógłbyś im pomóc? – zapytał kolega. – Chodzi o Westpark.

Marie Meara i Martin Connolly poznali się latem 1998 roku. Ona miała dwadzieścia pięć lat, a on dwadzieścia siedem. Oboje pracowali w cukiernictwie. Martin piastował stanowisko kierownika do spraw obsługi klienta w cukierni, natomiast Marie prowadziła własną firmę rzemieślniczą, którą miała nadzieję rozwinąć w kawiarnię. Ich ścieżki przecięły się na targach o nazwie Bord Bia. Kiedy dwa lata później projektowali zaproszenia na swój ślub, zdecydowali się umieścić na nich dwa M&M'sy trzymające się za ręce. Był to częsty żart w gronie ich znajomych, którzy opisywali parę jako miłą, wspaniałomyślną i pracowitą.

Na początku czerwca 2001 roku mieszkali pod piętnastką na Westpark od prawie trzech tygodni i nadal przewozili rzeczy ze starego domu. Wciąż nie otrzymali potwierdzenia, że w wynajętym mieszkaniu w Ballincolling zamknięto rachunki na ich nazwiska za media, a adwokat Kevin Prendergast, właściciel mieszkania, ciągle nie miał okazji, żeby zwrócić im zaliczkę. Od tygodnia nosił przy sobie kopertę z czekiem z zamiarem jej wysłania.

Tak się złożyło, że wczesnym niedzielnym porankiem w dniu Święta Bankowego Prendergast był umówiony ze znajomymi na grę w golfa w Frankfield. Trasa nie prowadziła bezpośrednio przez Westpark, ale wystarczająco blisko, żeby po drodze zahaczyć o osiedle. Kevin nie miał zamiaru wręczać czeku do ręki, ale jedynie wsunąć kopertę do skrzynki na listy i odjechać.

Tuż przed ósmą rano mężczyzna zaparkował przy ulicy niedaleko domu Marie i Martina. Poranek był ciepły i duszny, a niebo blokowały gęste chmury. Idąc podjazdem, Prendergast zastanawiał się nad prawdopodobieństwem opadów. Miał nadzieję, że jeśli lunie, to dopiero po wbiciu piłki do dziewiątego dołka. Po drodze zarejestrował, że srebrny ford mondeo Martina stoi zaparkowany naprzeciwko drzwi garażowych, ale zbytnio mu się nie przyglądał. Podjazd delikatnie opadał, więc dom stał pół metra poniżej poziomu jezdni.

Prendergast lubił Marie i Martina – jako lokatorzy zachowywali się wzorowo. Mężczyzna podziwiał ich nowy dom i cieszył się z ich szczęścia, ale już chwilę później zorientował się, że coś jest nie tak. Drzwi wejściowe były uchylone, a w holu świeciło się światło.

Bip. Bip.

Telefon leżący na siedzeniu pasażera nagle zabrzączał, a na ekranie pojawił się komunikat: BATERIA NAŁADOWANA. Jim odłożył książkę i podniósł urządzenie, drugą ręką wyjął kabel łączący je z portem w desce rozdzielczej.

Po pracy poszedł na giełdę elektroniczną mieszczącą się naprzeciwko centrum handlowego. Powiedział sprzedawcy, że żona zalała telefon i teraz potrzebują urządzenia zastępczego na kilka dni. Czegoś, na czym będzie mogła przeglądać internet, ale bez spisywania umowy i w atrakcyjnej cenie.

Jim musiał obejrzyć wywiad z Eve, lecz nie mógł tego zrobić na komputerze w domu ani na swoim smartfonie, a wyprawa do kafejki internetowej to lekka przesada. Wystarczyło kupić telefon na kartę i pojechać po pracy na przystań. Panował tu spokój i tylko od czasu do czasu pojawiał się jakiś biegacz albo spacerowicz z psem.

Odkąd Jim odkrył istnienie *Mężczyzny bez twarzy*, czuł coś między paranoją a nonszalancką pewnością siebie. Musiał znaleźć złoty środek.

Uruchomił telefon i stuknął w ikonkę przeglądarki internetowej. Najpierw należało odszukać kanał i nazwę programu, w którym pojawiła się Eve. To akurat było łatwe: znalazł je po kilku sekundach. Jeden z wyświetlonych linków przekierował go na odpowiednią witrynę. Strzałka w internetowym odtwarzaczu częściowo przysłaniała wychudzoną twarz Eve.

Wideo trwało sześć minut. Jim ustawił maksymalną głośność w telefonie i stuknął w strzałkę.

Prezenterzy siedzieli obok siebie na jasnoróżowej kanapie i wpatrywali się z poważnymi minami w kamerę. Mężczyzna był ubrany w garnitur i koszmarną koszulę w kwiatowe wzory, a kobieta w sukienkę tak ciasną i sztywną, że przypominała ubranie kompresyjne.

W końcu kobieta uśmiechnęła się do kamery, odsłaniając nienaturalnie białe zęby.

– A teraz – zaczęła – przechodzimy do naszego następnego gościa. W styczniu minie dwadzieścia lat, odkąd nieznanymi morderca zaczął terroryzować mieszkańców miasta i hrabstwa Cork. W październiku 2001 roku, w noc ostatniego ataku, zamaskowany intruz włamał się do domu na Passage West w zachodniej części miasta i zamordował troje członków rodziny Black. Rossa, jego żonę Deirdre i ich siedmioletnią córkę Annę. – Mówiąc „siedmioletnią”, prowadząca utkwiała wzrok w obiektyw kamery. – Jakimś cudem starsza córka pary, Eve, wtedy dwunastoletnia, przeżyła atak dzięki schronieniu się w łazience na piętrze. Tego ranka dołącza do nas, żeby opowiedzieć o swojej nowej, niesamowitej książce – właśnie ją czytam i nie jestem w stanie się od niej oderwać – zatytułowanej *Mężczyzna bez twarzy*. Autorka ma nadzieję, że dzięki niej w końcu uda się poznać tożsamość mordercy. Eve, dzień dobry. Bardzo nam miło powitać cię w programie.

Poszerzono ujęcie kamery, ukazujące Eve siedzącą na identycznej kanapie, ustawionej pół metra od tej, na której siedzieli gospodarze programu. Kobieta była wyraźnie zestresowana. Dłonie oparła na złączonych kolanach.

– Dziękuję za zaproszenie – wymamrotała. W tym samym momencie na ekranie pojawił się pasek:

MĘŻCZYŻNA BEZ TWARZY ZAMORDOWAŁ MOJĄ RODZINĘ: EVE BLACK OPOWIADA O SWOJEJ KSIĄŻCE.

– Ta książka – powiedziała prowadząca. Wzięła do ręki egzemplarz, który trzymała na kolanach. – Och. Muszę przyznać, że to wstrząsająca lektura, ale nie potrafię się od niej oderwać. Wciąga ją, szokuje... W nocy nie zmrużyłam przez nią oka. Makijażystka musiała dziś nałożyć mi grubszą warstwę korektora. – Kobieta błysnęła uśmiechem, po czym znów przybrała poważną minę. – Zdradź nam, po co napisałaś tę książkę? I dlaczego dopiero teraz?

– Cóż... – Eve oblizała pomalowane na czerwono usta. – Najprostsza odpowiedź to, hm... żeby go znaleźć. Ustalić jego tożsamość i znaleźć, żeby poniósł karę za to, co zrobił. A dlaczego dopiero teraz... – Chwilę się zastanowiła. – Szczerze mówiąc, wcześniej nie byłam gotowa.

– Wszystko zaczęło się od artykułu – odpowiedziała prowadząca.

– Tak. Napisałam go na studiach, na które wróciłam jako dorosła osoba, żeby skończyć filologię angielską. Tak się złożyło, że ktoś zechciał opublikować artykuł i dość niespodziewanie wzbudził on spore zainteresowanie. Dzięki temu dostałam szansę napisania tej książki, więc... – głos Eve załamał się i spojrzała niepewnie na prezenterkę, jakby chciała poprosić o dalsze instrukcje.

– Musiało być ci trudno – stwierdził prowadzący.

– To prawda – przytaknęła Eve.

– Nie piszesz tylko o tym, co spotkało twoją rodzinę. Opisujesz też jego pozostałe zbrodnie, i to szczegółowo – mężczyzna zrobił krótką pauzę. – To również musiało być trudne.

Eve skinęła głową. Przygryzała wargi, a dłonie zsunęła z kolan między uda. Teraz wyglądała na jeszcze bardziej zestresowaną niż na początku rozmowy.

To nie była kobieta, której Jim się spodziewał po tym, co do tej pory przeczytał w książce.

– Na początku tygodnia – powiedziała prezenterka – odwiedziliśmy razem z Eve jej stary dom i rozmawialiśmy o tamtej okropnej nocy – na ekranie pojawiło się rodzinne zdjęcie – oraz czym się kierowała podczas pisania książki. To drugie mocno utkwilo mi w pamięci. Eve, czytałam dużo o prawdziwych zbrodniach, obejrzałam chyba wszystkie filmy dokumentalne na ten temat – teraz wyświetliło się nagranie przedstawiające Eve i prezenterkę idące tyłem do kamery – i wysłuchałam większości podcastów. Ale nigdy nie patrzyłam na tych ludzi, tych seryjnych morderców tak, jak ty opisujesz Mężczyznę bez twarzy. – Klip zniknął i na ekranie pojawiła się gospodyni programu wpatrzona z nadzieją w Eve. – Mogłabyś powiedzieć nam coś więcej? Właśnie o tym mężczyźnie?

– No cóż, mamy tendencję do mitologizowania historii seryjnych morderców, czyż nie? – Eve zrobiła krótką przerwę, przełknęła ślinę i kontynuowała: – Ted Bundy. Golden State Killer. Zabójca z kanału. Wypowiadamy się o nich, jakby byli innym rodzajem bytów. Potworami w ludzkiej skórze. Słuchamy historii o ich zbrodniach i nie potrafimy uwierzyć, do czego byli zdolni. Dzieje się tak dlatego, że nie znamy wszystkich faktów. Weźmy na przykład sprawę Golden State Killera. Ludzie byli zdziwieni, że potrafił włamywać się do domów, unikając ataku psów właścicieli. Co więcej, podczas jednej z akcji zaatakował domownika, a pies właściciela tylko się przyglądał. Wydawało się, że ma jakieś supermoce albo para się czarną magią. Potrafi wpływać na te psy, a przynajmniej na ich myśli. Kiedy w końcu został złapany za kradzież w sklepie, okazało się, że jednym z ukradzionych przedmiotów był odstraszacz na psy. Oto jego sekret. Nic więcej. Nie miał żadnych specjalnych zdolności. I reszta też nie ma. – Eve mówiła teraz głośniej, sprawiała wrażenie pewniejszej, gestykulowała. – Znamy ich nazwiska, bo zostali złapani. Ci ludzie nie są ponadprzeciętnie utalentowani, nie odnoszą też większych sukcesów na jakimkolwiek polu życia. Są nudnymi, niczym niewyróżniającymi się nieudacznikami. Chcę udowodnić, że z Mężczyzną bez twarzy jest podobnie. Gardań nadali mu taki pseudonim, ponieważ nic na niego nie mieli, ale ja nazywam go tak, bo tym właśnie dla mnie jest: nikim. Miernotą. Nieudacznikiem. Ustalenie jego tożsamości pomoże mi to udowodnić.

Kamera skupiła się na prezenterce, która szybko mrugała oczami.

– Tak, to... To prawda. Obawiam się, że musimy kończyć... – Podniosła książkę. – *Mężczyzna bez twarzy* jest dostępna we wszystkich dobrych księgarniach. Mój cały wywiad z Eve

ukáže się w środę wieczorem na kanale RTÉ One. Nie możecie go przegapić. Podobnie jak książki.

– No i – powiedział prezenter, gdy kamera ponownie pokazała całą trójkę – wpadnijcie do księgarni na Eason O’Connell, żeby Eve wam ją podpisała.

Na ekranie pojawił się grafik z datami i godzinami spotkań.

Rozmowa dobiegła końca.

Jim zatrzymał wideo i spojrzął przez przednią szybę na spokojne wody rzeki Lee. Odbijało się w nich szare niebo. W pobliżu przepłynęła łódź z sześcioma wiosłarzami. Dzięki perfekcyjnie zsynchronizowanym ruchom wiosła bez wysiłku przecinały wodę. Jim zastanawiał się, czy jednym z wiosłarzy przypadkiem nie jest Katie. Siedziba klubu akademickiego znajdowała się gdzieś w okolicy.

Będzie musiał ją zabić. To znaczy Eve. Należało jej się po tym, co powiedziała na jego temat. Przed jej śmiercią upewni się, że ostatnią myślą, która przyjdzie jej do głowy, będzie ta, że się myliła.

Jim był wyjątkowy. Nie należał do przeciętniaków, którzy egzystowali z dnia na dzień i nazywali to życiem. On był inteligentniejszy. Silniejszy. Lepszy pod każdym względem. Wyjdzie z cienia ostatni raz, żeby zabić najslynniejszą ocalałą w Irlandii, a potem znowu zniknie. Nikt go nie zobaczy. Nie złapią go. Zmusi wszystkich, żeby go podziwiali. Będą zadawać sobie pytanie, jak to możliwe, że normalny, nudny człowiek – jak to określiła Eve? – nieudacznik zdołał zrobić coś takiego. Ale na tym polegała różnica. Jedyna i najprostsza odpowiedź była taka, że tylko on mógł tego dokonać.

Mężczyzna bez twarzy.

Znowu będą szeptać ten pseudonim, jakby obawiając się, że wypowiedzenie go na głos przywoła mordercę. Już on się o to postara. Do tego czasu niech Eve Black gada sobie, co tam chce. Niech dalej podejmuje ryzyko i pogłębia dół, który sama sobie kopie. To tylko sprawi, że następny – i ostatni – rozdział w karierze Mężczyzny bez twarzy będzie tym wspanialszy.

Jima czekało sporo pracy. Ta akcja będzie różnić się od pozostałych. Musi poświęcić więcej czasu na jej przygotowanie i zachować większą ostrożność.

Musi zacząć od razu.

Już znał dwie pierwsze pozycje na swojej liście: iść jutro wieczorem na spotkanie autorskie, a wcześniej przeczytać jak najwięcej książki.

Zdziwiony Prendergast zawołał „Halo!” dwa lub trzy razy. Ponieważ nie usłyszał odpowiedzi, zadzwonił dzwonkiem. Był pewien, że krzyknął również imiona pary. Ponownie nikt mu nie odpowiedział, a w domu panowała kompletna cisza. Żadnych głosów ani szumu radia czy telewizora. Wyglądało na to, że nikogo nie ma.

Pomyślał, że może są gdzieś w okolicy, może poszli na mszę lub do sklepu i przez przypadek zostawili uchylone drzwi. Zamknął je, a gdy usłyszał kliknięcie zamka, pchnął drzwi, upewniając się, że nie popełnił tego samego błędu co domownicy. Kopertę z czekiem, która dotychczas spoczywała w kieszeni jego spodni, wsunął przez otwór na listy. Potem odwrócił się plecami do domu, napisał esemes do Martina, wyjaśniając sytuację z drzwiami oraz czekiem i nacisnął WYŚLIJ.

Nie zdążył schować telefonu do kieszeni, kiedy usłyszał sygnał oznajmiający przychodzącą wiadomość, charakterystyczny dla telefonu marki Nokia. Prendergast sam korzystał z nokia, więc skonsternowany spojrzął na telefon, który trzymał w dłoni, ale to nie on dostał esemes. Dźwięk musiał pochodzić z innej komórki. Sądząc po czasie, najpewniej z telefonu Martina. Ale był zbyt głośny, żeby dochodził z wnętrza domu.

Prendergast napisał kolejną wiadomość, tym razem składającą się tylko ze słowa TEST i ponownie wysłał ją na numer Martina. Tak jak poprzednio, natychmiast rozległ się charakterystyczny dźwięk. Dochodził gdzieś z ziemi, po prawej stronie. Prendergast rozejrzał się wokół i po chwili znalazł feralny telefon. Leżał na ziemi między terakotową doniczką a przednią ścianą domu, kilka centymetrów od drzwi garażowych i pół metra od forda mondeo stojącego na podjeździe.

Kiedy Prendergast schylił się, żeby podnieść telefon, kątem oka dostrzegł coś potwornego: otwarte oczy Martina wpatrzone w podwozie samochodu.

Szok sprawił, że Prendergast stracił równowagę i upadł, na jego nieszczęście blisko zwłok Martina. Bez wątplenia zwłok. Martin nie żył. Jego twarz miała nienaturalny kolor, a głowa była wykręcona pod dziwnym kątem. Jakimś cudem został przejechany własnym samochodem na podjeździe własnego domu. Prendergast zerwał się na nogi i zadzwonił na pogotowie, chociaż wiedział, że na ratowanie Martina było już za późno.

Usiadł na niskim murku okalającym ogród przed domem i czekał na migające światła, dźwięk syren i ludzi w mundurach, którzy doskonale wiedzieli, co robić w takich sytuacjach. Trzęsły mu się ręce i nie potrafił zapanować nad podrygującą w niekontrolowany sposób nogą. Oczami wyobraźni wciąż widział szeroko otwarte oczy Martina.

Marie musiała gdzieś wyjść albo wyjechać na noc, pomyślał. Modlił się, żeby nie wróciła do domu przed karetką, bo w przeciwnym razie to on będzie musiał jej powiedzieć, co się stało.

Funkcjonariusze Garda, Elaine Grady i Peter Fine, jako pierwsi dotarli na miejsce. Akurat byli w pobliżu, kiedy przyszło wezwanie. Fine został z Prendergastem, podczas gdy Grady poszła dokonać wstępnych oględzin miejsca zdarzenia.

Ciało Martina było zaklinowane pod podwoziem przed linią przednich kół, z wyjątkiem prawej ręki i prawej nogi, które utknęły pod jednym z kół. To właśnie z powodu niewielkiej powierzchni ciało było wygięte w tak nienaturalny sposób. Grady nie potrzebowała konsultacji z koronerem, aby domyślić się, że śmierć nastąpiła przez uduszenie. Po tym jak Prendergast opowiedział jej o sytuacji z telefonem, policjantka wysnuła przypuszczenie, że Martin był na ziemi, szukając urządzenia, kiedy samochód potoczył się do przodu i uwięził mężczyznę między kołami. Tylko co wprawiło samochód w ruch? Grady włożyła lateksową rękawiczkę i szarpnęła za klamkę drzwi od strony kierowcy. Były otwarte.

Pierwszą rzeczą, na którą zwróciła uwagę, był zaciągnięty hamulec ręczny.

Drugą – wysmarowana krwią dźwignia hamulca, co wszystko zmieniało.

Razem z Finem zamknęli Prendergasta na tylnej kanapie radiowozu i ruszyli w kierunku domu. Z boku znajdowało się dodatkowe wejście do ogrodu na tyłach. Tylne drzwi domu były otwarte. Prowadziły do niewielkiego pomieszczenia gospodarczego przy kuchni. Na stole w jadalni stały naczynia, co sugerowało, że domownik przerwał posiłek. Wydawało się, że tylko jedna osoba jadła. Wszystkie zasłony na parterze były zaciągnięte.

Policjanci weszli na piętro. Główna łazienka znajdowała się na górze. Kiedy otworzyli drzwi, zobaczyli Marie leżącą na podłodze. Miała na sobie jedynie bieliznę, jej kostki i nadgarstki były związane cienką nylonową liną, skórę pokrywały rozcięcia i rany klute. W powietrzu unosił się nieprzyjemny zapach mokrego mosiądzu, a cała łazienka była pochłapana i wysmarowana krwią.

Oboje funkcjonariusze stali w progu i patrzyli z niedowierzaniem, dopóki wycie syren zbliżających się radiowozów nie przypomniało im, że znajdują się na miejscu zbrodni, na którym zaraz pojawi się mnóstwo ludzi. Wrócili do samochodu. Fine wyjął z bagażnika taśmę policyjną. Grady włączyła radio i wezwała wszystkie jednostki.

Ekspertyza wykazała, że krew w łazience i na dźwigni hamulca ręcznego należała do Marie. Próbką z dźwigni zawierała również kawałki materiału, z którego wykonano niebieską nylonową linę, jakiej użyto do związania kostek i nadgarstków kobiety, co oznaczało, że krew Marie znalazła się w samochodzie po napaści w łazience. Ponieważ po drodze z łazienki do auta – na półpiętrze pokrytym dywanem, w holu, przy drzwiach wejściowych i na podjeździe – nie było żadnych śladów krwi, Gardaí doszli do wniosku, że to nie Marie zostawiła ślady swojej krwi w samochodzie, tylko nieznana osoba lub osoby, które ją zaatakowały.

Na pewno nie był to Martin. Na jego skórze i ubraniu znaleziono tylko jego krew. Jedyna sekwencja zdarzeń, która miała sens z perspektywy medycyny sądowej, przedstawiała się w następujący sposób: najpierw Marie została zaatakowana w łazience, potem napastnik zszedł na dół, wyszedł z domu, wszedł do samochodu i zwolnił hamulec ręczny, co spowodowało, że pojazd ruszył i przewrócił Martina, który z jakiegoś powodu znajdował się przed nim.

Nikt nie wiedział, dlaczego do tego doszło.

Do prowadzenia sprawy przydzielono inspektora Grahama Harrisa. Gdy Healy opowiedział mu o włamaniach z 1999 roku, Harris przydzielił mu biurko w centrum dowodzenia i zlecił sprawdzenie, czy te włamania mają coś wspólnego z morderstwem. Healy był podbudowany otrzymaniem ciekawego zadania, ale nie bardzo wiedział, od czego zacząć. Czy to w ogóle możliwe, że te dwie sprawy miały ze sobą związek? Z jednej strony byłby to zdumiewający zbieg okoliczności, że podwójne morderstwo popełniono w domu, do którego ktoś kilkakrotnie się włamał jeszcze podczas jego budowy – a w dochodzeniu kryminalnym nie ma zbiegów okoliczności. Ale z drugiej strony, co jakieś narzędzia i usunięte zamki mogły mieć wspólnego z kobietą zamordowaną we własnej łazience i mężczyzną przejechanym przez własny samochód? Pierwsze ledwo podpadało pod jakikolwiek paragraf, a drugie było jedną z najgorszych możliwych do wyobrażenia zbrodni.

Healy kilka razy odwiedził Westpark. Sprawdził nagrania z kamer i przeszłość ludzi pracujących na miejscu. Odnalazł nawet Davida Walsh, byłego kierownika budowy. Przyjrzał się agencji nieruchomości odpowiedzialnej za sprzedaż domów na Westpark, akcjonariuszom Browne Developments i pierwszym rezydentom osiedla. Nie znalazł nic ciekawego.

Mimo miesiąca intensywnej pracy operacja Optyk (ukłon w stronę książki *Niewidzialny człowiek*) nie przynosiła efektów. Właściciele domu pod numerem piętnastym na Westpark nie mieli wrogów ani tajemnic. Z ich posiadłości nic nie zniknęło, brakowało też wyraźnego motywu. Aby posunąć śledztwo do przodu, detektyw Harris pojawił się w popularnym programie telewizyjnym *Crimecall*, w którym dziennikarze i policjanci próbowali zrekonstruować wydarze-

nia z pomocą publiczności.

W wieczór emisji Healy pomagał odbierać telefony od ludzi. Jednym z rozmówców był mężczyzna pracujący w sklepie elektronicznym przy ulicy Olivera Plunketta w centrum miasta, który sprzedał Marie telefon komórkowy jakieś sześć tygodni przed jej śmiercią. Przedstawił się jako Denis Philips i przekazał, że Marie wspominała coś o pozbyciu się linii naziemnej, ponieważ otrzymuje anonimowe telefony. Mężczyzna zapamiętał ją, bo był jakiś problem z dostępem do jej konta i spędziła w sklepie tyle czasu, że Philips skończył zmianę godzinę później. Już wcześniej słyszał o morderstwie w wiadomościach, ale dopiero teraz zobaczył wystarczająco dobre zdjęcie Marie.

Jeśli to prawda, że Marie i Martin planowali zrezygnować z telefonu stacjonarnego, to nie zdążyli tego zrobić. W noc morderstwa wciąż działał i nie znaleziono żadnych dowodów wskazujących na próbę odłączenia go. Healy zabezpieczył rejestry sięgające do trzech miesięcy przed morderstwem i przejrzał je linijka po linijce. Znalazł dwadzieścia siedem połączeń przychodzących, które trwały tylko chwilę – to trzy sekundy, to siedem sekund. Zazwyczaj dzwoniło wieczorem, w seriach po dwa lub trzy razy. Wszystkie połączenia wykonano z budek telefonicznych znajdujących się w ruchliwych obszarach miejskich. Jedno z połączeń wykonano z budki przy stadionie Pàirc Uí Chaoimh, zaledwie kilka minut po końcowym gwizdku ćwierćfinałowego meczu w hurling w turnieju Munster między drużynami z Cork i Limerick – podobnie jak w przypadku telefonu do Lindy O’Sullivan.

Healy znał tę sprawę. Jak wszyscy. I wszyscy uważali ją za incydent związany ze zorganizowaną przestępczością, najprawdopodobniej byli członkowie gangu szukali łupów ukrytych w starym domu szefa. Gardaí uważali, że dzwoniły jakieś świry. Ale jak to możliwe, że plac budowy, który upodobały sobie drobne złodziejzki, teraz stał się miejscem zbrodni? To nie mógł być zbieg okoliczności. Musiał istnieć jakiś związek. Kiedy Healy podzielił się tą informacją w centrum dowodzenia, inny członek zespołu, wcześniej pracujący przy sprawie Christine Kiernan, przypomniał mu o niepokojących wiadomościach głosowych odkrytych po jej tragicznej śmierci. Oto kolejny związek.

Potem pojawił się następny. W świetle nowych informacji detektyw Harris zdecydował, że Healy powinien poprowadzić nowy odcinek w następnej edycji programu kryminalnego, który był emitowany co miesiąc. Wieczorem 21 września 2001 roku Healy siedział zestresowany za stołem na planie *Crimecall* i wyjaśniał prowadzącemu związek między trzema sprawami i anonimowymi telefonami. W programie odtworzono wiadomości głosowe do Christine Kiernan i zapis tego, co Linda O’Neill usłyszała w słuchawce telefonu.

Siedzący w swoim mieszkaniu studenckim w Bishoptown Tommy O’Sullivan, obecnie student pierwszego roku na uniwersytecie w Cork, aż wstał, kiedy zobaczył słowa wyświetlone na ekranie. „Masz coś przeciwko, żebyśmy zagrali w kolejną grę?”. Chłopak zadzwonił do matki i opowiedział jej o telefonie, który odebrał w sylwestra dwa tygodnie przed atakiem na nią. Kobieta potwierdziła, że napastnik używał podobnego języka. Matka i syn spotkali się następnego dnia rano, aby poinformować Gardaí o swoim odkryciu.

Cały świat wciąż był wstrząśnięty wydarzeniami z 11 września. Ludzie każdego ranka po obudzeniu się włączali wiadomości, żeby się przekonać, że ta tragedia naprawdę się wydarzyła i oglądać przerażające zdjęcia tłących się ruin w samym sercu Manhattanu. Healy był wyjątkiem. Jego świat skurczył się do rozmiarów biurka w centrum dowodzenia. Teraz wiedział, że nie chodziło o nieudaną próbę porwania z szantażem. Ani o przypadkowy gwałt. Ani też o członków gangu poszukających łupów. Za zbrodnie odpowiedzialny był nieznan potwór, który bawił się swoimi ofiarami, kręcąc się w pobliżu ich domów i nękał je telefonami. Który zaczął od noża, a potem zainwestował w broń palną. Który rozpoczął swój makabryczny szal od napaści, potem

posunął się do gwałtu, a na koniec do morderstwa. Wiedzieli o nim tak niewiele, że równie dobrze mógł być duchem. Kiedy jeden z niższych stopniem członków zespołu opowiedział o nim znajomemu dziennikarzowi, następnego dnia pseudonim Mężczyzna bez twarzy po raz pierwszy pojawił się w mediach.

Komisariat Garda przy ulicy Anglesea mieścił się obok największej remizy strażackiej w Cork. Kilka dni po tym, jak Mężczyzna bez twarzy zadebiutował w prasie, Healy przechadzał się po korytarzu i zobaczył przez okno trenujących strażaków z jednostki do spraw materiałów niebezpiecznych. Do tego celu za remizą zbudowano specjalną platformę: wąski kwadrat bez ścian, wysoki na pięć lub sześć pięter ze schodami na zewnątrz, imitujący prawdziwy biurowiec lub blok mieszkalny. Treningi odbywały się regularnie i Healy widział strażaków już wiele razy wcześniej, ale dopiero dzisiaj do głowy przyszło mu pewne słowo: ćwiczenie. To robili strażacy – i to właśnie wydarzyło się na osiedlu Westpark. Zanim ktokolwiek wprowadził się do nowo zbudowanych domów, ktoś ćwiczył włamywanie się do nich. Morderca zrobił sobie z placu budowy plac ćwiczeń. Healy nigdy wcześniej nie widział takiego stopnia premedytacji. Wytraściło go to z równowagi. Ale też zmotywowało.

W taki oto sposób detektyw Edward Healy połączył sprawy Alice O’Sullivan, Christine Kiernan, Lindy O’Neill i podwójnego morderstwa Marie Meary oraz Martina Connolly’ego, dzięki czemu przysłużył się operacji Optyk bardziej niż jakikolwiek inny członek zespołu. To on pierwszy doszedł do wniosku, że w hrabstwie i mieście Cork grasuje seryjny morderca. Od tej pory przestał zastanawiać się nad rezygnacją z pracy albo powrotem na studia. Myślał już tylko o schwytaniu tego człowieka.

Detektyw Edward Healy znowu poczuł, że żyje. A mojej matce, ojcu i siostrze pozostał tydzień życia.

Wracam do tego okropnego pokoju w szpitalu, w którym w noc morderstwa mojej rodziny mężczyzna z rudawymi włosami i piegami na nosie kucał przede mną i coś mówił.

Spojrzałam na jego twarz i zmusiłam się do skupienia uwagi. Wciąż słyszałam ten dziwny szum. Chciałam wrócić do matki. Chciałam usłyszeć pukanie do drzwi, podnieść głowę i zobaczyć, jak do środka zagląda moja mama, mówiąc: „Czy Eve tu... Och, tu jesteś. Chodź, idziemy!”. Niestety, drzwi pozostały zamknięte, a mężczyzna mówił dalej.

Powoli docierały do mnie pojedyncze słowa.

„Pamiętasz... Telefon... Anna”.

– Gdzie ona jest? – spytałam, wyrrywając się nagle z zamyślenia. – Wszystko z nią w porządku?

Piegowaty mężczyzna wyglądał na zadowolonego. Kiedy znowu się odezwał, mówił bardzo cicho, jakby zdradzał mi jakiś sekret. Zwracał się do mnie, używając mojego pełnego imienia. Powiedział, że Anna jest bardzo, bardzo chora, ale przebywa w szpitalu i opiekują się nią lekarze i pielęgniarki. To było wyjaśnienie dla kogoś znacznie młodszego ode mnie. Poczułam wściekłość. Miałam dwanaście lat, nie byłam już dzieckiem. Chciałam na niego nakrzyczeć.

Powiedział, że jak trochę się prześpię, będziemy musieli porozmawiać o tym, co wydarzyło się w domu. Starłam się zachować kamienną twarz, ale całe moje ciało było napięte z przerażenia, ponieważ nie mogłam o tym mówić. Z całych sił próbowałam zamknąć to w umyśle. Co pewien czas uwalniał się jakiś obraz – ramię Anny zwisające z łóżka; czerwona plama krwi na tapecie w pokoju rodziców; ojciec leżący pod schodami, z nienaturalnie wykrzywioną głową. Wtedy patrzyłam w drugą stronę i zamykałam oczy, jakby nie był to twór wyobraźni, ale prawdziwa scena.

Piegus oznajmił, że musi mi teraz zadać dwa bardzo ważne pytania. Tylko tyle, a potem ja i Bunia możemy wyjść i trochę się przespać. A jutro może nawet będę mogła zobaczyć się

z Anną.

– Co z rodzicami? – zapytałam.

Uśmiechnął się z zaciśniętymi ustami. Wiele lat później zrozumiałam, że na jego twarzy pojawiło się współczucie.

– Z nimi też – odpowiedział. – Być może.

Poczułam ukłucie zazdrości.

– Są z Anną?

– Tylko dwa pytania, Evelyn. – Mężczyzna poklepał mnie delikatnie po kolanie.

– Dobrze?

Skinęłam głową.

Pierwsze pytanie dotyczyło anonimowych telefonów. Czy coś o nich wiem albo czy pamiętam jakieś sytuacje, że ktoś dzwonił do domu późno w nocy, a potem natychmiast się rozłączył. Może moi rodzice coś o tym wspominali...? Takie żarty widziałam jedynie w filmach dla dzieci. Były śmieszne. Nieszkodliwe. Mój umysł nie chwycił tego, że można połączyć je z tym, co wydarzyło się w moim domu. Po co mnie o to pytał? Pomyślałam, że musi mieć nierówno pod sufitem. Odparłam, że nic takiego nie pamiętam.

Powiedział, że drugie pytanie jest najważniejsze. Człowiek, który był dzisiaj w naszym domu, który skrzywdził moich rodziców i Annę – piegus bardzo chciał go złapać i powstrzymać przed zrobieniem krzywdy komuś jeszcze. Ale potrzebował mojej pomocy. Czy widziałam tego nieznanego? Mogłabym powiedzieć, jakiego był wzrostu albo co miał na sobie? A może słyszałam jego głos? Odpowiedziałam, że nie, nikogo nie widziałam. Mężczyzna zapytał, czy jestem pewna, a ja potwierdziłam. Pamiętam, że był rozczarowany, ale próbował to ukryć. Podziękował mi za współpracę i powiedział, że możemy iść.

Bunia wzięła mnie za rękę i wyprowadziła z pokoju.

Wiedziała, że nie będę spać we własnym łóżku, lecz byłam zaskoczona, kiedy nie wróciliśmy do domu Buni. Zawieziono nas do dużego, ciemnego hotelu. Ta kobieta, która wyglądała na nauczycielkę, pojechała z nami, ale nie przebywała w tym samym pokoju co my. Chyba powiedziała do Buni, że będzie w pobliżu.

W pokoju były dwa łóżka, ale spałyśmy w jednym. Bunia zostawiła włączone lampki nocne. Zapytałam, co zrobimy rano bez czystych ubrań i szczoteczek do zębów. Nie odpowiedziała. Leżała cicho, jednak wiedziałam, że nie śpi, bo czułam, jak drżała. Ja spałam z przerwami. W pewnym momencie obudziłam się i stwierdziłam, że Buni nie ma w łóżku. Dotknęłam dłonią jej poduszki. Była zimna i wilgotna.

Grube zasłony były zaciągnięte, ale do pokoju wpadało wystarczająco dużo światła, żebym zobaczyła, że Bunia siedzi na krześle przy biurku, całkowicie nieruchomo, i trzyma dłoń na telefonie. Czekałam, myśląc, że zaraz do kogoś zadzwoni, ale sekundy mijały, a ona trwała w bezruchu.

W rzeczywistości właśnie zakończyła połączenie. Dzwonili ze szpitala, aby powiedzieć, że Anna zmarła.

Dziwne, pomyślał Jim, wracając w godzinach szczytu do domu, jak Ed Healy został przedstawiony w książce. Teraz miał wątpliwości, czy Eve Black rzeczywiście sama napisała *Mężczyznę bez twarzy*, czy może zatrudniła jednego z tych... Jak oni się nazywali? Autorzy widmo? Twierdzenie, że Healy najbardziej przysłużył się operacji Optyk było sporą przesadą.

Jim miał inne zdanie o tym człowieku. To właśnie on pozwolił, żeby do tego wszystkiego doszło. Tamtego dnia, kiedy został wezwany do Westpark, a kutas w odbłaskowej kamizelce przyprowadził go do tak zwanej kryjówki, Jim też tam był. Stał ukryty wśród drzew, zaledwie kilka metrów od policjanta. Obserwował i słuchał. Gdyby Healy go wtedy zobaczył, cała zabawa skończyłaby się, zanim się zaczęła.

Nie doszłoby do napaści. Ani morderstw.

Ale Healy nawet nie raczył dokładnie przeszukać miejsca.

Dziwne, że Eve nie potrafiła wyciągnąć oczywistych wniosków z przedstawionych dowodów. W tamtym czasie Gardaí mieli ten sam problem, w szczególności jeśli chodzi o Westpark. A wszystko było proste. Jim włamał się do domu, kiedy jego mieszkańcy spali, i zrobił to, co zawsze: obudził ich, groził, związał. Niestety, gdy zajmował się kobietą, mężczyźni udało się wyrwać z więzów. Wybiegł na zewnątrz. Jim pobiegł za nim. Kiedy go dogonił, zobaczył, że mężczyzna chwycił telefon i próbował z niego skorzystać. Doszło do walki, co Jimowi nie odpowiadało, bo takie starcia zostawiały ślady – cięcia, siniaki, opuchnięte knykcie – a musiał wrócić do domu, do Noreen, i następnego dnia normalnie iść do pracy. Mężczyzna został sprowadzony do parteru i czołgał się na brzuchu w beznadziejnej próbie chwycenia telefonu, który i tak leżał poza jego zasięgiem. Wtedy Jim zauważył samochód stojący na opadającym podjeździe i wpadł mu do głowy pewien pomysł. Pociągnął za klamkę drzwi od strony kierowcy: otwarte. Sięgnął do środka pojazdu, zwolnił hamulec ręczny i było po sprawie. Wcześniej nie planował zostawić miejsca w tak... groteskowej scenerii, ale wyszło jak wyszło. Pamiętał, że koledzy w pracy dyskutowali o tym następnego dnia w komisariacie. „Z jakiego rodzaju chorym pojebem mamy do czynienia?“, pytali się nawzajem, podczas gdy Jim siedział w ich towarzystwie. Jako jeden z nich.

Kiedy dotarł do domu, było już ciemno. Od frontu nie świeciły się światła, więc Noreen musiała urzędować na tyłach, w kuchni. Prawdopodobnie oglądała telewizję i nie usłyszała podjeżdżającego samochodu. Jim zabrał egzemplarz *Mężczyzny bez twarzy* ze schowka i torbę ze sklepu Pet World z siedzenia i obszedł dom z boku.

Ponieważ nigdy nie mieli psa, był zaskoczony ogromnym wyborem żywności dla zwierząt. Przechodził obok tego sklepu zoologicznego w centrum handlowym niezliczoną ilość razy, ale nigdy nie miał okazji przyjrzeć się jego rozmiarom ani bogatemu asortymentowi. Aż do dzisiaj. Sklep przypominał spory supermarket. Jimowi akurat to nie pomogło, bo sam nie wiedział, czego szukał. Ostatecznie wybrał produkt, kierując się rysunkiem na opakowaniu.

Otworzył pudełko ciasteczek dla psów i rozsypał je na ziemi w szopie. Pod względem wielkości okazały się idealne. Wąskie, owalny kształt długości od pięciu do ośmiu centymetrów. Twarde na zewnątrz, więc powinny przetrwać jakiś czas na glebie. Niestety, szpikowemu nadziejniu daleko było do galaretowego, na które liczył. Nie poddawało się tak łatwo, jak powinno. Jedynym sposobem na włożenie do środka trutki na szczury było wbicie śrubokrętu, a następnie wepchnięcie trutki do wydrążonego otworu.

Stworzył prototyp z grudkami trutki wciśniętymi w oba końce ciasteczka i stał przez chwilę, podziwiając swoje dzieło. Grudki były małe, cienkie, twarde i praktycznie tego samego koloru co nadziejenie.

Doskonale.

Zrobił pięć kolejnych.

Późnym wieczorem zakopie je przy żywopłocie oddzielającym jego tylny ogród od ogrodu Karen i Dereka.

Co prawda, odkąd wzięli psa, wzmocnili swoją część żywopłotu metrowym drucianym ogrodzeniem, ale Derek montował go sam i spieprzył robotę. Ogrodzenie wisiało między słupkami tak luźno, że pies mógł unieść je nosem, przekopać się pod nim i w ten sposób dostać się do ogrodu Jima. Tak zaczęły się problemy. Problemy żołądkowe zwierzęcia i wypróżnianie się u sąsiadów były najbardziej irytującą częścią tej sagi.

A Jim miał już tego dosyć.

CHOMIKO - WARNIA

Właśnie chwycił za klamkę drzwi do kuchni, kiedy usłyszał głosy. Należały do Katie i Noreen. Chyba siedziały po przeciwnych stronach stołu. Prawdopodobnie nie słyszały, jak wchodził do domu. Od razu chciał do nich dołączyć, ale instynkt podpowiedział mu, żeby zaczekał.

– ...się kończy? – głos Noreen.

– Najwcześniej o dwudziestej drugiej. Proszę?

Jim przystawił ucho do drzwi, żeby lepiej słyszeć.

– No nie wiem, kochanie – powiedziała Noreen. – Wiesz, że nie lubię wracać autobusem po zmroku. Może poprosisz któregoś ze swoich znajomych?

– Albo pracują, albo trenują. Niech tata cię podwiezie.

– Wiesz, że twój ojciec ma w nosie takie rzeczy.

– Przecież może poczekać na zewnątrz. Poza tym, czy kiedyś nie zajmował się czymś podobnym?

– Tym bardziej.

– Brał udział w tej sprawie?

Chwila ciszy.

– Nie – odpowiedziała Noreen. – Twój ojciec nigdy...

Jim otworzył drzwi.

Obie kobiety podskoczyły. Siedziały przy stole, tak jak podejrzewał. Był nakryty, ale jeszcze nie jadły. Na początku patrzyły na niego zaskoczone. Potem Noreen przybrała bardziej tajemniczy wyraz twarzy.

Katie wstała i przytuliła go na powitanie. Miała na sobie strój do biegania. Jej twarz była wyszorowana, policzki czerwone, a włosy wilgotne i pachnące jakimś mydlano-kwiatowym kosmetykiem.

– Przyjechałam zaraz po siłowni – wyjaśniła, kiedy zobaczyła jego spojrzenie. – Na rowerze.

– W takiej ciemnicy?

– Mam odpowiedni sprzęt, tato. Nie martw się.

Noreen minęła go i podeszła do kuchenki.

– Prosiłam mamę o przysługę – kontynuowała Katie, gdy Jim siadał przy stole – a ona zmusiła mnie, żebym została na kolację. Wiesz, jest przekonana, że się głodzę. Pewnie dodaje teraz całą kostkę masła do gulaszu.

– Wszystko słyszę – powiedziała Noreen. – Właśnie zasłużyłaś sobie na dwie kostki.

– Jaką przysługę? – zwrócił się Jim do Katie.

– Och, cóż... No dobra. – Dziewczyna podniosła dzbanek z wodą i napełniła swoją szklankę. – Jutro wieczorem w pewnej księgarni odbywa się spotkanie autorskie. Chciałam na nie pójść, ale dowiedziałam się, że piątkowy trening został przełożony na czwartek, bo na piątek zaplanowano mecz, i żadna z dziewczyn nie będzie wolna. Dlatego poprosiłam mamę, żeby pojechała za mnie, ale mama nie chce jechać sama. Autobusy po zmroku i tak dalej, i tak dalej. – Katie przewróciła oczami. – No i tak sobie pomyślałam... Może mógłbyś ją podwieźć? Mama tylko wpadnie do księgarni, poprosi o autograf i wyjdzie. Maks pięć, dziesięć minut. – Dziewczyna uśmiechnęła się pełna nadziei. – Proszę, tato?

Wieczór autorski. Jutro wieczorem. W mieście.

Jim miał wrażenie, że jego język puchnie i rozpycha mu usta. Czuł suchość i drapanie w gardle. Nie był pewien, czy będzie w stanie wydobyć z siebie słowa, ale otworzył usta i zapytał:

– Jaka to książka?

Brzmiało to tak, jakby zaraz miał się udusić.

– *Mężczyzna bez twarzy*.

To Noreen mu odpowiedziała. Właśnie szła do stołu z dwoma talerzami parującego jedzenia. Postawiła je w momencie, kiedy Katie sięgnęła za siebie, do plecaka wiszącego na poręczy krzesła i wyciągnęła książkę w twardej oprawie.

Żółte litery na czarnej, błyszczącej okładce.

– Nie kupiłabym jej wcześniej, gdybym wiedziała, że w Cork odbędzie się spotkanie autorskie – powiedziała Katie – ale zakładam, że można przynieść jakikolwiek egzemplarz? Nigdy wcześniej nie byłam na podpisywaniu książki, ale wydaje mi się, że...

Jim nie usłyszał końcówki zdania. Cały świat się zapadł, a potem zrobił się czarny i zredukował do niewielkiego punkciku światła, jak w zepsutym telewizorze.

Przed jego oczami błyszczała już tylko jedna rzecz.

Coś było wsunięte do książki, mniej więcej w jednej trzeciej jej grubości. Coś niebieskiego. To mogła być kartka pocztowa, złożony list albo urwany kawałek kartonu z opakowania po płatkach śniadaniowych. Nieważne. Chodziło o jego zastosowanie.

Zakładka.

Katie czytała książkę Eve Black.

Jego córka. Czytała książkę o nim.

Jim spojrzał na Katie. Córka patrzyła na niego z dziwnym wyrazem twarzy. Wyczekującym i może odrobinę zaniepokojonym. Zapytała go o coś? Jej usta się poruszały. Czy w tym momencie coś do niego mówiła? Nie słyszał żadnych słów. Właściwie to już nic nie słyszał...

Ostre uszczypnięcie w ramię sprawiło, że wrócił do rzeczywistości.

– Masz. – Noreen nachylała się nad nim, żeby postawić przy jego talerzu szklanę z jakimś gazowanym napojem. – Daj ojcu zjeść kolację. Dzisiaj miał całodzienną zmianę – powiedziała do Katie, po czym usiadła po przeciwnej stronie stołu. – Wstajesz rano i bierzesz nadgodziny... Musisz się dzisiaj porządnie wyspać, Jim. Nie masz już czterdziestu lat. Czasami mam wrażenie, że o tym zapominasz.

– No, to jak? – zwróciła się do niego Katie. – Zawieziesz mamę?

Jim wziął łyk napoju, żeby kupić sobie trochę czasu. Bąbelki sprawiły, że do oczu napłynęły mu łzy.

– Dlaczego czytasz tę książkę? – zapytał córkę. – Co cię zainteresowało?

– Po co ja się w ogóle staram – wymamrotała pod nosem Noreen. – Jedzenie zaraz wystygnie.

– Usłyszałam o niej w radiu i... – Katie wzruszyła ramionami. – Nie wiem. Temat jest ciekawy, czyż nie? Co to za typ? Czemu robił te wszystkie rzeczy? Jak to możliwe, że nigdy nie został złapany? Czy wciąż żyje? To fascynujące. A książka zbiera dobre recenzje. Do tego autorka pochodzi z Cork i to działo się tutaj, kiedy... Pracowałeś przy tej sprawie, tato?

– Katie – powiedziała Noreen ostrzegawczym tonem. – To nie jest temat na rozmowę przy kolacji.

– Nie – odpowiedział Jim. – Ale służyłem w policji, kiedy to wszystko się wydarzyło. Dla nas to nie była rozrywka, Katie. Ginęli ludzie. Muszę powiedzieć, że jestem zaniepokojony twoim wyborem lektur. Zaniepokojony i rozczarowany.

– Ale wszyscy ją czytają.

– Katie – ponownie ostrzegła córkę Noreen.

– Ale...

– Dość tego – zakończył dyskusję Jim.

Spojrzał z determinacją na zawieszisty gulasz i tłuczone ziemniaki. Włożył widelec

z jedzeniem do ust, ale szybko zdał sobie sprawę, że nie jest w stanie jeść.

Na dłuższy czas zapanowała cisza, przerywana jedynie stukaniem sztućców o ceramiczne naczynia. Potem Noreen zapytała córkę o egzaminy, a Katie zaczęła mówić o jakiejś prezentacji, którą musi przygotować. Jim wyłączył się na tyle, że głosy zlały się w jeden szum, ale nie całkowicie, żeby słyszeć, kiedy przestaną mówić.

Chciał pojechać na spotkanie autorskie. Planował to. Była to część przygotowań do wdrożenia w życie kolejnych punktów planu. Ale teraz jego córka też chciała uczestniczyć w spotkaniu. Zaskoczyło go to, bo chodziło o Katie. Z logicznego punktu widzenia nie było w tym nic dziwnego. Cofnął się myślami do chwili, kiedy zobaczył książkę, będąc w pracy, a potem w księgarni w mieście. Cała witryna ogromnej księgarni była poświęcona tej książce. Mówiono o niej w prasie, Eve Black udzieliła wywiadu w telewizji, a teraz Katie wspominała coś o radiu? Książka była wszędzie. I dotyczyła prawdziwych wydarzeń. Lokalnych wydarzeń. Oczywiście, że cieszyła się zainteresowaniem. Pech chciał, że jego córka też była zainteresowana, ale co w tym dziwnego?

Problem polegał na tym, że chciała iść na spotkanie, a nie mogąc uczestniczyć w spotkaniu, wysyłała tam matkę. Teraz Noreen wiedziała, co będzie działo się w mieście jutro wieczorem. Samo w sobie było to bardziej irytujące niż problematyczne, ale co jeśli Jim pojedzie na spotkanie, a Katie w ostatnim momencie zmieni plany i pojawi się w księgarni? Albo Noreen złamie się i spełni prośbę córki? Albo w ogóle przyjadą tam razem i zobaczą Jima?

– Pojedziemy – oznajmił nagle.

Obie kobiety spojrzały na niego.

– Gdzie? – zapytała Noreen.

– Do księgarni.

– Naprawdę? – rozpromieniła się Katie.

– Mogłabym zadzwonić rano do księgarni – wtrąciła Noreen – i poprosić, żeby odłożyli jeden podpisany egzemplarz. Odebrałabym go w piątek rano...

– Ale ja chcę, żeby podpisali mój egzemplarz – powiedziała Katie. – O ten.

– W porządku – oznajmił Jim. – Pojedziemy.

– Księgarnia znajduje się na Patrick Street, tato. Spotkanie zaczyna się o dziewiętnastej. Na pewno uda wam się gdzieś zaparkować. Zdaje się, że na zewnątrz jest rampa załadunkowa i o tej porze...

– Damy radę. Nie martw się. – Spojrzał na Noreen. – Wejdziemy razem.

W końcu ma uzasadniony powód, żeby tam być. Do tego pojedzie razem z Noreen, dzięki czemu lepiej wtopi się w tłum. Katie odbierze podpisany egzemplarz dopiero w piątek, więc do tego czasu nie będzie musiał ukrywać się z czytaniem. Poza tym napawał się faktem, że za mniej niż dwadzieścia cztery godziny cała trójka znajdzie się w jednym miejscu.

On.

Noreen.

Eve.

Bardzo poetyckie. Podejście do kobiety, która za życiowy cel postawiła sobie odnaleźć go. Zamiast tego on znalazł ją. Nawet nie przyjdzie jej do głowy, na kogo patrzy, Noreen również nie będzie niczego świadoma.

– Dzięki, tato – powiedziała szeroko uśmiechnięta Katie.

Noreen spojrzała na swój talerz i nic nie powiedziała.

— II —

Pośród cieni

CHOMIKO_WARNIA

Pokłosie

Mam obsesję na punkcie opisów żalu. Kolekcjonuję je, dosłownie. Przepisuję do notatnika. Moje motto: nie pomijać żadnego wiersza, osobistego artykułu czy pamiętnika. „Jakbyśmy spadli z wysokości kilkudziesięciu metrów, cały czas zachowując świadomość, i nogami wylądowali w klombie róż z taką siłą, że aż po kolana wbilibyśmy się w ziemię, a pod wpływem uderzenia nasze narządy wewnętrzne popękałyby i wytrysnęły z ciała”². „Wyraz twarzy kogoś, kto z rozszerzonymi źrenicami wychodzi z gabinetu okulisty w jasne światło dnia”³. „Tam gdzie zwykłeś być, teraz pojawiła się dziura w świecie, którą okrążam za dnia, a wpadam do niej w nocy” – cytata z *Listów* autorstwa poetki Edny St. Vincent Millay. „Rozpacz jest jak stąpanie po polu minowym... nieważne, jak uważnie się po nim poruszasz, w każdej chwili coś może wybuchnąć” – Owen Jones cytujący swoją matkę w „The Guardian”. „Te pięć etapów rozpaczycy to jakaś totalna bzdura, ponieważ badali ludzi, którzy otrzymali złe diagnozy, a nie stracili bliskich. Żal nie podlega żadnym schematom. W rzeczywistości jest skomplikowany i złożony” – anonimowy użytkownik strony internetowej o radosnej nazwie OpowiedzNamOSwoimZalu.com.

Zbieram je i próbuję przełożyć na własne życie, ale na razie żaden nie pasował. A przynajmniej nie do końca. Jak można się czuć, gdy zamordowano ci oboje rodziców i młodszą siostrę, kiedy miałaś zaledwie dwanaście lat i pierwsza odnalazłaś ciała? Kto ma o tym napisać? Kto odpowiednio ubierze to w słowa? Ja przez te wszystkie lata nie byłam w stanie ich znaleźć. Na siłę mogłabym powiedzieć, że byłam otepiała. Pusta. Samotna i zagubiona. Wyciągnęłabym wszystkie typowe metafory, które jak zauważyłam, często mają związek z naturą: trzęsienie ziemi, mgła, wysokie fale. Opowiedziałabym o tym, jak chowałyśmy się z Bunią w Spanish Point, a ja czułam się, jakbym z całych sił przytrzymała drzwi do schowka, bo gdybym pozwoliła się im otworzyć, wypłynęłyby wszystkie złe myśli.

Jim ziewnął.

Właśnie wszedł do szopy. Noreen wcześniej położyła się spać i chrapała tak głośno, że gdy wchodził na górę około dwudziestej trzeciej, prawie natychmiast zdecydował o powrocie na dół. Już wtedy ziewał. Może Noreen miała rację. Może rzeczywiście powinien odpuścić sobie dziś wieczorem czytanie i przespać całą noc?

A może to lektura stanowiła problem.

Przejrzał resztę strony i dwie kolejne kartki. Więcej o żalu, stracie i smutku. Babcia autorki była smutna, ale udawała, że tak nie jest. Okłamywanie kolegów ze szkoły, że jej rodzice zginęli w wypadku samochodowym. Znowu smutek i poczucie winy.

Ziewnął ponownie.

Tym razem pamiętał o zaparzeniu sobie herbaty przed wyjściem na zewnątrz. Odłożył książkę i wziął kilka łyków gorącego napoju.

Był dopiero w połowie *Mężczyzny bez twarzy*. Nie miał na tyle pełnego obrazu, żeby czuć się pewnie przed jutrzejszym wydarzeniem. Musi przeczytać więcej, dojść do momentu, w którym Eve opisuje, co się stało w jej rodzinnym domu. Musiał wiedzieć, co zapamiętała albo przynajmniej jak zapamiętała.

Ponownie chwycił książkę, znalazł stronę, na której skończył, i przewertował kilka kartek dalej.

Wystarczy tego żalu. Nie interesowało go to i nie było ważne. Mógł pominąć ten fragment.

Odnalazł następny rozdział i kontynuował czytanie.

Ślepy świadek

Na początku lipca 2015 roku profesor Eglin zaprosił mnie na spotkanie ze swoją znajomą Bernadette O'Brien. Pracowała jako redaktorka w wydawnictwie Iveagh Press. Odkąd sformułowanie „Dziewczyna, która...” stało się popularne, dostawałam różne oferty – na napisanie książki, na udzielenie wywiadu w telewizji w godzinach największej oglądalności, nagranie podcastu czy udział w jakimś programie o dość przerażającej nazwie – ale nie wiedziałam, co robić, więc poprosiłam Eglina o pomoc. Zaproponował, żebym spotkała się z Bernadette.

Biuro Iveagh Press było raczej niewielkie i mieściło się nad kawiarnią o nazwie Bestseller na Dawson Street. Jej nazwa stanowiła nawiązanie do czasów, kiedy mieściła się tu siedziba Narodowego Towarzystwa Biblijnego Irlandii. Przyjechałam wcześniej, więc polecono mi poczeekać w pokoju z dużym oknem wykuszowym, które widziałam z zewnątrz, dużym stołem konferencyjnym i regałami pełnymi książek. W powietrzu unosił się delikatny zapach kawy, nawet zanim zostałam nią poczęstowana. Gdy ją popijałam, w mojej głowie pojawiły się wątpliwości.

Czy naprawdę tu jestem i biorę pod uwagę napisanie książki? Jak niby mam to zrobić, skoro napisanie artykułu na dwa tysiące słów było drogą przez mękę? Próbowałam wyobrazić sobie świat, w którym moja – i jego – historia łączy się ponownie na stronach książki z błyszczącą okładką, ometkowaną i ustawioną na półkach w księgarni. To niemożliwe. Spojrzałam na otwarte drzwi. Przy biurku w recepcji nikogo nie było. Mogłabym po prostu wstać i wyjść. Odstawiłam kubek z kawą i odsunęłam krzesło. Powinnam opuścić to miejsce. W tym momencie pojawiła się Bernadette z błyskiem w oczach i przywitała mnie z otwartymi ramionami, więc zdecydowałam, że z grzeczności zostanę i wysłucham jej propozycji.

Bernadette obchodziła właśnie sześćdziesiąte urodziny, ale wyglądała na pięć czy nawet dziesięć lat młodszą. Kruczoczarne włosy miała ostrzyżone na boba, a na nadgarstkach i w uszach delikatną złotą biżuterię. Tego dnia była ubrana w czarne legginsy i o kilka rozmiarów za duży wełniany sweter, który leżał na niej tak, że wydawał się ostatnim krzykiem mody. Zaskoczyło mnie, że chodzi boso po szarym dywanie, odsłaniając pomalowane na czerwono paznokcie, co na chwilę mnie rozkojarzyło. Chociaż doskonale wiedziała, kim jestem i przez co przeszłam, nie obchodziła się ze mną jak z jajkiem. Rozmawiała ze mną normalnie. Od razu ją polubiłam.

Wyjaśniła, że nie byłaby to pierwsza książka o Mężczyźnie bez twarzy. Na rynku pojawiła się już pozycja zatytułowana po prostu *Sprawa Mężczyzny bez twarzy*, którą napisał Stephen Ardle. Ukazała się w październiku 2002 roku. Nie czytałam jej, ale Bernadette owszem. Podobno nie zawierała zbyt wiele nowych informacji. Ardle pracował jako dziennikarz śledczy, głównie dla „Irish Examiner”, a książka była zbiorem jego artykułów pisanych w czasie, kiedy prowadzono śledztwo. (Ardle zmarł w 2012 roku). Od tamtego okresu ten gatunek literacki się rozwinął, więc teraz miałam okazję napisać konkretną książkę o tej sprawie i wpleść w nią wątki osobiste.

Mój wyraz twarzy musiał zdradzać wątpliwości.

– Pomyśl o tym w ten sposób – powiedziała Bernadette. – Tak, musisz rozdrapać stare rany i to, co z nich wypłynie, przelać na papier. Musisz przeżyć te wydarzenia na nowo. Ale tylko raz i będzie po wszystkim. Poza tym pisanie to doskonała terapia. Pomoże ci. I chociaż musisz pisać prawdę, to niekoniecznie całą. Możesz zatrzymać dla siebie tyle informacji, ile chcesz, jeśli tylko będzie ci się wydawało, że to, co napisałaś zainteresuje czytelników. Mała wskazówka: ludzie już nie tylko czytają książki napisane na podstawie prawdziwych wydarzeń.

Oni je badają. Chcą czegoś więcej. Słuchają podcastów, spotykają się na zjazdach albo siedzą całymi nocami przed komputerem – w tym momencie Bernadette poruszała palcami, jakby pisała coś na klawiaturze – i wymieniają się teoriami. Mamy do dyspozycji całą armię detektywów amatorów. Ktoś musi znać tożsamość tego człowieka. Ludzie się zmieniają. Związki kończą. Wyrzuty sumienia rosną. Książka wzbudzi zainteresowanie tą sprawą. Przywoła kilka wspomnień. A dzięki temu, że to ty będziesz jej autorką, przyciągniemy uwagę całego społeczeństwa. Może uda się ruszyć śledztwo do przodu i w końcu dowiedzieć się, kto za tym wszystkim stał i gdzie obecnie przebywa. Książka może być katalizatorem do aresztowania tego psychola. Na tym etapie trudno już liczyć na Garda.

Nie wątpię, że nasz wspólny przyjaciel namówił ją, żeby to powiedziała. Eglin doskonale wiedział, że to właśnie chęć złapania Mężczyzny bez twarzy zmotywowała mnie do publikacji artykułu, a teraz Bernadette machała mi przed nosem tą samą marchewką, żebym zgodziła się napisać książkę. Mimo wszystko to wcale nie musiała być obietnica bez pokrycia.

Tamtego dnia moi rodzice i Anna nie żyli już od czternastu lat i nikt nie poniósł kary za ich zamordowanie. Za każdym razem, gdy o tym myślałam, czułam wzbierającą we mnie furję. Zaciskałam pięści i szczękę, żeby powstrzymać łzy, przekleństwa cisnące się na język albo coś jeszcze gorszego, i czekałam, aż mi przejdzie. A gdybym wykorzystyła ten gniew? Przemieniła w odwagę, której potrzebowałam, żeby stawić czoło przeszłości, dokładnie przyjrzała się tamtym wydarzeniom i napisała książkę? Może przestałabym czuć tę wściekłość? Co jeśli wyzwałabym się jej, bo morderca w końcu zostałby złapany, a ja nareszcie cieszyłabym się, że resztę życia spędzi, gnijąc zamknięty w małej, ciemnej celi, gdzie nie będzie miał nic do roboty poza myśleniem o tym, co zrobił?

– Jedna sprawa – zwróciłam się do Bernadette. – Mam problem ze szczegółami.

Wyjaśniłam jej, że całe życie próbowałam ich unikać, nie tylko gdy wspominałam napad na moją rodzinę, ale też w innych sferach życia. Dlatego miałam jedynie ogólne pojęcie o wydarzeniu. To, co zdołało przebić się do mojej świadomości albo to, co odkryłam przez przypadek. W noc napaści siedziałam zamknięta w łazience. Słyszałam różne dźwięki i byłam świadkiem ich następstw, ale poza tym...

Powiedziałam, że nie jestem pewna, czy poradzę sobie z wiedzą, co dokładnie wydarzyło się w moim domu i czterech innych, do których włamał się Mężczyzna bez twarzy, ale Bernadette źle mnie zrozumiała. Myślała, że pytam, jak mam się tego dowiedzieć. Chwyciła za telefon stojący na biurku.

– Jedna z naszych autorek korzysta z pomocy emerytowanego inspektora Garda – powiedziała, wykonując połączenie. – Przyjaźnimy się. Na pewno zdradzi nam, z kim trzeba się skontaktować, i zorganizujemy spotkanie w pierwszym możliwym terminie.

Wszystko, co wiedziałam o Edwardzie Healym przed naszym pierwszym spotkaniem to było to, że jest detektywem i gościem, który może powiedzieć mi coś więcej o Mężczyźnie bez twarzy. Umówiliśmy spotkanie na pewien wtorkowy poranek w Lafayette's, kawiarni w lobby hotelu Imperial w Cork. Poprzedniego wieczoru wyszukałam jego zdjęcia w internecie. Pierwsze, które się pojawiło, przedstawiało Healy'ego dumnie pozującego z medalem na mecie jakiegoś wyścigu. Miał rudawe włosy i piegi na nosie. Od razu go rozpoznałam: Edward Healy był piegusem z pokoju. To będzie nasze kolejne spotkanie po czternastu latach.

Ed – jak go teraz nazywam i dziwnie się czuję, gdy muszę nazywać go inaczej – z zachowania przypomina pilota, który żegna pasażerów po wylądowaniu: jest przyjazny i otwarty, ale też pewny siebie i zdecydowany. Ma chłopięcą urodę, ale jest przystojny. Jego koledzy żartują, że z wiekiem młodnieje i biorąc pod uwagę zdjęcia, które widziałam, mogę się z tym zgodzić. Sześć lat temu, kiedy miał około czterdziestki, problemy ze zdrowiem zmusiły go do rzucenia

picia, palenia i – jak to określił – jedzenia dobrych rzeczy. Teraz wolny czas spędza na wędrówkach górskich, gotowaniu wegetariańskich potraw i gdy pozwala mu na to praca, pływaniu w okolicach plaży w Fountainstown. Nie wygląda, jakby jeszcze kilka lat temu tańczył ze śmiercią. Ani jak główny śledczy w sprawie Mężczyzny bez twarzy. A jest nim, a nawet więcej. Jest nemezis Mężczyzny bez twarzy.

Dla Eda to nie było po prostu kolejne śledztwo. Miał obsesję na punkcie tej sprawy. Nierozwiązanej, przez którą nie mógł zasnąć. Odmówił nawet awansu, żeby nie przydzielili go do innej. Zapłacił za to życiem osobistym. Po poświęceniu tak wielu rzeczy, Ed przysiągł sobie, że nie poprzestanie, dopóki nie znajdzie Mężczyzny bez twarzy. Nie udało się. Przez prawie piętnaście lat śledztwo praktycznie stało w miejscu. Edowi zostało zaledwie dziesięć lat, zanim uda się na emeryturę. Czas uciekał.

Nie wiedziałam tego wszystkiego przed naszym spotkaniem w kawiarni, ale pamiętam, że zapał Eda do tego spotkania był trochę niepokojący. Wspominał naszą rozmowę w szpitalu i pytał, jak się miewam. Powiedział, że czytał mój artykuł i bardzo go chwalił. Podobał mu się pomysł napisania książki i zapewnił mnie, że pomoże w każdy możliwy sposób. Podczas naszej rozmowy dawało się wyczuć pewien niepokój i ciekawość z jego strony. Rozpaczliwie pragnął porozmawiać o nocy, kiedy doszło do napaści. Biła od niego nadzieja, że coś dla niego mam. Załatwiłam to najszybciej, jak tylko mogłam: powiedziałam mu, że przyjechałam zdobyć informację od niego, a nie na odwrót.

– Nic nie pamiętam – wyjaśniłam. – Właściwie to nie mam czego pamiętać. Siedziałam zamknięta w łazience. Słyszałam odgłosy. A to, co zobaczyłam później... niewiele wiem. Dlatego przyjechałam porozmawiać z tobą: chcę wiedzieć, co się wydarzyło. W moim i innych domach. A przynajmniej wydaje mi się, że chcę wiedzieć.

Zbliżało się południe i w kawiarni pojawiło się kilka osób. Ed zaproponował, żebyśmy kontynuowali rozmowę na Anglesea Stret, gdzie znajdowała się siedziba Garda, zaledwie kilka minut drogi pieszo od kawiarni, po drugiej stronie rzeki. Powiedział, że ma tam małe biuro zarezerwowane do pracy tylko nad jedną sprawą.

Był szary, pochmurny dzień, w każdej chwili mógł spaść deszcz. Polubiłam Eda, ale miałam wątpliwości, które nie pozwalały mi w pełni czuć się swobodnie. Czy przypadkiem nie popełniłam błędu? Czy dowiem się czegoś, czego nie chciałabym wiedzieć i o czym nie będę potrafiła zapomnieć? Czy marnowałam Edowi czas? Jakby wyczuwając mój niepokój, zapytał, czego oczekuję od książki. Odpowiedź była prosta: chciałam złapać mordercę. Powtórzyłam mu słowa Bernadette o detektywach amatorach, a on skinął głową ze zrozumieniem. Ktoś musi coś wiedzieć, powiedziałam. Jeśli ludzie przeczytają książkę i dowiedzą się o skali popełnionych przez niego zbrodni, o tym, jaki jest niebezpieczny... Może dzięki temu chwycą za telefon i zadzwonią do Garda.

Ed skrzywił się po moich ostatnich słowach. Od razu zrozumiałam, że wyraziłam się niewłaściwie. Położył rękę na moim ramieniu, żebym się zatrzymała przy ławce w pobliżu nabrzeża, naprzeciwko zielonkawych wód rzeki Lee i robiącego wrażenie widoku na ratusz stojący na przeciwnym brzegu.

– Powiem ci to od razu – zaczął łagodnym tonem. – Nawet jeśli ustalimy tożsamość tego mężczyzny, znajdziemy go i złapiemy, to bez jego przyznania się do winy nie będzie można go skazać. Mężczyzna bez twarzy dokonał pięciu okropnych napaści, podczas dwóch pozbawił życia ofiary, ale nie pozostawił śladów. Nie istnieje żaden fizyczny dowód pozwalający powiązać kogokolwiek z tą zbrodnią. Telewizja sprawia, że ludziom się wydaje, że wystarczy mieć odciski palców, przepuścić je przez superkomputer i dopasować do nich właściciela, ale to nieprawda. Musimy znaleźć dowody. Dotyczy to wszystkich potencjalnych dowodów w sprawie. DNA.

Włókien. Zeznań świadków. Także ruchu pojazdów. Tablic rejestracyjnych, śladów opon, tego typu rzeczy. Nawet jeśli ktoś zadzwoni do nas i poda tożsamość podejrzanego, możemy jechać prosto do domu mordercy i go zgarnąć, tylko jak udowodnimy, że mamy właściwego człowieka? Jak go sprawdzimy? Gdyby nie powtarzające się telefony, nie wiedzielibyśmy nawet, że wszystkie pięć zbrodni popełnił jeden mężczyzna.

– Sugerujesz, żebym zbyt nie zwracała sobie tym głowy – powiedziałam zawieszona.

– Mówię, że jeśli twoim celem jest odkrycie, kim jest ten człowiek, to może się tak zdarzyć. Ale niewykluczone, że to będzie musiało ci wystarczyć. Szansa, że uda się go skazać, jest porównywalna z wygraną na loterii. Dlatego jeśli skupiasz się tylko na tym... – westchnął – bardzo się zawiedziesz. Musiałby się przyznać, co po tylu latach i braku dowodów jest bardzo mało prawdopodobne. I to tylko wtedy, kiedy go znajdziemy.

Powiedziałam, że rozumiem, ale w środku się gotowałam. Zawsze zakładałam, że największy problem polegał na tym, że Gardaí nigdy go nie złapali. Ale gdy ktoś w końcu to zrobi, morderca automatycznie trafi za kratki. Utrata tego przekonania sprawiła, że poczułam się zagubiona, lecz powiedziałam Edowi, że chcę kontynuować. W tamtym momencie nie widziałam innego rozwiązania.

Nigdy wcześniej nie byłam w komisariacie na Anglesea Street. Zaskoczyło mnie jego wnętrze. Z ulicy budynek przypominał zwyczajny biurowiec. Ale w środku znajdowały się wypełnione światłem atrium i kamienna podłoga, co nadawało mu podniosły klimat. „Biuro” Eda już tak nie wyglądało. Najwyraźniej pomieszczenie służyło jako składzik starego sprzętu elektronicznego, do którego wciśnięto biurko. Na płytach sufitowych widniały plamy, a w rogu stał pusty dystrybutor wody. Krzesła były plastikowe, niedopasowane i niewygodne. Ed zrobił nam kawy, ale w najlepszym wypadku była to daleka kuzynka napoju, który piliśmy w kawiarni.

Detektyw sięgnął do szuflady i położył na biurku grubą teczkę. Naklejona na okładce brudna etykieta miała napis „Op Optyk”. W pokoju wyczuwało się napięcie, jakby teczka wyemitowała jakiś rodzaj impulsu. Naiwnie pomyślałam, że to całe akta sprawy. W rzeczywistości Ed trzymał pod ręką zaledwie krótkie podsumowanie wszystkich pięciu ataków.

Później przejrzałam pozostałe dokumenty zapakowane w pudła. Czytałam je w towarzystwie Eda, który mi je wyjaśniał i podawał szerszy kontekst. Wiele dni spędziłam w dziale czasopism w Bibliotece Głównej w Cork, mieszczącej się na Grand Parade, przeglądając każdy artykuł dotyczący sprawy Mężczyzny bez twarzy. Spotykałam się z ludźmi, którzy przeżyli napad, i słuchałam, jak opowiadali swoje historie z najdrobniejszymi szczegółami. Obejrzałam nawet kilka zdjęć z miejsc zbrodni. Ale wtedy, pierwszego dnia, mogłam jedynie starać się trzymać, podczas gdy Ed powoli wprowadzał mnie w ogólny zarys każdej z pięciu zbrodni Mężczyzny bez twarzy.

Nie miał jeszcze pozwolenia, żeby dzielić się ze mną cokolwiek poza tym, co pojawiło się już w mediach – dostał je później od komisarza, który podobnie jak Ed bardzo chciał złapać mordercę – więc ograniczył się do podstawowych informacji. W tamtej chwili postanowił wytłumaczyć mi, kim był Mężczyzna bez twarzy i co zrobił, zanim pojawił się w naszym domu. Zaczął od stwierdzenia, że to, co wydarzyło się u nas, było największą tragedią.

Potem opowiedział mi o O’Sullivanach mieszkających na Bally’s Lane w Carrigaline. O Christine Kiernan z Covent Court. Lindzie O’Neill z Fermoy. Marie Mearze i Martinie Connollym z Westpark. Ten biedny mężczyzna, uwięziony pod kołami własnego samochodu, powoli umierał ze świadomością, że w domu jego żona również umiera albo już nie żyje. Tamtej nocy myślałam tylko o nim.

Razem z Edem zadawaliśmy te same pytania, które pozostawały bez odpowiedzi. Czemu wybrał akurat tych ludzi? Te domy? Co je łączyło? Ed wyjaśnił, że próbowali znaleźć powiązanie

między ofiarami na wiele sposobów, żmudnie analizując ich przeszłość, ale zawsze kończyli na niczym. Wierzył, że jeśli znajdzie powiązanie, to namierzy mordercę. Cork zamieszkiwało pół miliona ludzi, ale nie sprawiało takiego wrażenia. To dziwne, że Gardaí nie udało się w znaczący sposób powiązać ze sobą nikogo z ofiar. Zazwyczaj w dowolnej losowej grupie bez problemu można było znaleźć powiązanie, na przykład ta sama szkoła czy nawet więzi rodzinne. W tym mieście było to całkowicie naturalne.

Gdy wspomniałam o naszym domu rodzinnym w Passege West, Ed zapytał, czy kiedykolwiek odwiedziłam go po napaści. Odpowiedziałam, że choćby tego ranka i za każdym razem podczas wizyty w Cork. Nie sprzedałam domu, a gdy kilka lat temu wynajmująca go para wyprowadziła się, nie szukałam nowych lokatorów. Okazjonalnie sama w nim pomieszkiwałam.

– Wiem, że dziwnie to zabrzmiało – powiedziałam – ale podoba mi się tam. Mieszkaliśmy w nim wszyscy razem. Poza tą jedną nocą mam same dobre wspomnienia. Czuję, że jestem bliżej mojej rodziny.

Kiedy mówię o tym ludziom, zawsze spotykam się z tą samą reakcją: zniesmaczenie. Pomieszkuję w domu, w którym ktoś zarżnął moją rodzinę? Jakim psycholem trzeba być?

Ale Ed zareagował inaczej.

Zapytał, czy możemy tam pojechać. Razem. Teraz.

Jim nie czuł już żadnych śladów zmęczenia.

CHOMIKO - WARNIA

Tamta noc

Passage West, o populacji sześciu tysięcy mieszkańców, jest portowym miastem na zachodnim wybrzeżu zatoki Cork. Jadąc od strony miasta, trudno było natrafić na nasz dom, ponieważ należało skręcić w prawo jeszcze przed tablicą „Witamy w Passage West” sfinansowaną przez Departament Rozwoju Obszarów Wiejskich i Społeczności podczas jednego z corocznych konkursów na najatrakcyjniejsze miasteczko. Mieszkaliśmy w domu z mansardą, który rozbudowano, dostawiając taki sam budynek, ale pod kątem, przez co konstrukcja układała się w kształt litery „V”. Działka miała trochę ponad półtora hektara, a dom stał na samym środku, na końcu zwirowanego podjazdu.

Zaproponowałam, że nas tam zawiozę, ale Ed powiedział, że pojedzie własnym autem. Chciałam go poprowadzić, lecz szybko zdałam sobie sprawę, że Ed doskonale zna drogę. Dotarliśmy na miejsce prawie w tym samym czasie. Wydaje mi się, że był zaskoczony brakiem zmian, mimo upływu lat. Nie robiłam tego celowo. Nie chciałam tworzyć mauzoleum, po prostu bywałam tu za rzadko, żeby cokolwiek zmieniać.

– Odtwórzmy jego działania. – Byłam zaskoczona, że coś takiego powiedziałam.

Zaczęliśmy od zewnątrz, od tylnego wejścia. Tamtej nocy było otwarte, jak zawsze. Do czasu napadu okoliczni mieszkańcy nie zamykali drzwi na klucz i zostawiali kluczyki w stacyjce samochodu, a sąsiedzi wiedzieli, gdy wyjechałeś. Potem to się zmieniło. Nikt nie wiedział, w jaki sposób Mężczyzna bez twarzy podszedł do domu, z której strony się pojawił ani jak znalazł się w okolicy. Jakby po prostu nagle zmaterializował się niczym duch wychodzący z cienia.

Strój znacznie mu to ułatwił. Na podstawie zeznań Alice O’Sullivan, Christine Kiernan i Lindy O’Neill Ed opisał, w co prawdopodobnie morderca był ubrany, kiedy pojawił się w naszym domu: czarna góra i spodnie, czarne rękawiczki i czarna kominiarka. Na głowie miał latarkę czołową, ale nie podczas wszystkich ataków. Nosił też przy sobie nóż i prawdopodobnie broń palną, chociaż nigdy z niej nie strzelił. Ed stwierdził, że morderca musiał przebierać się tuż przed włamaniami, ponieważ w takim stroju na mieście zwróciłby na siebie uwagę.

– Prawdopodobnie zrobił to tutaj – powiedział Ed, stając przed tylnymi drzwiami domu.

Było jasno, a Ed ma bladą skórę, piegi i jest szczupły, ale przez chwilę widziałam człowieka ubranego na czarno, naciągającego kominiarkę, a potem chwytającego za klamkę. Zadrżałam, chociaż nie było zimno.

– Gotowa? – zapytał Ed, a ja skinęłam głową, mimo że nie byłam.

Weszliśmy do środka.

Śledczy ocenili, że Mężczyzna bez twarzy rozpoczął atak na moją rodzinę między trzecią a czwartą nad ranem. Szacunki oparli na fakcie, że zadzwoniłam na policję o czwartej dziesiątej oraz na ustaleniach patologa, który badał ciała moich rodziców. Wiedzieli też, że zanim wszedł na górę, przebywał w kuchni, co ustalono dzięki ustawieniu przedmiotów, ale nie można było stwierdzić, ile czasu mu to zajęło. Morderca jak zawsze nie zostawił żadnych śladów. Pomyślał nawet o tym, żeby wyczyścić plamę z kawy wybielaczem, który moja matka trzymała pod zlewem. Minęliśmy kuchnię i weszliśmy do holu.

Ed zatrzymał się przy schodach i poprosił, żebym powiedziała mu wszystko, co wiem, zanim wejdziemy na górę do sypialni.

Nie pamiętam dokładnej kolejności wydarzeń, mam tylko przebłyski. Na szczęście przez lata udało mi się połączyć je we w miarę sensowny ciąg. Teraz mogę je odtworzyć, chociaż obraz

jest niestabilny i przerywany.

Wyjaśniłam Edowi, że to tak, jakbym próbowała stworzyć film z serii fotografii. Widać wszystkie kluczowe momenty, ale brakuje łącznika. Fabuła nie rozwija się, tylko migocze.

Obudziłam się w środku nocy, żeby pójść do toalety. Zazwyczaj mi się to nie zdarzało, ale przemyciłam do łóżka puszkę napoju pomarańczowego i wypić przed snem. Drzwi do pokoju, który dzieliłam z Anną, były zamknięte. Pamiętam to, bo w środku panowała całkowita ciemność. Anna miała przy łóżku małą lampkę nocną, przy której zasypiała, ale ja wyłączałam ją, kiedy szłam spać. Gdyby drzwi były otwarte, światło z korytarza wpadałoby do środka i na pewno zwróciłabym uwagę, że coś jest nie w porządku.

Na palcach przeszłam z sypialni do łazienki, co trwało kilka sekund, ponieważ łazienka znajdowała się obok naszego pokoju. Górne światło było wyłączone, ale rodzice zostawiali na noc włączone mniejsze, przy lustrze. Zamknęłam za sobą drzwi najciszej jak umiałam. Klucz był w zamku, ale nie przekręciłam go, żeby nie wydał żadnego dźwięku. Wiadomo że w nocy wszystkie dźwięki sprawiają wrażenie głośniejszych. Z tego samego powodu nie spuściłam wody.

Właśnie naciągnęłam z powrotem bieliznę, kiedy usłyszałam dziwny hałas. Pierwsze, co przyszło mi do głowy, to atak astmy, bo podobne odgłosy kilka miesięcy wcześniej wydawała z siebie dziewczyna w szkole podczas ataku na lekcji wuefu. Coś jakby stłumione dyszenie. Pomyślałam, że Anna ma koszmar.

Pamiętam, że stałam przy drzwiach i chwyciłam klamkę, ale nie nacisnęłam jej, ponieważ usłyszałam kroki. Dźwięk oddalał się, jakby ktoś szedł do sypialni moich rodziców. Rytm i ciężar tych kroków nie były mi znane.

Wątpię, abym wtedy pomyślała, że w domu jest ktoś jeszcze oprócz mojej rodziny. To było poza moim wyobrażeniem, że obcy mógłby włamać się do naszego domu.

Mimo to coś sprawiło, że zostałam w łazience. Pierwotny instynkt. Kilka chwil później to samo przecucie kazało mi przekręcić klucz w zamku, wyłączyć światło przy lustrze i schować się w ciemności.

Nie było żadnych krzyków. Słyszałam jedynie stłumione głosy, a potem przez kilka minut coś w rodzaju rytmicznego skomlenia. Później rozległo się głuchoe dudnienie. Wydaje mi się, że w pewnym momencie usłyszałam ojca mówiącego „nie” błagalnym tonem. Mogło też dojść do szarpaniny, bo słyszałam, jakby ktoś poruszał się po dywanie.

Nie miałam pojęcia, co dzieje się w sypialni rodziców, ale czułam, że nie powinnam tego wiedzieć. To było coś mrocznego, przerażającego i przeznaczonego dla dorosłych, ja powinnam wszystko przeczekać, nie ruszać się z miejsca i nie informować rodziców, że nie śpię.

Nie pamiętam, czy pomyślałam o Annie. Jeśli tak, to widocznie stwierdziłam, że śpi.

Mijały minuty. Dziwne dźwięki ucichły, więc przyłożyłam ucho do szpary między drzwiami a framugą i nasłuchiwałam. Wydawało mi się, że słyszę coś w oddali, ale nie do końca wiedziałam co. Poza tym nie byłam pewna, czy sobie tego nie wyobrażam. Jeśli byłam przerażona, wzięłam to za dezorientację. Może było to celowe działanie, żeby chronić siebie. Ale jednego jestem pewna: cały czas siedziałam w łazience. Z nosem przy drzwiach. Z dłonią na kluczu. Czekałam.

Nagle usłyszałam kroki w korytarzu. Ktoś bardzo szybko szedł od prawej do lewej. Czyli w stronę schodów.

Pomyślałam, że to ojciec. Już miałam przekręcić klucz.

Wtedy usłyszałam kolejne kroki, zmierzające w tym samym kierunku. To również mógł być ojciec.

Zamarłam.

Kto tam był? Co tam się działo?

Krzyk. Niezbyt głośny. Taki jaki wydajesz z siebie, gdy poślizgniesz się na lodzie. Potem nastąpiła seria głuchych uderzeń i huknięć. Z jakiegoś powodu wiedziałam, co się wydarzyło: ktoś spadł ze schodów.

Rozległ się głośny jęk, a potem nastała cisza.

Nie wiem, jak długo czekałam, ale w końcu wyszłam z łazienki. Przekręciłam klucz w zamku i aż zadrżałam, bo dźwięk wydawał się głośny niczym wycie syren. Otworzyłam drzwi. Pamiętam, że na zewnątrz panowała ciemność, co oznaczało, że ktoś wyłączył światło w korytarzu, gdy ja byłam w łazience.

Ale na parterze było jasno. Ruszyłam w tamtym kierunku.

Kiedy dotarłam do szczytu schodów i spojrzałam w dół, zobaczyłam, że u ich podnóża leży skulona postać. Światło padało na nią z całą nocą, wszystko inne pozostawiając w cieniu. Pamiętam to tak, jakby oświetlały ją reflektory sceniczne, chociaż w rzeczywistości na pewno tak nie było.

Ojciec leżał na trzech dolnych stopniach schodów. Głowę miał przyciśniętą do ściany, a stopy zaplątane w poręczy. Jego ciało było kanciaste i połamane. Zawołałam go, ale nie odpowiedział. Zeszłam schodek lub dwa, ale ta pozycja i bezruch... byłam zbyt przestraszona. Uciekłam na górę do sypialni rodziców, żeby obudzić mamę.

Wydaje mi się, że drzwi do pokoju, który dzieliłam z Anną, były teraz zamknięte, ale nie jestem pewna.

Światło z dołu nie docierało do tego rogu korytarza, więc kiedy przekroczyłam próg sypialni rodziców, szłam na pamięć. Zrobiłam kilka kroków, wiedząc, że zaraz powinnam uderzyć w stolik nocny, a potem w ramę łóżka od strony mamy. Chyba wyszeptałam jej imię, później powiedziałam je na głos, a na końcu zawołałam. Bez odpowiedzi. W pokoju unosił się dziwny zapach. Gdy zbliżyłam się do łóżka, wdepnęłam w coś wilgotnego i lepkiego. Poklepałam koce w poszukiwaniu ramienia mamy, żeby je chwycić i nim potrząsnąć, ale przestałam, kiedy moje dłonie dotknęły takiej samej wilgotnej i lepkiej substancji. Wyciągnęłam rękę w lewo, żeby włączyć lampkę. W świetle zobaczyłam, że kołdra jest podciągnięta do zagłówka i wszędzie jest krew: na kołdrze, na ścianie, na abażurze.

Wyłączyłam światło. W pokoju ponownie zapanowała ciemność.

To wszystko.

Potem są tylko przeblęski. Pamiętam babcię z rozpuszczonymi włosami opadającymi na ramiona i pokoje, w których nie powinnam być. Czułam się, jakby ktoś wyciął mi w środku dziurę tępym i zardzewiałym narzędziem. Ta pustka pozostanie ze mną na zawsze.

Jim wziął ołówek i podkreślił wszystkie zdania na ostatnich kilku stronach, które niedokładnie lub błędnie opisywały rzeczywistość. Później zakreślił zdanie „To wszystko” i z boku dopisał: „Czyżby? Gdzie reszta?”.

Czy Eve naprawdę zapamiętała wydarzenia w ten sposób?

Czy specjalnie skłamała?

CHOMIKO - WARNIA

Powiedziałam to wszystko Edowi, a potem dodałam, że nie może na mnie polegać. Miałam dwanaście lat, kiedy doszło do napaści. Chociaż cały czas spędziłam w łazience, mój umysł przygotowywał się na walkę o przetrwanie i dotarł do najgłębszych pokładów, żeby przygotować mnie na to, co miałam zobaczyć. Gdy z czasem zaczęło brakować miejsca, po prostu wyrzucał niektóre rzeczy, a ja przypominałam sobie część z nich. I tak zrozumiałam, jaki wpływ na człowieka ma przeżyta w dzieciństwie trauma. Wspomnienia tamtej nocy są jak puzzle, w których brakuje kawałków, a część jest dopasowana w niewłaściwy sposób.

Na przykład: zadzwoniłam do babci z telefonu w kuchni, a to oznaczało, że musiałam przejść nad ciałem ojca. Nie pamiętam, co jej powiedziałam, i nie przypominam sobie, żebym dzwoniła na policję, chociaż to zrobiłam. Służby mają nagranie. Nie pamiętam też, że wróciłam do naszej sypialni, chociaż widziałam dłoń Anny z nieumiejętnie pomalowanymi czerwonym lakierem krótkimi paznokciami, zwisającą z krawędzi łóżka. Jak inaczej mogłabym to zobaczyć? Jak to możliwe, że nie krzyczałam. Jak dużo czasu minęło między tymi wszystkimi wydarzeniami? Dlaczego Mężczyzna bez twarzy mnie oszczędził?

Kiedy skończyłam, Ed nie odzywał się dłuższy czas. Potem powiedział, co według Gardaí wydarzyło się tamtej nocy. Weszliśmy na piętro, żeby mógł mi wszystko pokazać.

Oczywiście nikt nie zna dokładnej kolejności zdarzeń, ale ze śledczego punktu widzenia sensowne było założenie, że Anna zginęła pierwsza. Mężczyzna bez twarzy dusił ją poduszką, ale nie udało mu się zabić jej od razu. Anna trafiła w śpiączce do szpitala i nigdy się nie obudziła.

Nasza sypialnia znajdowała się przy schodach, dlatego najpierw wszedł właśnie do niej. Razem z Edem stanęliśmy w otwartych drzwiach. Teraz nie ma tu łóżek, ale wtedy łóżko Anny stało naprzeciwko drzwi, przy ścianie pod oknem. Moje znajdowało się po drugiej stronie, za drzwiami.

Kiedy powiedziałam to Edowi, spojrzał na mnie, dając do zrozumienia, że to wszystko wie, był na miejscu zbrodni i przez wiele godzin analizował zdjęcia. Prawdopodobnie wie lepiej, jak wyglądał mój dom w październiku 2001 roku.

Poszliśmy do pokoju rodziców i znowu stanęliśmy w progu. Nie miałam w zwyczaju wchodzić do ich sypialni. (Gdy odwiedzałam dom rodzinny, spałam na dole, w pokoju, który służył ojcu za biuro). Była pusta, poprzedni lokatorzy okleili ściany zieloną tapetą w różowe kwiaty. Zamontowano też nowy kaloryfer, ale w tym samym miejscu co poprzedni. Ed wskazał na kaloryfer i powiedział, że właśnie tam morderca przywiązał mojego ojca, a dokładnie do rury pod kaloryferem. Gardaí znaleźli przy niej rozdartą niebieską linę.

Ojciec zdołał się uwolnić, lecz nadgarstki i kostki wciąż miał związane. Prawdopodobnie dlatego spadł ze schodów, wyjaśnił Ed. Z tego powodu stracił życie. Nie mógł użyć rąk, żeby zamortyzować upadek. Gdyby nie był związany, skończyłoby się na siniakach, stłuczeniach lub w najgorszym razie na złamaniu ręki albo nogi. A tak upadek spowodował przerwanie rdzenia kręgowego w szyi. W tamtym czasie w domu był tylko jeden telefon, w kuchni. Ojciec przypuszczalnie próbował się do niego dostać.

Matkę znaleziono w łóżku, leżała twarzą w dół. Głowę miała przykrytą kocami. Została czternaście razy dźgnięta nożem, głównie w okolice pleców i ramion. Nadgarstki i kostki były związane, tak jak u ojca, ale Mężczyzna bez twarzy musiał użyć brutalnej siły, noża albo groźić bronią palną, żeby zmusić moją matkę do pozostania w łóżku. Zgwałcił ją. Nie jestem w stanie o tym myśleć. Nie mogę nawet zmusić się do ponownego przeczytania tego akapitu.

Wyszłam z sypialni i zbiegłam do kuchni. Ed poszedł za mną. Wypiłam szklankę wody, a potem włączyłam czajnik. Nie byłam pewna, czy dam radę mówić. Przez ostatnie dziesięć minut poświęcałam tamtym wydarzeniom więcej czasu niż kiedykolwiek wcześniej.

Spojrzałam na Eda, opierając się o blat, ponieważ miałam zawroty głowy i było mi

gorąco, a poza tym nie ufałam swoim kolanom, że utrzymają mnie w pozycji pionowej. Złapałam go na tym, że wpatruje się w telefon wiszący na ścianie obok lodówki. Nie był to ten model, który mieliśmy w 2001 roku, ale wisiał w tym samym miejscu.

– Nigdy do nas nie dzwonił – powiedziałam. – Prawda?

Nie pamiętałam, żeby w noc napaści przydarzyły się jakieś głuche telefony, ale to nie oznacza, że ich nie było. Może mama taki odebrała. Albo mój umysł całkowicie wyrzucił to z pamięci.

– Mógł dzwonić – odrzekł Ed. – Może.

Poinformował mnie, że w 2001 roku członkowie zespołu operacji Optyk prześledzili rejestr połączeń przychodzących, trwających minutę lub krócej. Znaleźli pięć i oznaczyli je jako ważne dla śledztwa. Połączenia pojawiały się o różnych porach, ale zawsze dzwoniło z budek telefonicznych zlokalizowanych w Cork lub w jego okolicach. Dwa wykonano z budki na Patrick Street, ale poza tym nie miały nic wspólnego. Żadnego połączenia nie wykonano z budki w okolicach stadionu, jak to się stało w przypadku Christine Kiernan i Lindy O’Neill.

– To mógł być on – powiedział Ed. – Ale nigdy się nie dowiemy.

Zabraliśmy kubki z herbatą do salonu i usiedliśmy – Ed w fotelu, ja na kanapie.

Zadałam pytanie, które właśnie przyszło mi do głowy.

– Skoro do nas nie dzwonił, to skąd pewność, że to on włamał się do naszego domu tamtej nocy.

– Lina – wytłumaczył Ed. – To główny dowód. Plus charakter popełnionego przestępstwa, czas i lokalizacja. Informacji o linie nigdy nie podano w mediach.

– Zatem zostawił za sobą jakiś trop...

– Ten rodzaj liny był powszechnie dostępny. Sprzedawano ją w ponad stu pięćdziesięciu sklepach budowlanych w całym kraju. Odwiedziliśmy każdy z nich w hrabstwie Cork i te oddalone o dwie godziny jazdy samochodem, ale mogliśmy zadać sprzedawcom tylko jedno pytanie: „Czy pamiętasz, żeby ktoś ostatnio kupował ten rodzaj liny w sporych ilościach?”. Nie działaliśmy za wiele.

– A nóż?

– Nie był tak powszechnie dostępny, ale mieliśmy jedynie jego krótki opis od osoby, która nie została zaatakowana: sąsiadki Christine Kiernan. Nie wiemy, czy zabierał ze sobą ten sam model do każdego domu. Na podstawie opisu patolog stwierdził, że prawdopodobnie zaatakował nim również twoją matkę, ale...

– Tak. Tak było.

Ed wyglądał na zaskoczonego.

– Co masz na myśli?

Dotarło do mnie, że Ed nie wie o moim znalezisku, ponieważ mu o nim nie powiedziałam. Nikomu tego nie mówiłam i nie napisałam o tym w artykule, bo nie zdawałam sobie sprawy z jego znaczenia, dopóki nie opublikowano mojego tekstu i nie przeczytałam pozostałych artykułów dotyczących morderstwa. Dlatego przekazałam Edowi te rewelacje dopiero teraz. Kilka tygodni przed morderstwem bawiłam się z Anną. Uniosłam poduszki na kanapie i znalazłam linę i nóż. W przeciwieństwie do samej nocy ataku, to pamiętam doskonale i opisałam funkcjonariuszom wszystko ze szczegółami. Niebieski warkocz. Żółty trzonek, który przypominał mi plastikowe zabawki. Lśniące, wypolerowane ostrze.

Ed wstał, pokręcił się trochę i z powrotem usiadł. Wyjął notatnik, otworzył go i sięgnął do kieszonki koszuli po długopis. Potem poprosił, żebym powtórzyła wszystko, co powiedziałam.

Na początku byłam zdumiona jego reakcją. Jeszcze przed momentem mówił, że tropy w postaci liny i noża donikąd nie doprowadziły policji, więc dlaczego teraz zainteresowało go, że

je znalazłam?

Ale to nie sama informacja go zaintrygowała, tylko fakt, że dowiedział się o tym czternaście lat po napaści. Chodziło o charakter mojego przekazu. Dopiero teraz dostrzegłam znaczenie tego, co się wydarzyło.

Nawet po tylu latach na światło dzienne wciąż mogły wychodzić nieznane fakty.

W taki sposób rozpoczął się nowy etap śledztwa w sprawie Mężczyzny bez twarzy. Lata po jego ataku, w tym samym domu, w którym widziano go po raz ostatni. Wyobraziłam sobie mordercę w jego domu, być może z żoną zajętą czymś w kuchni i dziećmi biegającymi wokół – chociaż teraz raczej wnukami, bo jego dzieci, jeśli je ma, są z pewnością dorosłe. Wyobraziłam sobie, że czuje się bezpiecznie, a może nawet jest zadowolony, ponieważ skoro przez tyle lat unikał wykrycia, to już nikt po niego nie przyjdzie.

Ale ja po niego szłam, razem z Edem.

To była tylko kwestia czasu.

CHOMIKO - WARNIA

Podczas pół roku pracy w centrum handlowym żaden dzień nie dłużył się Jimowi bardziej niż dzisiejszy czwartek. Jim był nie tylko znudzony, ale też zmęczony, bo przez ostatnie dwie noce prawie nie spał. Zabijał czas na zmianie, wyobrażając sobie siebie na spotkaniu autorskim, jak stoi kilkanaście centymetrów od Eve Black, a ona nie ma pojęcia, że *Mężczyzna bez twarzy* jest właśnie o nim. Po pracy wykorzystał te kilka godzin kupione swoim niewinnym kłamstwem i ponownie pojechał na przystań, ale tym razem, żeby się przespać w samochodzie. Był tak wyczerpany, że nie dałby rady zrobić nic innego. A gdy w końcu – w końcu – minęła osiemnasta, on i Noreen ruszyli do miasta.

Kiedy jechali wzdłuż nabrzeża, Noreen wspomniała coś o wywiadzie.

– Wywiad?

– Tak. – Noreen patrzyła przez okno. – Najpierw przeprowadzą z nią wywiad, a potem będzie podpisywała książkę.

Jim nie spuszczał wzroku z drogi.

– Nic o tym nie mówiłaś.

Przez cały dzień wyobrażał sobie długą kolejkę ludzi, wijącą się wokół stołów i regałów w księgarni, dzięki czemu miałby okazję przyjrzeć się kobiecie siedzącej przy stoliku, zanim do niej dojdzie i ona go zobaczy. Teraz musiał wyrzucić to z głowy i przygotować się na rzędy składowanych krzeseł stojących naprzeciwko stolika, dzięki czemu autorka będzie mogła patrzeć na każdego uczestnika spotkania. Jim nie lubił nagłych zmian. Nie lubił być niemile zaskakiwany. Szczegóły miały znaczenie, a kluczem było przygotowanie.

Kiedy przesunął dłonie na kierownicy z pozycji za piętnaście trzecia, zobaczył pot na lśniącym, czarnym, skórzanym obiciu. Natychmiast przesunął je z powrotem.

– Kto przeprowadzi z nią wywiad?

– Jakiś dziennikarz.

– Jaki?

– Nie wiem.

– Sprawdź.

– Dowiemy się na miejscu.

– Sprawdź.

Noreen westchnęła.

– Okej.

Jim wjechał na wielopoziomowy parking przy Paul Street.

– Danielle Kennedy – przeczytała na głos Noreen. – Tu jest napisane, że jest reporterką „Irish Timesa”.

Zaparkowali w pobliżu wind na pierwszym poziomie i wyszli z samochodu. Od księgarni dzieliło ich zaledwie kilka minut spacerem. Jim czuł ciężar podjętej decyzji na swoich barkach i słyszał szep w głowie, że powinien zawrócić.

Ale donośniejszy głos mówił, że powinien iść dalej, że Eve na sto procent go nie zidentyfikuje, a cała akcja to konieczne rozpoznanie.

To temu głosowi zaufał.

Weszli do księgarni tylnym wejściem, od Paul Street. Gdy tylko Noreen otworzyła drzwi, Jim poczuł, jak jego mięśnie pleców się rozluźniają. W środku był gorąco, tłoczno i panował hałas. Na spotkanie przyszło ponad sto osób.

Noreen zareagowała odwrotnie. Nie lubiła tłumów i hałasu i starała się ich unikać. A to oznaczało, że sobie z nimi nie radziła, kiedy sytuacja ją do tego zmuszała. Jim od razu zauważył zmianę, jaka w niej zaszła: napięte mięśnie, rozbiegane oczy, poważna mina.

– Och – powiedziała, odwracając się do niego bokiem. Wydawała się bledsza niż przed

chwilą, chociaż to mogła być wina ostrego światła w księgarni, a za kropelki potu nad jej górną wargą, które lśniły na białych włoskach, być może odpowiadała temperatura panująca w pomieszczeniu. – Nie jestem przekonana. Jest więcej ludzi, niż zakładałam...

Spojrzała na męża, szukając pomocy.

– Skoro tu już jesteśmy – powiedział Jim – to zostaniemy.

Minał Noreen i odszedł, kierując się w stronę największej grupy.

W księgarni ustawiono rzędy składanych krzeseł, ale wszystkie były już zajęte. To oznaczało, że jest zmuszony stać i będzie rzucał się w oczy, gdy Eve Black zajmie miejsce w jednym z dwóch skórzanych foteli ustawionych przy niewielkim stoliku i zwróconych w stronę rzędów krzeseł. Przynajmniej nie było żadnej sceny ani podwyższeń. Eve będzie miała taką samą perspektywę, jak publiczność. Na stoliku stały dwie butelki wody, mały wazon z kwiatami i egzemplarz *Mężczyzny bez twarzy*.

Jim ruszył do przodu, torując sobie drogę między ludźmi i nie zwracając uwagi na ich niezadowolone spojrzenia. Zauważył, że przy głównym wejściu stoi większy stół z kieliszkami wina i wody, a obok niego kolejny ze stosami książek. Za nimi było trochę wolnej przestrzeni, niedaleko gablotki z zeszytami. Jeśli tam stanie, zyska niezły widok na Eve, a jednocześnie będzie dla niej praktycznie niewidoczny.

Poszedł w tamtą stronę.

Nagle poczuł, że ktoś klepie go po ramieniu.

Nie zamierzał się odwracać, bo założył, że to Noreen albo pracownik księgarni, z którym rozmawiał, kiedy był tu ostatnio.

Ale potem usłyszał:

– Jim?

Męski głos. Znajomy.

Odwrócił się.

Ed Healy.

Ten sukinsyn.

– Ed? – Jim szeroko się uśmiechnął i wyciągnął dłoń. – Kopę lat.

– Właśnie.

Wymienili mocny uścisk.

– Jak żyjesz? – zapytał Jim.

– Dobrze, dobrze. Nie narzekam. A ty?

– Ach... sam wiesz.

Patrzyli sobie w oczy trochę za długo.

– Wciąż działasz, jak rozumiem – odezwał się w końcu Jim.

– Ach, właściwie to... wrzuciłem na luz. Kończę w Boże Narodzenie. Myślałem, że dam radę dobić do trzydziestej rocznicy, ale pewnego ranka obudziłem się i zdałem sobie sprawę, że chcę cieszyć się życiem, a nie wiecznie to odkładać, wiesz?

Jim skinął głową, chociaż nie miał pojęcia, o czym Ed pierdoli.

– A co z tobą? – zapytał Ed. – Czym się zajmujesz?

– Ochrona. – Standardowa odpowiedź, którą podawał za każdym razem, gdy wpadał na dawnego kolegę z pracy.

Dużo byłych funkcjonariuszy tak odpowiadało, ale zazwyczaj mieli na myśli „ochronę jakiegoś bogatego ważniaka”, a nie ochronę w cholernym centrum handlowym.

– O, naprawdę? Tu, na miejscu?

– Ta.

– Brakuje ci pracy w policji?

– W ogóle. – Jim zachichotał, a przynajmniej miał nadzieję, że tak to brzmiało. – Co tu robisz, Ed?

Jim zadał to pytanie, zanim zrobił to Ed.

Młodszy z mężczyzn uniósł brodę, wskazując coś za plecami Jima.

– Jestem z nią – odrzekł.

Jim nie musiał się odwracać, żeby wiedzieć, co Ed miał na myśli. Czuł ją, jej zimny oddech na swoich plecach. Gdy w końcu na nią spojrzął, pozostali ludzie złączyli się w jedną masę.

Liczyła się tylko ona.

Musiała pojawić się kilka chwil temu. Stała przy skórzanych fotelach i rozmawiała z dwójką ludzi. Mężczyzna mógł być zastępcą kierownika, z którym Jim rozmawiał dzień wcześniej, a kobieta, sądząc po dwóch mikrofonach i stercie kartek, które trzymała, dziennikarką.

Eve Black była wyższa, niż się spodziewał, miała około metra osiemdziesięciu, i w pomieszczeniu pełnym zwykłych ludzi robiła niezwykłe wrażenie. Nie wydawała się też taka chuda jak w telewizji, prawdopodobnie dzięki temu, co miała na sobie – jakiś rodzaj warstwowej sukienki lub spódnicy, która spowijała ją w taki sposób, że nie można było stwierdzić, jaką ma figurę. Dłonie trzymała w kieszeniach, a ręce do połowy przedramion zniknęły między fałdami materiału. Dzisiejszego wieczoru miała mocniejszy makijaż, jej skóra wyglądała zdrowo i była rozświetlona. Okropną, jaskrawoczerwoną szminkę zastąpiło coś bardziej naturalnego i w różowym kolorze. Do tego założyła długie złote kolczyki z mnóstwem małych wiszących ozdób, odbijających światło, gdy odwracała głowę. Jej oczy wydawały się większe i jakimś cudem inne...

Patrzyła prosto na niego.

A teraz pomachała.

Przez ułamek sekundy poczuł impuls, by unieść dłoń, ale kątem oka dostrzegł, że robi to Ed.

Patrzyła na Eda, nie na niego.

– Znasz ją? – zapytał Jim.

Eve wróciła do rozmowy z dwójką ludzi.

– Cóż, tak... – Ed zmarszczył brwi. – To Eve Black.

– Eve Black?

Ed miał dziwny wyraz twarzy i Jim zastanowił się, czy nie przesadził z poziomem ignorancji.

– Ocalała – wyjaśnił jego rozmówca – z domu na Passage West. – Wskazał leżące na stole egzemplarze *Mężczyźni bez twarzy*.

– Och... Och. Jezu. Wybacz, Ed. Odrobinę się zawiesiłem. Żona mnie tu zaciągnęła. Dopiero w drodze dowiedziałem się, o jaką książkę chodzi. Nie czytam tego typu lektur.

Ed uniósł brwi.

– Nie?

– Nie. Wiesz, jak to jest. Po trzydziestu latach pracy w policji masz dość takich rzeczy. Mam rację?

– Hmm – wymamrotał Ed. W tym momencie dokładnie przyglądał się Jimowi.

– Czyli pomagałeś podczas pracy nad książką? – spytał Jim.

Ed skinął głową.

– Ty też pracowałeś w tamtym czasie przy Optyku, prawda?

– W pewnym okresie wszyscy przy nim pracowali. Kilka razy pomagałem odbierać telefony.

– Tu jesteś!

Po lewej stronie Jima stanęła Noreen. Na skroniach miała kropelki potu i patrzyła na męża z poirytowanym wyrazem twarzy.

– Cześć. Jestem Noreen, żona Jima – zwróciła się do Eda.

Jim spojrzął na nią.

Wyobraził sobie, co myśli Ed, widząc ją po raz pierwszy w życiu. Niska, otyła i bez gustu. Miała na sobie białe tenisówki i sukienkę w jaskrawy wzór, który bardziej pasował na obrus. Nigdy nic nie robiła z gniazdem cienkich, szarych włosów i jak zwykle nie miała maki-
jażu. Pieprzony wrak człowieka.

Jim miał ochotę zdzielić ją z całej siły w twarz, a potem trzasnąć jej głową o najbliższy twardy przedmiot. Zagryzł wargę, żeby poczuć ból i skupić myśli na czymś innym.

Ed przedstawił się i podał dłoń Noreen.

– To ty go tu zaciągnęłaś – powiedział Ed miłym tonem.

Noreen otworzyła usta, ale potem spojrzała na Jima, szukając wsparcia.

– Dobrze, proszę państwa. – Z drugiego końca sali rozległ się głos. – Jesteście gotowi? Proszę, usiądźcie...

Uratowany.

Jim mocno chwycił łokieć Noreen.

– Lepiej znajdziemy jakieś miejsce – powiedział. – Stąd nic nie widzę. Miło cię było zobaczyć, Ed. Złapiemy się później.

Jim szybko się odwrócił, prowadząc za sobą Noreen.

Przeciągnął ją przez całą salę, przez tłum, aż znalazł odpowiednie miejsce.

Gdzie widział Eve, ale ona nie widziała jego.

Na żywo Eve Black była inna. Nadal wyglądała na wycofaną, ale zniknął niepokój. W oczekiwaniu aż dziennikarka – Danielle Jakaśtam – zacznie spotkanie, siedziała nieruchomo, sprawiając wrażenie dość pewnej i zrelaksowanej. Podczas przedstawiania (autorka, ocalała z ataku, detektyw) Eve rozglądała się po zebranych, uśmiechała się do ludzi, których rozpoznawała, i od czasu do czasu lekko machała ręką albo kiwała głową.

– Pomyślałam – powiedziała Danielle – że moglibyśmy zacząć od czytania.

Eve skinęła głową. Potem schyliła się, żeby wyjąć książkę z dużej torby opartej o nogę fotela. Ten egzemplarz miał miękką, czarną okładkę i biały tytuł na grzbiecie.

Eve wzięła mały łyk wody i odchrząknęła.

– Dobry wieczór wszystkim – zaczęła. – Dziękuję za przybycie. Najbezpieczniej będzie, jak przeczytam fragment ze wstępu. Nie chcę, żeby ktoś nie z własnej woli słuchał... no wiecie – zrobiła krótką pauzę. – O makabrycznych szczegółach.

Po sali rozszedł się szmer. Bez wątpienia część – większość? – ludzi pojawiła się właśnie dlatego.

Jim miał nadzieję, że są rozczarowani. Jemu pomysł się podobał.

Eve ponownie odchrząknęła i zaczęła czytać mocnym i donośnym głosem, który słyhać było w całej sali, bez potrzeby korzystania z mikrofonu leżącego na stoliku obok fotela.

– „Kiedy się spotykamy, prawdopodobnie przedstawiam się jako Evelyn i mówię: «Miło cię poznać». Przekładam kieliszek do drugiej ręki i potrząsam twoją wyciągniętą dłonią, lecz mój ruch jest niezdamny i krople białego wina opryskują nas oboje. Przepraszam i rumienię się ze wstydu. Ty machasz ręką i mówisz, że wszystko w porządku, nic się nie stało, naprawdę, ale rzucasz okiem na swoją koszulę, którą prawdopodobnie na tę okazję oddałeś do pralni, żeby ukradkiem oszacować straty. Pytasz, czym się zajmuję, a ja nie jestem pewna, czy jestem rozczarowana, czy zadowolona, że ta rozmowa potrwa dłużej...”.

Jim wyłączył się, rozmyślając nad osobliwością tej sytuacji.

Przyjechał do księgarni, żeby posłuchać Eve Black czytającej fragmenty swojej książki o nim, podczas gdy Ed Healy, który prowadził śledztwo w sprawie Mężczyzny bez twarzy (brak sukcesów) stał nieopodal.

Podobnie jak Noreen.

Pomyślał, że to samo muszą czuć spadochroniarze, kiedy stoją w otwartych drzwiach samolotu, setki metrów nad ziemią, i czekają na sygnał do skoku: bardziej żywi niż kiedykolwiek z powodu groźby rychłej śmierci, ale również pewni, że wszystko pójdzie zgodnie z planem, ryzyko jest minimalne i poczują euforię, bez liczenia się z konsekwencjami.

– „Zawsze towarzyszy mi ta obawa – czytała dalej Eve – gdy poznaję nową osobę. Tak, jestem «tą dziewczyną, która»... Miałam dwanaście lat, kiedy pewien mężczyzna włamał się do naszego domu i zamordował moją matkę, ojca i siostrę Annę, która już na zawsze pozostanie siedmiolatką”.

Jim rozejrzał się po zgromadzonym tłumie, zastanawiając się, jaka byłaby reakcja tych ludzi, gdyby dowiedzieli się, że Mężczyzna bez twarzy jest wśród nich.

Uciekliby?

A może zasypaliby go pytaniami, chcąc usłyszeć jego wersję wydarzeń?

Był przekonany, że zna odpowiedź. Nikogo nie interesowała Eve Black. Nie bardzo. Wszyscy tutaj chcieli się dowiedzieć więcej o człowieku, który sprawił, że stała się sławna. Że jest kimś. Chcieli wiedzieć więcej o nim. Już wcześniej przeszło mu przez myśl, żeby skontaktować się z mediami, jak Zodiak i kilku innych przed nim, lecz Irlandia to nie Stany. Była zbyt małym krajem na takie popisy, a poza tym technika śledcza poszła do przodu.

Ale wciąż jakaś jego część chciała podzielić się tą historią ze światem.

Zamiast stać w księgarni i słuchać tego pieprzenia.

– „Byliśmy ostatnią rodziną, którą zaatakował ten człowiek, ale nie pierwszą. Popęłnił pięć zbrodni w ciągu dwóch lat. Prasa nadała mu przydomek «Mężczyzna bez twarzy», ponieważ – jak twierdzili dziennikarze – Gardaí nic na niego nie mieli”.

Człowiek, który stał przed Jimem – jak się okazało, pracownik księgarni – nagle odwrócił głowę w stronę kas, ponieważ zadzwonił telefon. Pobiegnął, żeby go odebrać, a między Jimem i Eve zwołniała się przestrzeń.

Jeśli podniesie wzrok, spojrzysz prosto na niego.

– „Mając trzydzieści lat, uświadamiam sobie rozmiar mojej straty w znacznie szerszym kontekście, niż gdy byłam dwunastolatką. A odpowiedzialny za nią potwór wciąż chodzi na wolności, wciąż nie został zidentyfikowany. Może nawet spędza czas ze swoją rodziną. Ten całkiem prawdopodobny scenariusz doprowadza mnie do takiego szału, że w gorsze dni nie potrafię skupić się na niczym innym. Czasem żałuję, że morderca mnie też nie pozbawił życia”.

Ja też, pomyślał Jim. Ja też.

Ale nie jest jeszcze za późno.

Eve spojrzała na środek tłumu.

– Kiedyś byłam dziewczyną, która przeżyła atak Mężczyzny bez twarzy – powiedziała, już nie czytając. – Teraz jestem kobietą, która go schwyta.

Dwadzieścia lat, przypomniał sobie Jim. Minęło mniej więcej dwadzieścia lat, odkąd zadzwonił w noc sylwestrową do domu na Bally's Lane, i przez cały ten czas nikt nawet nie zbliżył się do ustalenia jego tożsamości.

Ani wszystkie siły An Garda Síochána, ani pierdolony Ed Healy, a już na pewno nie samotna kobieta prowadząca osobistą krucjatę.

Eve odwróciła głowę odrobinę w lewo.

Rozglądała się.

Kogoś szukała.

W końcu jej wzrok zatrzymał się na Jimie.

– I – powiedziała – wiercie mi, zrobię to.

W sali wybuchły brawa.

Jim wyciągnął rękę w stronę najbliższego regału, żeby się o niego oprzeć i przewrócić kieliszek z winem, który jakiś idiota postawił między grzbietami książek kulinarnych z wegetariańskimi przepisami a krawędzią półki. Noreen podskoczyła, gdy trunek oblał jej łydki, i pięć lub sześć osób stojących najbliżej odwróciło się, żeby zobaczyć, co się dzieje. Dwie z nich spojrzały na twarz Jima, zanim ponownie obróciły głowy.

Jim czuł, że jest mu jednocześnie zimno i gorąco. Miał sucho w ustach, język wydawał się spuchnięty, a dłonie były lepkie od potu.

Co to miało, do cholery, być?

Czy to możliwe, że go rozpoznała?

Eve bezgłośnie dziękowała różnym osobom z tłumu. Siedząca obok niej Danielle szeroko się uśmiechała i również biła brawo. Po chwili chwyciła za mikrofon i powiedziała:

– A to dopiero wstęp!

Jeszcze głośniejszy aplauz.

Eve przejęła mikrofon.

– Dziękuję – rzekła. – Dziękuję wam wszystkim. Dziękuję.

Na jej policzkach pojawił się rumieniec. Była zawstydzona.

Albo dobrze udawała.

– Bierzmy się do pracy – powiedziała Danielle, przeglądając notatki. – Często myślę, że książki doskonale maskują to, ile brudnej roboty trzeba wykonać, żeby powstały. – Dotknęła egzemplarza leżącego na niewielkim stoliku między nią a Eve. – Mamy tu skończony produkt w błyszczącej okładce i pozwólcie, że się powtórzę: to kawał niesamowitej lektury, która sprawi, że zarwiecie noc. Porozmawiajmy o tym, jak powstała. Eve, pozwól, że cofniemy się do początku tego procesu. Wielu ludzi myśli, że najpierw był artykuł, który wszyscy na pewno czytaliśmy. Ale tak naprawdę zaczęło się od eseju na zajęcia z angielskiego...

Jim rozejrzał się po sali. Na jednej z półek zobaczył szklanekę z niewielką ilością wody i śladem szminki na brzegach. Szybko wziął łyk i odstawił naczynie na miejsce, zanim jego właścicielka zdołała go przyłapać. Zwilżył język, ale nadal czuł suchość w gardle. Był otoczony przez tłum i stał nieruchomo, żeby nie zwracać na siebie większej uwagi. Dolna część pleców była złana potem, a w głowie pojawił się tępy ból.

Spojrzał na Noreen.

Obracała się, oceniając szkody z poirytowaną miną. Kiedy spojrzała na Jima, jej wyraz twarzy całkowicie się zmienił.

Najpierw otworzyła szeroko oczy ze zdziwienia.

Potem pojawiła się u niej troska.

– Wszystko w porządku? – wyszeptała.

Jim spojrział na jej dłonie. Nic w nich nie trzymała. Nie wzięła żadnego napoju.

Była dla niego bezużyteczna.

Odwrócił się, ignorując jej pytanie.

Eve wzięła łyk wody i przeprosiła Danielle za chwilową przerwę w wywiadzie.

– Nie ma problemu – powiedziała dziennikarka łagodnym tonem. – Nie spiesz się.

Później przez kilka minut rozprawiły o historii eseju. Eve opowiedziała o tym, że zbliżał się termin oddania prac, o którym kompletnie zapomniała, ponieważ wypadła w dzień urodzin Anny, oraz o reakcji profesora na oddany tekst. Określała go mianem „znanego pisarza”, tak samo jak w książce. Mówiła, że do przezwyciężenia strachu przed odkryciem swojej tożsamości i publikacją tekstu przekonała ją możliwość schwymania mordercy po tylu latach. Cały czas patrzyła na Danielle, dużo gestykulując. Opowiadała jasno i zwięźle. Każdy obecny w księgarni

był zachwycony jej wypowiedzią.

No, prawie każdy.

Jim patrzył na nią i czekał.

Żeby znowu na niego spojrzeć, Eve musiałaby oderwać wzrok od Danielle i zerknąć przez lewe ramię. Czy rzeczywiście to wtedy zrobiła? Odwróciła się od rozmówczyni i od większości słuchaczy?

Czy był to tylko wytwór jego wyobraźni?

Niby jak miałyby go rozpoznać? Tamtego dnia stała u szczytu schodów, a on ukrywał się w cieniu, kilka metrów od pierwszego stopnia.

Osiemnaście lat temu.

Kiedy Eve miała dwanaście lat.

– Musiało być ci trudno – mówiła Danielle – wrócić do wydarzeń z przeszłości. Przyznam, że niektóre fragmenty były niezwykle szokujące, a ty naprawdę to przeżyłaś. Jak podeszłaś do pisania? W szczególności o tamtej nocy – chociaż, tak jak sama napisałaś w książce, dużo więcej słyszałaś, niż widziałaś. W zasadzie zobaczyłaś jedynie... następstwo napaści.

Eve założyła kosmyk włosów za lewe ucho. Na jej palcu serdecznym coś błysnęło w świetle. Jim przypomniał sobie słowa Eda: „Jestem z nią”.

– Uważałam i nadal uważam, że trudno wytłumaczyć to, co zapamiętałam z tamtej nocy. A właściwie, jak to zapamiętałam. Mam przebłyski. Mogę porównać to do animacji poklatkowej. Jak w *Miasteczku Halloween*? – Danielle skinęła głową i cicho się zaśmiała, podobnie jak kilka osób z publiczności. – Albo jej złej wersji. Nie wyświeclanej po kolei, tylko chaotycznie. Szarpanej. Ponieważ brakuje klitek, prawdopodobnie wielu. Mimo to pamiętam, co się wydarzyło, chociaż problemem jest to, co pamiętam. Byłam tam, lecz nie do końca. Ukryłam się w łazience. Słyszałam pewne rzeczy, jednak w tamtym momencie nie wiedziałam, co to jest. Oczywiście byłam przerażona, ale chyba bardziej zdezorientowana. No i... – Eve przełknęła ślinę – jak wszyscy wiedzą, zobaczyłam skutki tego ataku.

W sali zapanowała całkowita cisza.

– Ale nie zobaczyłaś jego – przerwała jej Danielle. – Mężczyzny bez twarzy.

Eve pokręciła głową.

– Widziałam tylko swoją rodzinę, nikogo więcej. I to wtedy, gdy...

Jej głos się załamał, więc zrobiła przerwę na łyk wody. Danielle uśmiechnęła się do Eve.

– Pójdźmy dalej – powiedziała, rozładowując napięcie panujące w sali, niczym igła wbita w balon. Ludzie spuścili głowy, wiedząc, że nie dostaną tego, po co przyszli.

Czy Eve kłamała? Czy rzeczywiście nie pamiętała?

Po tym, co się właśnie wydarzyło, po sposobie, w jaki na niego spojrzała, pomyślał, że wszystko doskonale pamięta.

– Po napaści – kontynuowała Danielle – babcia zabrała cię na zachód kraju. W jakim stopniu byłaś świadoma tego, co się wydarzyło?

– Niewielkim – odpowiedziała Eve. – Babcia dużo przede mną ukrywała. Oczywiście zdawałam sobie sprawę, że mama, tata i Anna nie żyją i że do naszego domu włamał się zły człowiek i zrobił to, co zrobił, ale chyba nie do końca rozumiałam, jak można tak postąpić. A może nie chciałam tego rozumieć. Poza tym byłam mała. Mój umysł nie był w stanie pojąć pewnych rzeczy.

– Hmm. Śledzili was też jacyś dziennikarze...? – zapytała Danielle.

– Bunia dostała wiadomość, że kilku kręci się po wiosce i wypytuje okolicznych mieszkańców. Jeden nawet pojawił się przed naszym domkiem. – Eve przewróciła oczami. – A w zasadzie dwoje. Fotograf i dziennikarka. Pracowali razem. Pamiętam, że wracałam ścieżką z plaży

i zobaczyłam ich przed furtką. Zadawali mi pytania. Dziwnie się poczułam, bo znali moje imię. Pomyślałam, że muszą mnie skądś znać. Właśnie miałam im odpowiedzieć, ale z domku wybiegła Bunia, krzycząc, żebym wracała do domu.

– Wiedziałaś o innych napaściach? – pytała dalej Danielle. – Miałas wtedy jakiegokolwiek pojęcie o – zrobiła palcami znak cudzysłowu – Mężczyźnie bez twarzy?

– Dowiedziałam się dopiero w szkole średniej. Możesz wyobrazić sobie, jak to było. Koledzy szeptali między sobą. Babcia robiła, co mogła, żeby mnie chronić, ale zapomniała o internecie. Szłam do biblioteki, żeby poszukać imion moich rodziców w sieci. Ale nigdy nie miałam w sobie tyle odwagi, aby przeczytać to, co znalazłam. Prawdopodobnie dziwnie to zabrzmiało, lecz miałam wrażenie, jakby istniały dwa światy. Ten, w którym żyłam, i ten, w którym moi rodzice i siostra pojawiali się w gazetach jako ofiary Mężczyzny bez twarzy. Wydawały mi się... odrębne. Nie wiem, jak to wytłumaczyć. Myślę, że byłam oderwana od tego wszystkiego przez lata spędzone na Spanish Point.

Chwila ciszy.

– A teraz. – Danielle spojrzała na zegarek. – Mam świadomość, że robi się późno, a chcemy jeszcze dać możliwość zadania kilku pytań publiczności, ale zanim skończymy naszą rozmowę... Myślę, że to nie będzie zdradzenie tajemnicy, jeśli powiem, że nie udało ci się ustalić tożsamości Mężczyzny bez twarzy...

– Nie.

– ...Jednak zdobyłaś sporo nowych informacji na jego temat. Mam rację?

Eve skinęła głową.

– Tak, udało nam się. Mówię „nam”, ponieważ nie dokonałam tego sama. Jestem bardzo wdzięczna za pomoc Edowi Healy’emu, który pracował przy śledztwie. To właśnie on ustalił, że wszystkie zbrodnie popełniła ta sama osoba i połączył sprawy. – Eve uniosła głowę i rozejrzała się po księgarni. – Gdzie jesteś, Ed?

Ludzie również zaczęli się rozglądać.

– Oto i on! – Danielle wskazała na róg sali, w którym Jim zostawił Eda. – Obiecuję wam, że po przeczytaniu książki naprawdę docenicie, jak bardzo ten człowiek był oddany sprawie znalezienia potwornego mordercy. Zresztą nadal go szuka.

– Myślę, że należą mu się brawa – dodała Eve.

Publiczność jej posłuchała.

Jim nie był w stanie dostrzec Eda, ale widział kilka osób z publiczności, które uśmiechały się w jednym kierunku. Za co tak właściwie bili mu brawo? Ed nie znalazł Mężczyzny bez twarzy. Co jeszcze zabawniejsze, teraz znajdował się w tym samym miejscu co on, i nie miał o tym zielonego pojęcia.

Danielle odczekała chwilę, po czym powiedziała:

– Te nowe informacje. Co możesz nam zdradzić? Wiem, że prawdopodobnie są...

– Wiemy, jak wybierał ofiary – oznajmiła Eve.

Po księgarni rozszedł się szmer.

Świat Jima nagle się zatrzymał.

– Ojej – wyszeptwała Danielle.

Niemożliwe. To nieprawda. Nie mogli tego odkryć.

Zdał sobie sprawę, że Noreen coś do niego mamrocze.

– Jim? Jim, co się dzieje? Dlaczego kręcisz głową?

Eve szeroko się uśmiechała.

– Muszę przyznać, że bardzo ucieszyło mnie to odkrycie.

– Bo tak powinno być – podsumowała Danielle. – To znaczy... kiedy dotarłam do tego

fragmentu, po prostu rzucił mnie na kolana. I jeszcze sposób, w jaki to przedstawiłaś... Czuję się, jakbym czytała thriller! – Odwróciła się do publiczności. – Nic więcej nie powiem. Nie chcę psuć wam lektury.

Jim miał wrażenie, że jego serce zaraz wyskoczy z klatki piersiowej.

Noreen wciąż na niego patrzyła, czekając na odpowiedź.

– Ostatnie pytanie – powiedziała Danielle. – Nie martwisz się... – zrobiła krótką przerwę, tani chwyt budujący napięcie – ...że morderca po ciebie przyjdzie? To znaczy... z tego, co wiemy, wciąż gdzieś jest. Myślisz, że mieszka w Cork? I wie o książce?

Eve wzięła głęboki oddech i chwilę się zastanowiła.

– Oto, co myślę – zaczęła. – Jeśli żyje, to prawdopodobnie mieszka w okolicy, a jeśli mieszka w okolicy, to wie o książce. Tylko co z tego, że wie? Nie boję się go. Teraz jest już stary. Od blisko dwudziestu lat nic nie zrobił. A przez te dwie dekady wykrywalność bardzo wzrosła. Uważam, że gdyby popełnił te zbrodnie teraz, złapalibyśmy go w ciągu kilku dni. Jeśli żyje, to na pewno zdaje sobie z tego sprawę. Podejrzewam, że właśnie dlatego przestał. Wie, że nie zdołałby uciec. Był – jest – tchórzem. Ale ja nie jestem i idę po niego. Moje śledztwo nie dobiegło końca tylko dlatego, że skończyłam pisać książkę. Co więcej, dzięki książce oraz ludziom, którzy ją przeczytają i przypomną sobie o sprawie, pojawiają się nowe tropy. Odpowiadając na twoje pytanie: Nie, nie martwię się. I jestem zdeterminowana, żeby go znaleźć – Eve zrobiła krótką pauzę. – Wiem, że wkrótce mi się to uda.

Danielle poprosiła publiczność, by nagrodziła Eve brawami, a kiedy się rozległy, Jim odwrócił się do Noreen i powiedział:

– Musimy iść. Teraz.

– Ale muszę zdobyć podpis dla Katie.

Katie.

Kompletnie zapomniał, że to ona była powodem wspólnego wypadu małżonków do księ-garni.

– Dobra – rzucił. – Tylko zrób to szybko. Spotkamy się przy tylnym wejściu.

Noreen chciała zaprotestować, ale Jim odwrócił się, nie dając jej na to szansy. Ludzie wokół niego wstawali z krzeseł i obracali się, żeby ze sobą porozmawiać, tworząc przy tym długą kolejkę do stołu, przy którym siedziała Eve.

Jim wycofał się w stronę tylnego wejścia.

Księgarnia była długa i szeroka, na środku tworzyła łagodny łuk. Jim minął stoły pełne książek, kasy i dział z książkami dla dzieci obwieszony kolorowymi chorągiewkami. Tłum przerezedzał się coraz bardziej, im bardziej Jim oddalał się od Eve i po jakimś czasie był już sam.

Wreszcie.

Oparł się o najbliższy regał i pierwszy raz od kilku minut wziął porządny oddech.

„Wiemy, jak wybierał ofiary”.

Ale to niemożliwe.

Musiał jak najszybciej wrócić do domu, do czytania książki.

– Jim! Tu jesteś.

Głos Eda Healy’ego. Znowu. W pobliżu. Chłop musiał stać tuż za nim. Jim przybrał uprzejmy wyraz twarzy i odwrócił się, żeby spojrzeć...

Na Eve Black.

Stała zaledwie pół metra od niego. Był w stanie dostrzec delikatne włoski na jej twarzy. Błyszczące cienie do powiek. Bicie pulsu pod subtelnym złotym łańcuszkiem na szyi.

Patrzyła mu w oczy.

A potem się uśmiechnęła. Szeroko. Odslaniając rząd śnieżnobiałych zębów.

– To jest Eve – powiedział Ed. – Eve, poznaj Jima Doyle’a.

Nie wykonała żadnego gestu, nie wyciągnęła ręki. Stała bez ruchu, wpatrując się uważnie w jego twarz.

– Pamiętam cię – stwierdziła.

Jim musiał zapanować nad kolanami, żeby nie ugięły się pod nim. Otworzył usta, ale nie wydobyło się z nich żadne słowo.

Słowa nie istniały. W głowie miał całkowitą pustkę. Nawet nie czuł, że jest w swoim ciele, jakby stał obok i przyglądał się całej sytuacji.

– Nie pamiętasz mnie? – Eve wciąż świdrowała go wzrokiem. – Wtedy wyglądałam inaczej. Miałam długie i ciemne włosy.

Jim nigdy nie miał ataku serca, ale odnosił wrażenie, że właśnie teraz go doznaje. Nagły tępy ból w klatce piersiowej i kwaśne pieczenie w gardle, skurcz krtani. Nie był w stanie wziąć oddechu. Wzbierała w nim panika.

Eve patrzyła na niego lekko zdziwiona.

Powiedz coś. Powiedz coś. **POWIEDZ COŚ.**

– Ja... nie pamiętam – wydusił w końcu.

Eve wymieniła krótkie spojrzenie z Edem.

– W porządku – powiedziała. – To żadna zbrodnia.

Jim czuł, jakby całe jego ciało miało zaraz spłonąć. Zwilżył językiem usta.

– S-skąd...?

– Komisariat Garda w Togher – odpowiedziała, po czym machnęła ręką i uśmiechnęła się do niego. – To było bardzo krótkie spotkanie, nie przejmuj się. Tak naprawdę nie spodziewałam się, że mnie rozpoznasz. Mam po prostu pamięć do twarzy.

Jakby oblany kubłem zimnej wody, wrócił do siebie. Dwa, trzy lata temu. Siedział w recepcji w Togher. Jakaś kobieta chciała porozmawiać z funkcjonariuszką Garda, która teraz pracuje w Krajowym Biurze Śledczym na Harcourt Square w Dublinie. Aisling Feeney. Ich kontakt trwał może trzy lub cztery minuty.

Zapamiętał to tylko dlatego, że padło nazwisko Aisling Feeney. To ona była jedną z dwóch funkcjonariuszek, które odwiedziły kobietę w Covent Court i zabrały nóż oraz linę, jakie ta znalazła u siebie w mieszkaniu pod poduszkami na kanapie. To właśnie Feeney oficjalnie włączyła je jako dowód w sprawie. Na plastikowej torbie znajdował się jej podpis.

Odkąd Jim zabrał je z magazynu dowodów rzeczowych, pamiętał imię i nazwisko Gardaí.

To wydarzyło się lata temu. Przez ten czas Garda była zaangażowana w wiele innych spraw, a z tego, co pamiętał, kobietą, która chciała rozmawiać z Aisling, była jej krewna...

Ale to była pieprzona Eve Black.

– Zgubiłeś Noreen? – zapytał go Ed, po czym zwrócił się do Eve: – Jima zaciągnęła tu dzisiaj żona. Pewnie czeka w kolejce po twój podpis.

– Och, naprawdę? – zdziwiła się Eve. – Noreen? Zapamiętam to imię. Powiem, że jej mąż pomagał przy książce. Niech poszuka w niej twojego imienia.

„Twojego imienia”.

– Jak się czujesz? – wypalił Jim. Wydawało mu się, że o to zapytałaby zwyczajna osoba w zaistniałej sytuacji. Martwiłaby się samopoczuciem Eve. Współczułaby jej. Miałaby nadzieję, że po tym, co się wydarzyło, jest w stanie prowadzić normalne życie. – To znaczy... – Odchrząknął. – Jak się miewasz teraz.

Przez chwilę Eve wyglądała na zdezorientowaną.

– Ja... – Zanim odpowiedziała, ktoś poklepał ją po ramieniu. Pewnie pracownik księgarni. Powiedział coś o kolejce, a Eve skinęła głową i odparła, że zaraz przyjdzie. Potem znów odwróciła się do Jima. – Chyba jestem potrzebna. Lepiej wrócę na miejsce i zacznę podpisywać książki. Miło było cię poznać, Jim. I proszę, nie czuj się źle. Tylko żartowałam. Dziękuję, że wtedy mi pomogłeś. Doceniam to. Na pewno pochwalę cię przed Noreen. – Tym razem wyciągnęła rękę, ale nie po to, żeby ucisnąć dłoń Jima. Złapała go za lewy nadgarstek i spojrzała mu w oczy. – Dzięki za przybycie. Mam nadzieję, że się jeszcze spotkamy.

Głos w głowie Jima, ten drugi, który podpowiadał mu, że te wszystkie ryzykowne działania to dobry pomysł, tym razem kazał mu...

– A ja mam nadzieję, że go złapiesz.

...powiedzieć właśnie to.

– Dziękuję. – Eve szeroko się uśmiechnęła. – Trzymaj kciuki.

Odeszła. Ed też się pożegnał, a Jim słyszał narastający szum w głowie. Ruszył do wyjścia, torując sobie drogę pośród ludzi trzymających egzemplarze książki, przeszedł przez drzwi wahadłowe i wyszedł na zewnątrz, na ulicę, pod ciemne niebo, na bruk lśniący od deszczu. Mżawka moczyła mu twarz, gdy próbował wyrównać oddech i uspokoić bicie serca.

Ona wie.

Wie, że to on jest Mężczyzną bez twarzy.

Jakim cudem. To niemożliwe.

Ale przecież wyraźnie powiedziała, że jego imię jest w książce. Po co miałyby pisać o kimś, z kim rozmawiała kilka minut trzy lata temu?

I o co, do cholery, chodziło z tym połączeniem spraw. To też nie jest możliwe.

Musiał wrócić do domu i przeczytać resztę książki.

Drzwi za nim się otworzyły. Z księgarni wyszła Noreen.

– No – powiedziała. – Dzięki, że poczekałeś.

Jim wymamrotał, że w środku był za duży tłok.

Ruszyli wzdłuż ulicy. Noreen zapinała płaszcz.

– Dostałaś autograf? – zapytał Jim.

– Tak.

– Coś ci powiedziała?

– Kto?

– Autorka.

– Co masz na myśli?

Jim krzyczał w środku.

– Kiedy podeszłaś po autograf – odparł, przesadnie wyraźnie wypowiadając każde słowo

– co powiedziała ci autorka?

Czuł, że Noreen patrzy na niego, ale nie spojrzał na nią, tylko przyspieszył kroku, więc musiała iść szybciej, żeby za nim nadążyć.

– Zapytała mnie o imię i podziękowała za przyjście. Co jeszcze miałyby powiedzieć?

Katie.

Podpis był dla Katie. Dlatego Eve nie powiedziała nic więcej – czekała na kobietę o imieniu Noreen.

Podróż do domu minęła im niemal w całkowitej ciszy. Kiedy wsiedli do samochodu, poprosił tylko, żeby pokazała mu autograf. Noreen zmarszczyła brwi, ale podała mężowi książkę.

Jim otworzył ją na stronie tytułowej. Imię Katie i podpis Eve były nabazgrołone tym samym niestarannym pismem.

Noreen również przyglądała się autografowi.

– Będzie zachwycona – powiedziała.

Jim z całych sił powstrzymywał się, żeby nie wyrwać strony i nie porwać jej na strzępy.

Powiązanie

Chciałam natychmiast przystąpić do pracy nad książką, ale najpierw musiałam zdobyć tytuł magistra. Przez kilka miesięcy starałam się nie myśleć o Mężczyźnie bez twarzy, lecz przychodziło mi to z trudem. Pragnęłam wrócić do Cork i rozpocząć śledztwo. W dniu, w którym złożyłam pracę, ponownie spotkałam się z Bernadette i podpisałam kontrakt na książkę. Potem wróciłam do domu i spakowałam do walizki najpotrzebniejsze rzeczy, szykując się na długą podróż.

Ostatnią rzeczą, jaką zdołałam zaplanować, był obiad z Jo i Rhiannon, jedynymi przyjaciółkami, z którymi zdołałam utrzymać kontakt dłużej niż przez kilka miesięcy. Poznałyśmy się podczas Tygodnia Świeżaków⁴ na uniwersytecie w Galway, więc są dla mnie znajomymi z najdłuższym stażem, bez dwóch zdań. Co prawda, we trzy widzimy się mniej regularnie niż one we dwie, ale nie chciałam ich stracić. Od czasu publikacji artykułu czułam, że się oddalają. Obiad miał być świętowaniem sukcesu, ale Jo i Rhiannon nie do końca wiedziały, jak mają się zachowywać po moim coming outcie jako znana w całym kraju ocalała z ataku seryjnego mordercy. Tak naprawdę żadna z nas nie czuła się dobrze, wznosząc toast za fakt, że spędzę następny rok – co najmniej – odgrzebując najgorsze rzeczy, jakie przydarzyły się mojej rodzinie i czterem innym.

Kiedy się rozstawałyśmy, powiedziałam, że powinny wpaść do mnie na weekend do Cork. To było luźno rzucone zaproszenie.

– Gdzie się zatrzymasz? – zapytała Jo.

Moje wahanie wystarczyło jej za odpowiedź. Rhiannon odwróciła głowę, nie potrafiąc ukryć zniesmaczenia.

Nie wiedziałam, czy nasza przyjaźń przetrwa tę próbę. Co gorsza, w ogóle mnie to nie obchodziło. W tamtym momencie zrozumiałam, że chcę wrócić do minionych czasów, do Eda, Cork i najmroczniejszych odmetów sprawy. Wszystko inne było odwracaniem uwagi. Przez całe życie starałam się ukryć, kim jestem, a teraz pragnęłam być sobą.

Piękne. I zarazem przerażające.

Następnego ranka pojechałam do Cork.

Jedynym miejscem, jakie tam miałam, był mój dom rodzinny, a pisanie w nim książki wydawało się mi bluźnierstwem. Biuro Eda kompletnie się do tego nie nadawało, zresztą jako osoba cywilna nie mogłam wchodzić do komisariatu, kiedy miałam na to ochotę. Wrażliwy temat sprawiał, że potrzebowałam prywatności, więc kawiarnie i biblioteki również odpadały. Na szczęście na Eglinton Street znajdowała się przestrzeń co-workingowa, nie dalej niż pięć minut drogi spacerem od biura Eda. Wynajęłam najmniejszą dostępną przestrzeń w ofercie i postawiłam tam dwa biurka, regał oraz trzy zamykane szafki na akta. Powiesiłam ogromną białą tablicę i kupiłam niewielki ekspres do kawy. Zaciągnęłam żaluzje, więc mogliśmy bez obaw przyczepiać do tablicy wszystkie materiały. Poinformowałam zarządcę budynku, że pracujemy nad książką o polityce irlandzkiej i że sami będziemy sprzątać biuro.

W pierwszy czwartek listopada 2015 roku Ed zjawił się na miejscu, ciągnąc za sobą mały wózek z niebieskimi, plastikowymi pojemnikami. Oznaczono je pieczątką „An Garda Síochána” i zaklejono taśmą, żeby nie wzbudzać podejrzeń. To była pierwsza z ośmiu dostaw. Przełożony Eda zgodził się na przeprowadzkę, pod warunkiem że biuro będzie odpowiednio zabezpieczone, nie ujawnimy jego lokalizacji ani naszych działań nikomu, kto nie jest bezpośrednio zaangażowany w sprawę oraz że nie zmienimy więcej miejsca, chyba że wrócimy na Anglesea Street. Ed

zażartował, że szefostwo pewnie jest zadowolone, bo ma teraz więcej przestrzeni na stare komputery i kable.

Rozpakowywanie i porządkowanie akt zajęło nam wiele godzin. Ed powiesił na ścianie szczegółową mapę miasta i hrabstwa Cork i zakreślił czerwonym markerem najważniejsze miejsca. Ja postawiłam na swoim biurku ulubione zdjęcie rodzinne przedstawiające Bunię, moich rodziców, Annę i mnie podczas naszych ostatnich wakacjach w Clare w sierpniu 2001 roku. To również ostatnia fotografia, na której jest cała nasza piątka.

Razem z Edem ułożyliśmy luźny plan: damy sobie czas do lata, żeby dowiedzieć się jak najwięcej o Mężczyźnie bez twarzy. Sporządziliśmy listę rzeczy do sprawdzenia, ludzi do porozmawiania i miejsc do odwiedzenia. Większość z tych zadań spadła na mnie – Ed wciąż pracował na pełen etat i poświęcał na nie czas wolny. (Okazało się, że cały. Przez kolejne osiemnaście miesięcy). Potem, we wrześniu, zabiorę się na poważnie do pisania książki.

Następnego ranka obudziłam się w mojej prowizorycznej sypialni na długo przed budzikiem. Coś się zmieniło. Pomyślałam, że chodzi o dom, że ktoś wszedł do niego w nocy. Ale tak naprawdę chodziło o mnie. Ja się zmieniłam. Jakimś cudem czułam się lekka. Pełna energii. Prawie... podekscytowana? Tak, to było to. Byłam podekscytowana naszym wspólnym przedsięwzięciem, co w rezultacie sprawiło, że po chwili poczułam wstyd.

Ale nie mogłam zostać w łóżku. Nie mogłam nawet zostać w domu. Chciałam wziąć się do pracy. Po tym wszystkim, co się wydarzyło, musiałam. Zdażyłam pojeździć po ciemnych, opustoszałych ulicach miasta, posiedzieć przy biurku i wypić pół kubka kawy, zanim zadzwonił alarm.

Pierwszą rzeczą, którą się zajęliśmy, było przesłедzenie przebiegu sprawy, co wymagało przejrzenia wszystkich dokumentów – zeznań, raportów, map itd. – które powstały w trakcie pierwszego śledztwa, i przyjrzenia się temu świeżym okiem. Były dwa powody, które opóźniały nasze postępy: potrzebowałam Eda w kwestiach technicznych, a jego czas był ograniczony, i ogrom papierów. Na linię alarmową zadzwoniono ponad pięć tysięcy razy, co oznaczało pięć tysięcy jednostronicowych raportów, które należało przejrzeć. Moja dawna koleżanka ze studiów dorastała w Bostonie, gdzie jej ojciec pracował jako policjant. Miała zwyczaj głośno przeklinać, kiedy w jakimś serialu, książce albo filmie zbyt swobodnie traktowano policyjne postępowania.

– To nierealistyczne! – krzyczała. – Tak się nie dzieje.

Myślałam o niej wiele razy w ciągu następnych kilku miesięcy spędzonych w naszym małym biurze na Eglinton Street, ponieważ gdyby filmy czy seriale przedstawiały tylko rzeczywistość, to widzowie przed ekranem oglądaliby ślęczących wiele godzin nad papierami policjantów i byłoby to wyjątkowo nudne.

Zaczęliśmy tworzyć coś w rodzaju głównego pliku, w którym umieszczaliśmy najważniejsze według nas informacje. Dość szybko nauczyłam się od Eda, że wykluczanie dowodów jest równie ważne jak ich załączanie. Mimo to wahałam się za każdym razem, gdy musiałam podjąć decyzję, sparaliżowana myślą, że wyrzucę coś kluczowego dla rozwiązania sprawy. Czasem nie mogłam z tego powodu spać.

Naszym celem było znalezienie igły w stogu siana, która potencjalnie miałaby moc rozwalenia całego stogu: powiązanie między ofiarami Mężczyzny bez twarzy. Martwiłam się, że takie nie istnieje. Czy nie było możliwe, że zwyczajnie jeździł po okolicy wieczorem i wybierał ofiary losowo? Rodzina O’Sullivanów składała się z czworga dzieci i dwojga rodziców, mieszkających na obrzeżach Carrigaline, oddalonego o czternaście kilometrów od Cork. Christine Kieran mieszkała sama na południowo-zachodnich przedmieściach Cork. Linda O’Neill mieszkała w Fermoy, znajdującym się na północy hrabstwa, trzydzieści pięć kilometrów od Cork, i została zaatakowana, gdy jej męża nie było w domu. Jeśli chodzi o Westpark, Mężczyzna bez twarzy

wrócił do Cork, żeby dokonać napaści na parę mieszkającą na podmiejskim osiedlu, a potem pojechał dziesięć kilometrów za miasto, do Passage West, i napadł na moją rodzinę. Trzy domy były wolnostojące, a dwa pozostałe to bliźniak i szeregowiec z sąsiadami po obu stronach. Kobiety były w różnym wieku i nic ich nie łączyło, poza tym, że można je było uznać za atrakcyjne. W Westpark zginął również mężczyzna, a w moim domu mężczyzna, kobieta i dziecko.

Jednak Ed widział podobieństwa. Mimo pozornie rozproszonych lokalizacji, gdy naniósł się je na mapę – co zrobiliśmy – wszystkie znajdowały się w relatywnie niewielkim okręgu na południowym zachodzie hrabstwa Cork. Tylko Fermoy wyłamywało się z tego schematu. (Czyżby Mężczyzna bez twarzy mieszkał albo pracował w tym okręgu? Działał tam, ponieważ znał okolicę?). Płeć ofiar zdecydowanie stanowiła wspólny mianownik. Pierwszych trzech napaści dokonano na kobiety, a w żadnej ofiarą nie był tylko mężczyzna. I wreszcie aż rażące powiązanie, na które wcześniej nie zwróciłam uwagi, bo było tak oczywiste: wszystkie ofiary zaatakowano w ich domach. Morderca nie porywał ludzi z ulicy ani nie przewoził w inne miejsce. Dwie ofiary, w tym moja matka, nie opuściły nawet własnego łóżka.

Dzięki temu, że znalazłam nóż i linę, podobnie jak sąsiadka Christine, wiedzieliśmy, że Mężczyzna bez twarzy włamywał się do domów, zanim decydował się na atak, i to być może więcej niż raz. Rozmowy telefoniczne dowodziły, że morderca lubił drażnić i terroryzować swoje ofiary, a fakt, że znał numery telefonów, oznaczał, że zbierał informacje na ich temat. Znał nawet ich imiona. Na Bally's Lane wyszeptał do ucha Alice O'Sullivan imiona jej czwórki dzieci jako groźbę. Ed był przekonany, że Mężczyzna bez twarzy śledził ofiary tygodniami, może nawet miesiącami, zanim zdecydował się na atak. W przypadku Westpark odwiedził osiedle przed wprowadzeniem się pierwszych lokatorów, żeby poćwiczyć otwieranie zamków, wybijanie okien i poruszanie się w ciemności. Był skrupulatny, nigdy nie pozostawiał niczego na miejscach zbrodni oprócz traum, żalu i swojej ulubionej niebieskiej liny, z której nie dało się pobrać użytecznych próbek. Był widziany tylko raz. Dostrzegła go Claire Bardin, na drodze przed domem O'Sullivanów. Na podstawie jej zeznań stworzono portret pamięciowy, ale nikt nigdy go nie zidentyfikował.

To wszystko wiele nam mówiło o tym, kim był Mężczyzna bez twarzy, jak działał i co nim kierowało. To typ napastnika, który bada i obserwuje, który jest przygotowany. Czuł się lepszy i był przekonany, że jest mądrzejszy od swoich ofiar, a także od Gardaí. Wcześniejsze wizyty w domach sugerowały skłonności do oglądactwa – prawdopodobnie rozpoczął swoją przestępczą karierę jako podglądacz. Przy tych wszystkich spostrzeżeniach nie było najmniejszego sensu przypuszczać, że wybierał ofiary losowo. W jakiś sposób je znajdował. Musiał istnieć jakiś powód, ale ani pierwsze dochodzenie go nie znalazło, ani ja i Ed po dziesięciu miesiącach pracy nie zdołaliśmy go odkryć. Wróciliśmy do punktu wyjścia.

Nadszedł wrzesień 2016 roku. Niezależnie od tego, jak przebiegało lato w Irlandii, wiadomo było, że temperatura osiągnie swój szczyt. Zrobiliśmy sobie z Edem przerwę, co zdarzało się dość rzadko, i usiedliśmy w promieniach wieczornego słońca w barze przy Bachelor's Quay. Miejsce roilo się od pracowników biurowych w koszulkach z podwiniętymi rękawami, z gołymi stopami, odchylonych na krzesłach, z twarzami zwróconymi do słońca. Łatwo było zapomnieć, po co tu jesteśmy i czym się zajmujemy, a tamtego wieczora jakaś część mnie chciała się temu poddać.

Cała nasza praca zdawała się prowadzić donikąd. Przejrzeliśmy już wszystko i nie znaleźliśmy niczego nowego. W roztargnieniu odrywaliśmy etykiety z naszych butelek piwa i na zmianę powtarzaliśmy między łykami: „Musi być coś, o czym nie pomyśleliśmy”.

Wtedy coś przyszło mi do głowy. Nie znaleźliśmy nic nowego w aktach, ale przeglądaliśmy je, ponieważ powiedziałam, że wiele lat temu znalazłam nóż i linę pod poduszkami. Miałam

tę część układanki tuż pod ręką, a zwróciłam na nią uwagę dopiero teraz.

Może warto porozmawiać z innymi ocalałymi, którzy nieświadomie również pamiętają coś, co mogłoby nam pomóc?

Całe przedsięwzięcie nie było proste. Christine Kiernan przeżyła taką traumę po napaści Mężczyzny bez twarzy, że kilka tygodni później odebrała sobie życie. Linda O'Neill ponownie wyszła za mąż i wróciła do San Francisco – powiedziała Edowi przez telefon, że chociaż trzyma kciuki za nasze poszukiwania, nie ma najmniejszego zamiaru wracać wspomnieniami do tamtego okresu jej życia. Poprosiła, żebyśmy nie ujawniali jej nazwiska po nowym mężu, przeprosiła i rozłączyła się. Z ataku na Westpark nikt nie ocalał, więc pozostawała nam jedynie Alice O'Sullivan, pierwsza ofiara Mężczyzny bez twarzy, która, jak szybko odkryliśmy, nie mieszkała już na Bally's Lane. Po kilkunastu telefonach i wielu ślepych zaułkach w końcu namierzyliśmy jej numer w Malahide, w hrabstwie Dublin. Kiedy na niego zadzwoniliśmy, poinformowano nas, że Alice zmarła dwa lata temu na raka kości. Rozmawiałam z jej dwudziestosiedmioletnią córką Nancy.

Nancy była mężatką i miała dwójkę dzieci. Mieszkała w domu, do którego jej rodzina przeprowadziła się po wydarzeniach na Bally's Lane. Jej ojciec również zmarł, pięć lat temu na atak serca. Ale powiedziała, że przeprowadzka do Malahide pozwoliła rodzinie O'Sullivanów zapomnieć o wydarzeniach z tamtej nocy i ruszyć naprzód. Rodzice Nancy spędzili resztę życia szczęśliwie, spotykając się z rodziną, bawiąc się i podróżując za granicę. Nancy doskonale rozumiała moją potrzebę szukania sprawiedliwości i była zadowolona, że może pomóc, ale niewiele dodała do naszego śledztwa. W chwili ataku na jej matkę była w swojej sypialni, nieświadoma tego, co dzieje się w domu. Poza tym miała wtedy dziesięć lat i mało pamiętała. Powiedziała, żebym zadzwoniła do jej starszego brata Tommy'ego. Nie tylko prawdopodobnie pamiętał więcej, ale też rozmawiał z Mężczyzną bez twarzy przez telefon w noc sylwestrową w 1999 roku.

Tommy chętnie zgodził się na rozmowę z nami. Jako najstarsze dziecko O'Sullivanów bardziej odczuł następstwa ataku. Nancy nie kłamała, mówiąc, że rodzice prowadzili szczęśliwe życie, ale to była jej prawda, jej perspektywa, Tommy zaś, będąc starszy, widział to inaczej. Powiedział nam, że matka cierpiała na wyniszczającą depresję i co tydzień uczęszczała na sesję terapeutyczną dla osób mających zespół stresu pourazowego. Potem zdiagnozowano u niej raka. Mimo że Mężczyzna bez twarzy uczestniczył w ich życiu zaledwie godzinę, traumy nie dało się pozbyć. Już nigdy nie czuli się całkowicie bezpieczni. Dla matki był potworem bez twarzy, który do końca życia tkwił w zamarkach jej umysłu. Tommy był wściekły, że odpowiedzialny za to człowiek nie został złapany, a co dopiero ukarany. Z zadowoleniem przyjął wiadomość o książce i naszym śledztwie, ale obecnie mieszkał w Abu Dhabi. Za trzy miesiące wracał do domu na święta i dopiero wtedy moglibyśmy porozmawiać z nim osobiście, na czym nam zależało. Razem z Edem czuliśmy, że rozmowy telefoniczne i wideo czaty nie są tym samym, a na podróż nie mogliśmy sobie pozwolić. Zajęliśmy się innymi punktami z naszej niekończącej się listy i zdecydowaliśmy się czekać.

W połowie grudnia pojechaliśmy na lotnisko w Dublinie, żeby spotkać się z Tommym. Staliśmy w hali przylotów. Ludzie wychodzili zza rozsuwanych drzwi i wpadali w ramiona bliskich. Słyszeliśmy piski, widzieliśmy łzy, a nawet kilka tabliczek z napisem WITAJ W DOMU. Ja trzymałam tabliczkę z nazwiskiem mężczyzny, którego nigdy nie widziałam i czekałam, żeby porozmawiać z nim o mordercy, który zmienił bieg życia nam obojgu. Tak właśnie się czułam jako ofiara brutalnego ataku: wyglądałam normalnie, w porządku. Bez problemu wtapiałam się w tłum. Ale skrywałam sekret, który mnie odróżniał i sprawiał, że byłam tą inną. Życie ludzi wokół jest tak odmienne od mojego, że równie dobrze mogłoby być filmem science fiction. Nigdy nie będzie mi dane stać w hali przylotów i czekać na rodzinę, ponieważ całą straciłam.

A jeśli nawet jakimś cudem w przyszłości założę własną – chociaż biorąc pod uwagę kroki, które trzeba podjąć, aby tego dokonać, wydaje mi się to całkowicie niemożliwe – nie puszcę jej nigdzie beze mnie. Za bardzo będę się bała, bo nawet przebywając w domu, razem, nie jesteśmy do końca bezpieczni. Widziałam to na własne oczy.

Tommy O’Sullivan miał obecnie trzydzieści trzy lata i pracował jako inżynier dla firmy zajmującej się lotnictwem i kosmonautyką. Jego czarne włosy i broda były przyprószone siwizną. Miał na sobie džinsy i skórzaną listonoszkę przewieszoną przez ramię. Przyleciał z Abu Dhabi do Londynu, a potem z Londynu tutaj, ale bagaż zostawił w Anglii. Dostrzegłam obrączkę. Jego żona Amanda miała tam rodzinę i chciała spędzić z nią kilka dni, zanim dołączy do męża w domu Nancy w Malahide. Tommy był ciepły i otwarty, łatwo się z nim rozmawiało i chętnie poświęcił nam czas. Kilkakrotnie zapewnił, że nigdzie mu się nie spieszy. Znaleźliśmy wolny stolik w barze na półpiętrze i zamówiliśmy kawę. Zapytałam, czy mogę nagrywać naszą rozmowę, a Tommy się zgodził.

Powiedział, że długo czekał na ten dzień. Jakieś siedemnaście lat.

Gardaí przesłuchali Tommy’ego w domu, ale poświęcili mu tylko chwilę i to następnego ranka po ataku, gdy – jak to określił – wciąż był oszołomiony. Wiele miesięcy później, kiedy odcinek *Crimecall* sprawił, że Tommy połączył telefon w noc sylwestrową ze sprawą Mężczyzny bez twarzy, policjanci rozmawiali z nim ponownie, ale i tym razem nie poświęcili mu dużo czasu. Tommy był przekonany, że atak na jego rodzinę nie był przypadkowy, że stała się celem. Została „wybrana”, jak to określił. Nawet teraz, po tylu latach, dręczyły go pytania: dlaczego. Dlaczego oni? Dlaczego ten człowiek zrobił to, co zrobił? I dlaczego nigdy nie został złapany?

Tommy opowiedział nam o wydarzeniach z tamtej nocy, które dla niego zaczęły się nad ranem, po tym, jak Mężczyzna bez twarzy opuścił ich dom. O telefonie od ojca, chociaż było bardzo wcześnie i siedział w pokoju obok. O zamkniętych drzwiach do sypialni. O ojcu, który wyszedł na zewnątrz, a potem zawołał do Tommy’ego, żeby dzwonił po Gardaí. O widoku matki w koszuli nocnej, którą dostrzegł przez uchylone drzwi łazienki. O tym, że zobaczył ją dopiero później tego samego dnia, gdy wypisano ją ze szpitala, całą zabandażowaną. O reakcji Garda i natychmiastowym założeniu przez nich i ojca, że było to nieudane porwanie dla okupu.

– Jak to nieudane porwanie? – zwrócił się do nas, wyrzucając ręce w górę, wciąż sfrustrowany takim stwierdzeniem. – Poza tym porwanie dla okupu wymaga więcej ludzi i pojazdu. Gdzie to wszystko? Z tego, co wiemy, był tylko jeden facet i żadnego samochodu. Więc w którym momencie coś poszło nie tak? W żadnym, bo nigdy nie chodziło o porwanie. Jedynym powodem, który uzasadniałby porwanie był fakt, że mój ojciec pracował jako dyrektor banku. Popęłnił błąd, mówiąc o tym policji. A oni na to: „Ach, świetnie, no to zagadka rozwiązana. Porwanie dla okupu. Następni, proszę!”.

Potem wrócił do telefonu, który odebrał dwa tygodnie przed atakiem. Tego, który wziął za żart kolegów w noc sylwestrową. Opisał głos usłyszany w słuchawce i spróbował go zdemonstrować. Był szorstki, dziwny, nienaturalny. Teatralny szept. „Zagrajmy w grę”. Powiedział, że oglądając *Crimecall* – na który trafił podczas zmieniania kanałów – poczuł dreszcz, gdy zdał sobie sprawę, że rozmawiał z Mężczyzną bez twarzy.

Zapytałam go, czy kiedykolwiek znalazł coś dziwnego w domu, zwłaszcza w ciągu tygodni poprzedzających atak, i opowiedziałam mu o moim odkryciu, ale Tommy nie przypominał sobie podobnej sytuacji na Bally’s Lane.

Potem Ed wyjaśnił, dlaczego chcieliśmy spotkać się z nim i innymi ocalałymi. Naszym priorytetem było znalezienie powiązania między ludźmi, których zaatakował Mężczyzna bez twarzy. Coś musiało ich łączyć, ale nie wiedzieliśmy dokładnie co.

Niestety, byłam tylko ja i Tommy, dwoje najstarszych dzieci z dwóch rodzin zaatakowa-

nych przez mordercę, które mieszkały zaledwie kilka kilometrów od siebie. Może gdybyśmy podzielili się tym, co pamiętamy z tamtych czasów, natrafilibyśmy na punkt wspólny. To było jak przewrotna gra i czekało nas dużo pracy, ale też to było wszystko, co mieliśmy.

Zaczęliśmy od kwestii podstawowych: szkoła, nauczyciele, znajomi, krewni, kluby i inne aktywności. Następnie poszliśmy dalej. Rozmawialiśmy o restauracjach, do których chodziliśmy, kinach, w których bywaliśmy, i odwiedzanych przez nas centrach handlowych. Gdzie nasze matki robiły wielkie weekendowe zakupy? Gdzie jeździliśmy na wakacje? Gdzie chodziliśmy, gdy dopisywała pogoda, a gdzie, gdy była paskudna? Linie autobusowe, fryzjerzy, szpitale. Rzeźby zamawiane do domu. Pamięć Tommy'ego wydawała się znacznie lepsza od mojej, ale przecież był wtedy ode mnie starszy. Pamiętał, do jakiej biblioteki chodziła jego rodzina, nazwisko nauczyciela gry na pianinie, który uczył dwójkę jego młodszego rodzeństwa, i gdzie znajdował się ulubiony sklep ogrodniczy jego matki. A nawet, co zamawiał w kawiarni, gdy mama brała go ze sobą. Niestety, nie znaleźliśmy wspólnych punktów.

Tommy był cztery lata starszy ode mnie, kiedy w jego domu pojawił się Mężczyzna bez twarzy. Prowadził już życie poza domem rodzinnym. Spędzał dużo czasu ze znajomymi. To poszerzało jego świat. A do tego jego rodzina była znacznie bardziej aktywna: wybierali się na przejażdżki w niedzielne popołudnia, wyjeżdżali na wakacje i chodzili na plażę, żeby popływać w morzu, gdy dopisywała pogoda. Aktywność mojej rodziny ograniczała się do wpadania do Buni na lunch albo chwili zabawy na dworze. Kiedy mama miała coś do załatwienia, podrzucała nas do babci i odbierała w drodze powrotnej. Tak było lepiej dla wszystkich. W weekendy zdarzało mi się odwiedzać kolegów z klasy, ale nie miałam zbyt wielu aktywności poza szkołą, Anna zaś była na to za mała. Tommy urodził się w licznej rodzinie, podczas gdy moi rodzice byli jedyńkami, a z dziadków pozostała nam tylko Bunia. Zatem nasze światy znajdowały się w dwóch różnych okręgach diagramu Venna, w którym jego był o kilka rozmiarów większy i nie istniał żaden zbiór wspólny.

Chwytałyśmy się wszystkiego, ale w końcu rozmowa się urwała. Tommy był wyraźnie wyczerpany, chociaż cały czas zapewniał nas, że może zostać dłużej. Zależało mu na znalezieniu punktu wspólnego. Zamówiliśmy więcej kawy.

Ten fragment nagrania pełen jest ciszy, przerywanej stukaniem łyżeczek o ceramiczne filiżanki.

Wreszcie odezwał się Ed, który do tej pory milczał.

– A może to on przyszedł do was – powiedział. – Może nie był to ktoś, kogo spotkaliście poza domem. Pamiętasz, żeby jacyś ludzie dzwoniли do was w tamtym czasie? Nieznajomi albo nowi znajomi rodziców, których później już nie widywaliście? Może sprzedawcy, ludzie z organizacji charytatywnych, robotnicy, tego typu osoby?

Staralam się sobie przypomnieć kogoś takiego, kiedy Tommy powiedział bardzo cicho:

– Był taki jeden funkcjonariusz.

Ed natychmiast stał się czujny.

– Funkcjonariusz? Przed napaścią?

Tommy skinął głową.

– Tak. Kilka miesięcy wcześniej.

Oto, co zapamiętał.

Pewnego wieczoru, gdy dopiero się ściemniało, rozległ się dźwięk dzwonka do drzwi. Tommy oglądał telewizję w salonie, a jego mama prasowała mundurki szkolne. Ubrania były nowe, dopiero co wyjęte z plastikowych opakowań; mama tylko rozprasowywała zagniecenia. To oznaczało, że wszystko wydarzyło się na początku roku szkolnego, czyli we wrześniu 1999 roku.

Ze swojego miejsca na kanapie Tommy widział fragment drzwi wejściowych. Kiedy jego

matka je otworzyła, zobaczył prawe ramię i bark człowieka ubranego w mundur Garda. Zaciekawiony wyciszył telewizor, żeby podsłuchać rozmowę. Usłyszał męski głos, mówiący coś o włamaniach w okolicy. Gardaí chodzili od domu do domu, ostrzegali mieszkańców i zachęcali do zwiększania środków bezpieczeństwa. W pewnym momencie do rozmowy dołączył ojciec Tommy'ego.

– I zapamiętałem to tylko dlatego – powiedział Tommy – że moja matka odwróciła się do niego i powiedziała coś w stylu: „Mówiłam ci, że trzeba naprawić drzwi do ciepłarni”. Przy funkcjonariuszu. Od dłuższego czasu mówiła o tych cholernych drzwiach, a ojciec ciągle zapewniał ją, że kogoś wezwie, ale nigdy do tego nie doszło... Kilka miesięcy później Mężczyzna bez twarzy włamał się przez nie do naszego domu, a ja przeklinam fakt, że nic z nimi nie zrobili, nawet po wizycie funkcjonariusza i ostrzeżeniu o włamaniach w okolicy. Teraz, gdy o tym myślę...

– Tommy zrobił krótką pauzę. – Może ten mężczyzna tylko podszywał się pod policjanta.

– Widziałeś radiowóz? – zapytał Ed.

Tommy odpowiedział, że nie widział ani nie słyszał żadnego samochodu.

– Pamiętasz, do którego domu się włamano?

– Nie.

– Możesz opisać tego mężczyznę? Widziałeś jego twarz?

– Niestety nie. Chyba był tego samego wzrostu co mój tata, ale to wszystko.

Minęło kilka sekund pełnego rozczarowania.

W końcu wzięłam głęboki oddech.

– Wydaje mi się, że jakiś funkcjonariusz pojawił się również w naszym domu – powiedziałam. – Chyba.

Obaj spojrzeli na mnie z taką intensywnością, że natychmiast pożałowałam wypowiedzianych przed chwilą słów, bo wspomnienie było bardzo niejasne.

Dzwonek do drzwi po zmroku, brzmiący dziwnie i natarczywie o tej porze dnia. Zostawiłam pracę domową i stanęłam na szczycie schodów, żeby przyjrzeć się temu niecodziennemu wydarzeniu. Wiedziałam, że nie mogę otworzyć drzwi sama. Pamiętam włączone światło w korytarzu. Wydłużony cień. Mężczyznę mówiącego słowa, których nie rozumiałam, a potem moją matkę, która wypowiedziała coś w stylu: „O mój Boże, kto? Ross? Collette?” – czyli imiona mojego ojca i mojej babki, których rzadko używała. Niewidzialny mężczyzna coś jeszcze dodał, a z ust mamy wydobył się odgłos ulgi. Potem powiedziała coś o niezamykaniu drzwi.

– To wszystko, co pamiętam – oznajmiłam. – Nie wiem, kiedy wydarzyła się ta sytuacja, ale to mógł być policjant, prawda? Mama myślała, że przyszedł przekazać wiadomość o czyjejs śmierci, że był wypadek. Ale on tylko prawdopodobnie informował ją o włamaniach. Prawda? To mogło być to? – Żaden z obu mężczyzn mi nie odpowiedział, a ja oblałam się rumieńcem. – Wiem, wiem, że to niewiele. Nie jestem nawet do końca pewna, czy mi się to nie przyśniło. Nieważne.

Ed spojrzął na Tommy'ego.

Tommy spojrzął na Eda.

– Mamy to – powiedział Ed.

Słowa pływały przed oczami Jima. Zamknął książkę i pozwolił spaść jej na swoje kolana. Trzęsły mu się ręce.

Zatem wiedzieli. To znaczy wiedzieli i nie wiedzieli. Zebrali kawałki układanki i tylko kwestią czasu było, kiedy złożą ją w całość. Trudno stwierdzić, ile mu zostało, ale zegar tykał.

Teraz to wiedział.

Czuł.

Siedział w salonie i czytał egzemplarz *Mężczyzny bez twarzy*, należący do Katie. Noreen poszła spać kilka godzin temu, wkrótce po tym, jak wrócili ze spotkania autorskiego, mamrocząc coś o bólu głowy. Szukała tabletek przeciwbólowych, które zażywała, ponieważ ich skutkiem ubocznym był głębszy sen. Jim zastanawiał się nad pójściem do szopy, ale było w niej zimno, a egzemplarz należący do córki mógł czytać tutaj, gdzie panowała przyjemna temperatura i stał wygodny fotel.

Nawet gdyby Noreen zeszła na dół, w co wątpił, nie miałby z czego się tłumaczyć. Powiedziałyby, że tylko przegląda książkę. Że zna Eda. Że przypadkowo poznał Eve Black, siedząc na zmianie w komisariacie w Togher, gdy szukała materiałów do książki.

Gdy szukała jego.

Może na razie go nie odnalazła, ale już odnalazła ścieżkę, która do niego prowadziła.

Odłożył książkę i ruszył do barku z alkoholem. Coś, czego prawie nigdy nie robił. Ale dzisiaj potrzebował wytchnienia, wyciszenia umysłu, żeby lepiej zebrać myśli.

Wybrał zakurzoną, do połowy opróżnioną butelkę whisky i nalał odpowiednią, jak mu się wydawało, ilość trunku do szklanki wypełnionej po brzegi lodem. Potem ponownie zasiadł w fotelu i postawił szklankę na stoliku. Przez moment patrzył na spływające ze szkła kropelki wody. Lód powoli się topił.

W końcu wziął niewielki łyk i skrzywił się, czując smak alkoholu, i znowu, kiedy trunek spłynął niżej i rozpalil gardło oraz klatkę piersiową.

Sięgnął po książkę, ale jej nie otworzył. Przesunął tylko dłonią po zakurzonej obwolucie, jak to robił wcześniej, i czego nie był w stanie zrobić, odkąd wyrzucił obwolutę od własnego egzemplarza z powodu środków ostrożności.

Teraz nie musiał zachowywać się tak ostrożnie.

Litery były wypukłe, gładkie i błyszczące. Czuł je pod palcami.

Mężczyzna bez twarzy.

Wyłaniający się z cienia po tych wszystkich latach.

A może bardziej wyciągany.

Ale tylko jeśli na to pozwoli.

Wszystko przez przypadkowy komentarz rzucony przez Tommy'ego O'Sullivan. Nastolatka w tamtych czasach. Jeszcze jeden! On i Eve, w zмовie.

Cała ciężka praca Jima, środki ostrożności, zdobyte umiejętności, staranne planowanie, cały jego geniusz – wszystko na marne przez dwójkę przerośniętych dzieciaków.

Kurewsko irtujące.

Pomysł wpadł mu do głowy w czerwcu 1990 roku.

Był wtedy nowy w komisariacie w Mallow. Przeniesiono go z Millstreet, gdzie spędził trzy lata – pierwszy przydział po ukończeniu akademii – po sytuacji, która zaszła między nim a tamtejszym komendantem. Jim rzucił z wściekłości kubkiem o ścianę, ale trafił chciał, że stał przy niej komendant, a kubek był wypełniony gorącą herbatą. Wszystko przez to, że wcześniej pojechał na miejsce zdarzenia, gdzie siedmioletni chłopiec wypadł przez przednią szybę samochodu, przeleciał prawie osiem metrów przez drogę i został przejechany przez ciężarówkę jadącą w przeciwnym kierunku. Ciało chłopczyka trzeba było praktycznie zeszkrobywać z jezdni. Po zajęciu Jim powiedział przełożonym, że nie potrafi poradzić sobie z tym, co zobaczył i uronił kilka łez, żeby dodać swoim słowom wiarygodności. To przedstawienie sprawiło, że dostał przeniesienie do Mallow. Jednak prawda była taka, że miał już dość bycia traktowanym jak idiota przez idiotów i tamtego dnia w końcu wybuchł.

Poza komisariatem zdobywał szacunek, na jaki zasługiwał. Mundur robił różnicę i separował go od tępaków, pomyleńców i innych idiotów, którzy jeździli za szybko, pod wpływem alkoholu albo wychodzili z pubów późną nocą i dawali sobie po mordach tylko dlatego, że spojrzeli na siebie w niewłaściwy sposób. Za każdym razem, kiedy szedł ulicą z kciukami wsuniętymi za kamizelkę kuloodporną, z ciężkim pasem na biodrach, obładowanym ekwipunkiem, czuł się lepszemu. Wyższy. Silniejszy. Doskonale wiedział, że ludzie zdają sobie sprawę z jego obecności, chociaż udają, że wcale tak nie jest, i zastanawiają się nad przejściem na czerwonym świetle, zaparkowaniem na miejscu dla niepełnosprawnych czy rzuceniem śmieci na chodnik. Drobiazgi, owszem, ale chodziło o to, że go dostrzegają.

Widzą.

Podświadomie okazują mu szacunek.

Zawsze, gdy udawał się na miejsce zdarzenia, przesłuchiwał świadków lub zakuwał kogoś w kajdanki i wsadzał na tylne siedzenie radiowozu, czuł to samo, ale intensywniej, jakby dudnił mu w klatce piersiowej ciężki bas. Miał wrażenie, że wszystkie wydarzenia w życiu doprowadziły go właśnie do tego miejsca, do tego punktu, do tej pracy. Robił to, do czego został stworzony.

W komisariacie sprawy przedstawiały się inaczej. Był nic nieznaczącym trybikiem w maszynie. Tematem żartów. Nikt go nie szanował. Nikt go nawet nie lubił, ale Jim miał to głęboko w dupie. Tolerowali go, chociaż podejrzewał, że obgadywali za plecami. Jeden z funkcjonariuszy miał kumpla w komisariacie przy Millstreet, który opowiedział wszystkim o tym, jak Jim stracił panowanie nad sobą po zobaczeniu ciała chłopca, który zginął w wypadku samochodowym. Potem kilku żartownisiów, wracając z akcji, udawało, że płacze, prosiło o herbatę i pytało, gdzie jest komendant.

Wszystko dlatego, że był od nich lepszy, i oni doskonale o tym wiedzieli. I nie mogli tego znieść.

Nawet tego dnia, w którym wszystko się zaczęło, kiedy przyszło zgłoszenie z Meadowbrook, a Jimowi i Davidowi Twomeyowi polecono poinformować o włamaniach mieszkańców okolicy, Jim zauważył niezadowoloną minę partnera. Jechali na miejsce zdarzenia w kompletnej ciszy pewnie dlatego, że David był fatalnym kierowcą i Jim nie chciał go rozpraszać rozmową.

Oto, co się stało: noc wcześniej, na rozległym osiedlu niedrogich bliźniaków o nazwie Meadowbrook, ktoś włamał się do trzech domów, podczas gdy ich mieszkańcy spali. Złodzieje ukradli sprzęt elektroniczny, gotówkę oraz biżuterię. Domy, które obrali za cel, były rozproszone po całym osiedlu, ale działali szybko, włamując się, zanim ktokolwiek się zorientował. Starannie zaplanowana akcja. W noc włamań i w poprzedzających je tygodniach kilka osób widziało w okolicy białą furgonetkę. Jim i David Twomey mieli za zadanie dowiedzieć się od mieszkań-

ców, czy ktoś jeszcze ją zauważył.

Mogli zająć się tym we dwóch – na miejscu pojawiło się już wielu innych funkcjonariuszy – ale kiedy spotkali się z dowódcą oddziału, David zaproponował inne rozwiązanie: rozdzielił się i w tym samym czasie odwiedzą dwa razy tyle domów. Oczywiście miał rację, ale Jim wiedział, że chodziło o coś innego. David chciał się od niego uwolnić. I dobrze, bo Jim również nie miał ochoty spędzać czasu z tą kupą gówna.

Podzielili długi rząd domów na dwie części i każdy zajął się swoją połową. Wizyty w pierwszych czterech domach odbyły się zgodnie ze standardową procedurą. Zetknął się z typową nadgorliwością i chęcią pomocy Gardaí. Ludzie rozgadywali się, stojąc w progu, albo zapraszali go do środka. Musiał czekać, aż odtworzą w głowie swoje monotonne dni w poszukiwaniu czegokolwiek, co pomoże mężczyźnie w mundurze. Chcieli się przypodobać, zaimponować mu. Udowodnić, że również są ważni, ale żaden z nich nie był w stanie przekazać coś istotnego.

A potem, w piątym domu, trafił na Albę.

Otworzyła mu rozkojarzona, oszołomiona, gotowa na powrót do środka, skąd dochodziły piski.

Miała ciemne oczy i potargane, ciasno skręcone włosy.

Kiedy zobaczyła mundur, jej mina uległa zmianie. Zrobiła krok w przód, w stronę światła...

I Jim zobaczył Jean.

Oczywiście, to nie była prawdziwa Jean. Nie mogła być. Prawdę mówiąc, ta kobieta nawet jej nie przypominała. Ale miała podobną aurę. Gdzieś głęboko w jego wnętrzu otworzyły się drzwi. Aż do tej chwili myślał, że tylko Jean ma do nich klucz.

Jean była jego nianią. Odkąd miał siedem lat aż do ukończenia przez niego czternastego roku życia przychodziła w co drugą sobotę, żeby się nim opiekować, gdy ciotka Agnes wychodziła na miasto z którymś ze swoich młodych kochanków, na którego akurat miała ochotę w danym tygodniu. Jean była super. Grała z nim w skomplikowane gry, przynosiła śmieszne filmy do wspólnego oglądania i robiła kanapki z zapiekany serem i z miodem, który, jak mówiła, był jej sekretnym składnikiem. Była jasnym światłem we wszechobecnej ciemności i po każdej wizycie Jim odliczał dni do kolejnej.

Gdzieś między nimi oboje dorastali. Jean zawsze wydawała się o wiele starsza od Jima, ale z upływem lat zaczął myśleć, że dzięki jakiejś magii może ją dogodni. Z czasem Jean zdjęła aparat, zmieniła fryzurę i wkładała ubrania, które sprawiały, że wyglądała inaczej. A potem stała się inna. A Jim – Jimmy, jak go nazywała – dostrzegał to i czuł coś więcej niż zwykle wyczekiwanie na kolejną sobotę. Z tego powodu zachowywał się inaczej, kiedy w końcu się pojawiała. W ich wspólne sobotnie wieczory wkradło się nieobecne wcześniej, niebezpieczne napięcie – przynajmniej z jego strony.

Jim pragnął Jean. Jedynym ukojeniem było zamykanie oczu i myślenie o niej. W jego wyobraźni zawsze byli razem. W swoich fantazjach mógł dotknąć jej blad różowej skóry, przesunąć dłoń do miseczek stanika, a później pod nie, podczas gdy Jean zamykała oczy i jęczała. Następne kroki były niewyraźne i dość niejasne, ale po wszystkim wyobrażał sobie, że leżą w łóżku, a ona wtula głowę w jego szyję. Czasem o tym śnił i budził się sam, zlany potem i na wilgotnym, lepkiem prześcieradle.

Pewnego wieczoru ostatniego lata ich znajomości Jean przygotowywała pizzę w kuchni i nagle wyciągnęła się, żeby zdjąć bluzkę, podciągając przy tym koszulkę i odsłaniając bladą skórę, zarysowaną talię i fragment niebieskiego ramiączka stanika. Coś w tym ruchu, powolność, celowość, jakaś gra, sprawiło, że Jim uznał, że to przedstawienie przeznaczone jest dla niego.

Pomyślał, że wysłał mu wiadomość. Daje do zrozumienia, że czuje to samo co on.

Ale to nie była prawda. Flirciara. Gdy Jim chwycił ją w taki sposób, w jaki mężczyźni chwyтали kobiety w filmach, Jean się cofnęła.

Potem się wściekła.

A na koniec wybuchła śmiechem.

Zgięła się w pół, a do jej oczu napłynęły łzy. Śmiała się tak długo, dopóki po kuchni rozszedł się zapach spalonego ciasta i musiała podbiec do piekarnika, z którego wydobywał się dym. Śmiała się, a każda komórka w ciele Jima płonęła ze wstydu. Śmiała się nawet wtedy, gdy Jim odwrócił się, ruszył na górę do swojej sypialni i walił pięściami w ścianę, aż zdrętwiały mu dłonie, na knykciach pojawiły się otarcia, a na tapecie czerwone smugi.

Po tamtym wieczorze Jean już nigdy nie wróciła. Nie pojawiła się też żadna inna niania. Agnes nazwała go „małym zbokiem” i stwierdziła, że jest na tyle duży, że może zostawać w domu sam. Przynajmniej do północy, kiedy to wracała ze swoim aktualnym kochaniem. Wtedy odsyłała Jima do łóżka, a oni zostawali w salonie. Za pierwszym razem usłyszał dziwne dźwięki i zszedł na dół, żeby sprawdzić, co się dzieje. Pomyślał, że może mężczyzna nie jest zbyt miły i Agnes potrzebuje pomocy. Gdyby ją uratował, w jakimś stopniu zmyłby niesmak powstały po sytuacji z Jean. Ale ciotka nie była w opałach. Z tego, co zobaczył przez otwarte drzwi salonu, Agnes była zadowolona z tego, co robił mężczyzna. A po kilku minutach ukrywania się w cieniu Jim zdał sobie sprawę, że podoba mu się to, co widzi.

Od lat nie myślał o Jean. Była starsza, więc teraz na pewno jest pomarszczona, zaniebana i spasiona po urodzeniu dzieci, jak one wszystkie. W progu domu w Meadowbrook stała przed nim Alba. Miała siedemnaście lub osiemnaście lat i mówiła z silnym hiszpańskim akcentem. Nie była członkiem rodziny, przebywała w domu jako au pair. Nie widziała białej furgonetki, ale może właściciele widzieli. Matka i ojciec dzieci wrócą do domu późnym wieczorem. Koszulka, której dekolt był głęboko wycięty, nie sięgała do dżinsów. Odkryta skóra na brzuchu była gładka i mocno opalona. Jim pragnął jej dotknąć. Pragnął jej w taki sam sposób, w jaki kiedyś pragnął Jean.

Ale nie miał już czternastu lat. Dziewczyna była od niego dużo młodsza.

Poza tym przyszedł tu jako umundurowany funkcjonariusz.

Nie wyśmiałyby go. Nie odważyłaby się.

Tego samego wieczoru, po kolacji, Jim oznajmił Noreen, że musi wrócić na godzinę do komisariatu. Spakował do torby mundur i przebrał się w niego na poboczu drogi z Cork do Dublina. Potem pojechał do Meadowbrook. Zaparkował na zawrotce na tyłach osiedla i ruszył w stronę domu Alby, nie zdejmując czapki, dopóki nie stanął przed drzwiami.

Nie przemyślał tej akcji. Teraz, gdy jej pracodawcy wrócili do domu, nie było potrzeby, żeby to ona je otworzyła. Właścicielami było miłe, elokwentne małżeństwo trzydziestolatków pracujące w mieście. Jim zapytał ich o białą furgonetkę i podejrzane osoby, ale nic nie widzieli.

– Rzadko bywamy w domu – oznajmił mężczyzna. – Niestety. Rozmawiał już pan z Albą, prawda?

Jim skinął głową.

– Jest u państwa – udał, że zerka w notatki – jako au pair?

Para przytaknęła z entuzjazmem i przez następne kilkadziesiąt sekund rozwodziła się na temat tego, jaka to wspaniała dziewczyna, jak to by sobie bez niej nie poradziła i wyraziła nadzieję, że zostanie z nimi na dłużej niż poprzednia. Powiedzieli mu, ile ma lat (dziewiętnaście), skąd pochodzi (Girona, Hiszpania) i kiedy ma wolne (połowa soboty, jeśli mogą urwać się z pracy i całą niedzielą). Zdradzili też, że ponieważ jedynym wolnym pokojem była mała sypialnia na górze, przekształcili garaż w prowizoryczną kawalerkę i właśnie tam mieszka Alba. Wciąż

była to dość niewielka przestrzeń i dziewczyna pewnie z niecierpliwością wyczekiwała przyszłego tygodnia, kiedy oni z dwójką dzieci pojedą do Londynu, żeby odwiedzić rodzinę męczyzny, i Alba będzie miała dom dla siebie. Cóż, dodali, nie do końca dla siebie: jej siostra przylatuje z Girony na kilka dni.

Ludzie, pomyślał Jim w drodze do domu, potrafią być kurewsko głupi.

W następnym tygodniu trzykrotnie pojawiał się na osiedlu i obserwował Albę oraz jej siostrę, kryjąc się w ciemnościach przed domem. Za trzecim razem włamał się do środka, kiedy obie spały, pokręcił się po kuchni, zabrał kilka rzeczy z kosza na pranie i stał w progu otwartych drzwi do pokoju, w którym spała Alba. Patrzył, jak przewraca się na drugi bok, zarzucając gołą nogę na koc. Potem wstała, żeby pójść do łazienki, i przeszła tuż obok niego, ukrytego we wnęcie w korytarzu. Nie miała pojęcia, że Jim tam jest.

Tamtej nocy znowu poczuł, że żyje. Nie obchodziło go, jak źle mijają mu dni, skoro mogły go czekać takie noce. Wszystko, co działo się w innych obszarach swojego życia – czekająca w domu rozlazła i spasiona Noreen, gówno, którym obrzucali go inni funkcjonariusze, rozpasanie ciotki Agnes, które widział każdej nocy, kiedy zamykał oczy – po prostu się rozplynęło. W tamtej chwili pomyślał, że właśnie tak ludzie uczą się żyć w społeczeństwie. Poruszać się w nim z uśmiechem na ustach, przyjmując gówno dnia codziennego. Znajdują sobie odskocznię, remedium, antidotum. Nie mogło istnieć inne wytłumaczenie.

A teraz i on znalazł swoje lekarstwo.

Niestety, Meadowbrook było w tym przypadku spalone. Rankiem po ostatniej wizycie u Alby przyszedł do pracy i dowiedział się, że jeden z sąsiadów zgłosił grasującego na osiedlu włamywacza. Jim miał szczęście, że nie napotkał radiowozu z dwoma funkcjonariuszami, którzy pojawili się na miejscu.

Musiał znaleźć inne miejsce.

A potem kolejne.

Potrzebował planu.

Pewnej nocy powiedział Noreen, że jedzie na obserwację i udał się na nowo powstałe osiedle, piętnaście minut drogi samochodem od miasta. Zaparkował na poboczu, przebrał się w mundur i zaczął pukać do drzwi.

Kiedy mieszkańcy mu otwierali, natychmiast pokazywał im odznakę. Do przezroczystej kieszonki wsunął nową legitymację policyjną ze swoim zdjęciem, ale z innym nazwiskiem. Wcześniej ją skserował, ręcznie zmienił dane i ponownie skserował. Była to marna podróbka z wyblakłym tuszem, która nie przeszłaby przy dokładniejszym przyglądaniu się, ale podczas szybkiego rzutu okiem w progu domu, po zmroku, zasłonięta częściowo przez jego palce, sprawdzała się doskonale.

– Przepraszam, że państwa niepokoję, ale dostaliśmy zgłoszenie o włamaniu w okolicy i sprawdzamy, czy mieszkańcy zauważyli coś dziwnego w ciągu ostatnich tygodni lub nawet miesięcy. Podejrzenie wyglądające pojazdy, tego typu rzeczy...

Jedno od razu rzucało się w oczy: natłok pytań. Sprawa ciekawiła mieszkańców, ponieważ słyszeli o niej po raz pierwszy. Byli zszokowani, zaniepokojeni i domagali się więcej szczegółów. Jim przebrnął przez pierwsze dwa domy, ale w trzecim natrafił na przewodniczącego rady mieszkańców. Następnego dnia mężczyzna zadzwonił na komisariat z pytaniem o rzekomy incydent. Jim miał szczęście: to on odebrał telefon. Ale nie mógł już ryzykować, że podobna sytuacja się powtórzy.

Uświadomił sobie, że bezpieczniej będzie działać na widoku. Rozglądał się za małymi osiedlowymi incydentami – włamanie, kradzieże, wandalizm. Czasem wymagało to jeżdżenia od domu do domu, czasem nie. Czekał tydzień lub dwa, aż śledztwo się zawiąże lub przejdzie bez

rozgłosu i dopiero wtedy pojawiał się w danej okolicy z fałszywą legitymacją i mundurem na tylnym siedzeniu samochodu. Włamania, przed którymi ostrzegał, wydarzyły się naprawdę, ale przy okazji realizował trzy cele: oceniał mieszkańców, przypatrywał się domom i zbierał informacje.

Dla siebie.

Stawał się coraz śmielszy. Nocami wracał do domów, które przypadły mu do gustu. Czasem obserwował je z zewnątrz, czasem wchodził do środka. Zdarzało się też, że patrzył na śpiące kobiety, stojąc zaledwie kilkanaście centymetrów od ich łóżek. W jednym z domów stał pod prysznicem z zaciągniętą zasłoną, podczas gdy mieszkająca w nim kobieta malowała się nad umywalką.

Niestety, z czasem do jego życia ponownie wkradły się te same uczucia co kiedyś: frustracja, wściekłość, wstyd. Do tej pory nocne wypadki stanowiły antidotum na ból istnienia, ale życie ponownie rzucało mu kłody pod nogi. Noreen złamała rękę. W pracy wydarzył się kolejny incydent. Tym razem Jima przeniesiono do Cork, do komisariatu w Togher, gdzie miał tylko siedzieć za biurkiem.

Potrzebował czegoś nowego. Czegoś mocniejszego.

Wspólny mianownik

Włamanie. Po prawie dwudziestu latach wydawało się, że w końcu znaleźliśmy wspólny mianownik, dzięki któremu śledztwo w sprawie Mężczyzny bez twarzy ruszy do przodu.

Musieliśmy tylko upewnić się, że Tommy i ja dobrze pamiętamy wydarzenia, a potem ustalić, czy to samo wydarzyło się w trzech innych domach. Gdyby nam się to udało, to naszym kolejnym krokiem będzie dokładniejsza weryfikacja. Czy ten mężczyzna był prawdziwym funkcjonariuszem? Czy rzeczywiście w okolicy doszło do włamań? Jak to wszystko się ze sobą łączyło?

Ed szybko ustalił, że we wrześniu 1999 roku w pobliżu domu rodzinnego Tommy'ego na Bally's Lane rzeczywiście zgłoszono włamanie. Piątego września w godzinach popołudniowych ktoś włamał się do pewnej nieruchomości podczas pogrzebu jej właściciela w podeszłym wieku. Skradziono liczne antyki warte tysiące funtów i prawdopodobnie przewieziono je furgonetką z nazwą nieistniejącej firmy przeprowadzkowej, którą zauważono w okolicy. Kradzież trafiła na nagłówki gazet, a syn zmarłego mężczyzny podczas rozmowy z dziennikarzem w lokalnej stacji radiowej drżącym głosem błagał o pomoc w odnalezieniu przedmiotów, które jego ojciec zbierał przez całe życie.

Garda nazywali tego typu przestępstwa kradzieżą na zamówienie. Ktokolwiek włamał się do domu, doskonale wiedział, co znajduje się w środku i gdzie spieniężyć towar. Żeby rozwiązać sprawę, policjanci musieli współpracować z handlarzami antykami. Jeśli ktoś próbował sprzedać jeden lub więcej przedmiotów, handlarze powiadamiali Gardaí, którzy sprawdzali historię sprzedaży towaru, od sprzedawcy do sprzedawcy, dopóki nie dotarli do pierwszych złodziei. Dlatego bezsensowne było, żeby ktoś zaangażowany w śledztwo dzwonił po domach i ostrzegał przed włamaniami. Jeśli domownicy nie byli właścicielami wielkiej kolekcji antyków i akurat nie zostawiali jej bez opieki, podczas gdy cała rodzina udawała się na pogrzeb, nie istniało ryzyko, że spotka ich taki los – toteż Garda nie podjęła się działań. W aktach nie było żadnej informacji, że wysłano funkcjonariuszy do innych domów niż te sąsiadujące z celem ataku, których mieszkańcy złożyli zeznania w kilka godzin po kradzieży.

Nie było również informacji, żeby Christine Kiernan odwiedził policjant podczas kilku tygodni poprzedzających atak. Z delikatnej rozmowy z jej rodzicami wynikało też, że córka nie wspominała o podobnej sytuacji. Ale w tamtym czasie wśród sąsiadów pojawił się pomysł zainstalowania bramy wjazdowej na osiedle z powodu niedawnego włamania w okolicy. Spotkałam się już z Maggie Barry, sąsiadką, która znalazła linę i nóż, a teraz zadzwoniłam do niej, żeby zapytać, czy pamięta tego typu sytuacje albo odwiedziny policjanta. Odpowiedziała przecząco. Na szczęście mianowano ją sekretarzem rady mieszkańców Covent Court i jednym z jej zadań było przechowywanie protokołów z corocznych walnych zgromadzeń i spotkań nadzwyczajnych. Przejrzała je i trafiła na tę kwestię. Poruszono ją na jednym ze spotkań z początku czerwca 2000 roku, sześć tygodni przed atakiem na Christine. W protokole była mowa o „włamaniu na Blackrock Road”. Ktokolwiek go sporządził, dodał na końcu słowo „Floryda” w nawiasie.

Badając tę sprawę, Ed trafił na raport o włamaniu do domu jednorodzinnej na Blackrock Road. Zgłoszenie wpłynęło 29 kwietnia 2000 roku. Rodzina wróciła z dwutygodniowych wakacji w Disney World w Orlando i odkryła, że ich dom został splądrowany i zdewastowany. Ani Ed, ani ja nie mogliśmy znaleźć żadnej wzmianki na ten temat w mediach. To oznaczało jedną z trzech rzeczy: mieliśmy niefart i przeoczyliśmy artykuł lub relację o tym; jeden lub kilku

mieszkańców dobrze znało pokrzywdzoną rodzinę i dowiedziało się o szczegółach podczas osobistej rozmowy; Gardaí odwiedzili sąsiadów i poinformowali o włamaniu. Wszystkie te możliwości były prawdopodobne i, jak lubił mawiać Ed, brak dowodów niczego nie dowodzi. Nasza teoria, że wizyty policjanta były powiązane z atakami Mężczyzny bez twarzy pozostawała aktualna.

Ed znalazł dwie informacje potwierdzające moje mgliste wspomnienie o wizycie funkcjonariusza Garda w naszym domu. Z farmy w Monkstown skradziono kilka rzeczy, a z domu przy Monastery Road, na obrzeżach Passage West, sprzęt elektroniczny i gotówkę. Oba te incydenty wydarzyły się sześć tygodni przed zamordowaniem mojej rodziny. Dokumentacja prowadzona przez śledczych Garda była niekompletna, ale jeden z wciąż aktywnych detektywów powiedział Edowi, że nie pamięta żadnych wizyt w domach innych niż te sąsiadujące z celem napaści. To niewiele, ale na tym etapie zadowalaliśmy się czymkolwiek. Gdy zapytałam Eda, czy istnieje możliwość, że Gardaí w ramach jakiejś inicjatywy poza oficjalnym śledztwem jeździli po domach i ostrzegali ludzi o włamaniach, wybuchnął śmiechem. Gardaí absolutnie nie mieli na to środków.

Nie musieliśmy zadawać pytań o włamania do Westpark i w jego pobliżu, ponieważ Ed sam przeprowadził rozpoznanie, chociaż zrobił to przed wprowadzeniem się pierwszych mieszkańców, a nie istniały żadne akta dotyczące ewentualnych późniejszych incydentów. Nie mogliśmy, z oczywistych względów, zapytać Marie i Martina, czy odwiedził ich funkcjonariusz Garda.

Mężczyzna bez twarzy dokonał napaści na pięć celów. W dwóch przypadkach przed atakiem doszło do wizyty policjanta, który ostrzegał o niedawnych włamaniach w okolicy – niestety, jedno z nich było oparte na moim mglistym wspomnieniu mężczyzny w mundurze stojącym w progu, który sprawił, że moja matka nazwała ojca i babkę po imieniu. W czterech przypadkach mogliśmy stwierdzić ze stuprocentową pewnością, że przed atakami doszło w okolicy do kradzieży z włamaniami – ale to było dość powszechne przestępstwo i gdybyśmy wybrali pięć losowych domów w Cork, prawdopodobnie trafilibyśmy na podobne incydenty, które można by powiązać. Jeśli włamania rzeczywiście były punktem łączącym wszystkie ofiary Mężczyzny bez twarzy, jeśli to był klucz do ujawnienia tajemnicy, dlaczego wybrał te a nie inne osoby, to wciąż był to tylko niewyraźny kształt w oddali.

Na szczęście mieliśmy jeszcze do zweryfikowania sprawę Lindy O'Neill z Fermoy.

Dopiero niedawno udało nam się nawiązać z nią kontakt po wielu nieodebranych połączeniach, mejlach, a nawet wysłaniu ręcznie napisanego listu do jej miejsca pracy. Krótko przed spotkaniem z Tommym na lotnisku w Dublinie zrezygnowałam z prób skontaktowania się z Lindą i postanowiłam dokończyć rozdział o napaści na nią na podstawie materiałów, które miałam do dyspozycji, głównie raportów Garda oraz udzielonych przez Lindę wywiadów. Potem Ed próbował skomunikować się z nią przez oficjalne kanały i rzeczywiście, odebrała telefon, ale tylko po to, aby powiedzieć, że nie jest zainteresowana książką. Nie chciałam ponownie do niej dzwonić, żeby zapytać, czy w domu w Fermoy odwiedził ją funkcjonariusz Garda, ale nie dlatego, że byłby to dla mnie problem moralny. Po prostu nie zamierzałam tracić kolejnych sześciu miesięcy na namierzanie jej. Zamiast tego Ed zgłosił się do kogoś, kto spędził dużo czasu w domu w Fermoy podczas tygodni poprzedzających atak i chętnie zgodził się na rozmowę. Johnnie Murphy, kierownik budowy.

Johnnie wciąż pracował w budownictwie, ale obecnie prowadził własną firmę i, jak to poetycko ujął, „Nie musiał już wystawiać jaj na mróz na placach budów, tylko grzał je przy kaloryferach w przenośnych barakach”. Gdy tylko Ed zapytał:

– Pamiętasz, żeby Gardaí odwiedzali dom O'Neillów przed atakiem?

Johnnie natychmiast odpowiedział:

– Ta, kojarzę takiego jednego chujka.

Nie pamiętał dokładnej daty, ale wydawało mu się, że było to niedługo po tym, jak jego ekipa rozpoczęła prace na miejscu, czyli mniej więcej początek marca 2001 roku. W tym samym czasie małżeństwo O'Neillów otrzymało pozwolenie na budowę. Było już późno, około siedemnastej lub osiemnastej. Johnnie siedział akurat na parterze, w pomieszczeniu gospodarczym przy kuchni. Używał go jako prowizorycznego biura. Tamtego wieczoru musiał zostać dłużej, żeby posegregować dokumenty, a przy okazji pilnował domu, kiedy Linda i Conor pojechali do Cork odebrać armaturę łazienkową. Usłyszawszy hałas dochodzący z kuchni, pomyślał, że wrócili wcześniej, niż planowali, ale gdy tam poszedł, stanął twarzą w twarz w umundurowanym funkcjonariuszem.

Johnnie mieszkał w Fermoy całe życie. Regularnie uczęszczał na spotkania sąsiedzkie, mecze lokalnych drużyn sportowych i opiekował się pubami pod nieobecność właścicieli. Znał policjantów pracujących w Fermoy, ponieważ widywał ich w okolicy i podczas wspomnianych okazji. Tego funkcjonariusza nie znał i nie spodobało mu się, że mężczyzna wszedł do domu. Kiedy pokazał legitymację, Johnnie przyjrzał się imieniu i nazwisku: Ronan Donoghue. Przeszło mu też przez myśl, że legitymacja wygląda trochę podejrzanie, ale tak naprawdę nigdy nie widział żadnej z bliska, a odznaka wsadzona w drugą kieszeń rozkładanego skórzanego etui wydawała się prawdziwa. Johnnie, będąc nastolatkiem, miał trochę problemów z policją. Żałował tamtego okresu w swoim życiu i jako dorosły przestrzegał prawa i traktował policjantów z szacunkiem.

– Co mogę dla pana zrobić? – zapytał.

Donoghue poinformował go, że w okolicy doszło do kradzieży z włamaniem. Chciał porozmawiać z właścicielami o zabezpieczeniu ich własności, szczególnie że dom był w trakcie budowy i przewijali się przez niego „ludzie wszelkiego pokroju”. Celna uwaga: w końcu sam wszedł do domu bez żadnego ostrzeżenia. (Johnniemu wydawało się, że je zamknął, ale nie był w stu procentach pewny, więc się nie odezwał). Donoghue zapytał o właścicieli – czym się zajmują, czy są nowi w okolicy, czy mają dzieci, czy mieszkali w domu podczas prac budowlanych.

Johnnie odniósł wrażenie, że Donoghue go krytykuje i sugeruje, że ekipa nie zabezpieczyła odpowiednio terenu. Nie spodobało mu się to – szczególnie że mężczyzna wyraźnie był nowy w mieście, a Johnnie mieszkał tu od wielu lat. Im dłużej Donoghue mówił, tym bardziej Johnnie był poirytowany. Ale musiał to w sobie zdusić. Czuł, że nie może się sprzeciwić. Gdy Donoghue w końcu wyszedł, z uszu Johnniego niemal buchała para. Za kogo ten kutas się uważał, co? Czy w ogóle wiedział, z kim rozmawia? Jebany bezczel.

Johnnie nie pamiętał, żeby wspominał Lindzie albo Conorowi o wizycie policjanta, ale o całej sytuacji powiedział Gerardowi Byrne'owi, swojemu kumplowi, który uczył w szkole podstawowej. Gerard stwierdził, że Johnnie jest przewrażliwiony i jego reakcja była przesadna. Ale dodał, że nie kojarzy – a był człowiekiem, który wiedział o takich rzeczach – funkcjonariusza o nazwisku Donoghue pracującego w komisariacie w Fermoy.

Johnnie nic nie zrobił z tą informacją. Nie zadzwonił do komisariatu, żeby sprawdzić dane policjanta. Nie zgłosił, że ktoś może podszywać się pod funkcjonariusza An Garda Síochána. O wizycie wspominał tylko Gerardowi Byrne'owi – nawet po ataku na Lindę, chociaż, moim zdaniem, ta informacja miała ogromne znaczenie. Johnnie zapomniał o wszystkim. Nie sądził, że jeszcze kiedykolwiek wróci do niej myślami, dopóki nie zadzwonił do niego Ed.

Desperacko chciałabym cofnąć się w czasie do chwili, gdy mężczyzna podający się za funkcjonariusza Garda, Ronana Donoghue, wychodzi z domu w Fermoy, a Johnnie Murphy stoi w progu i patrzy, jak policjant odchodzi. Nie uderzyłabym na alarm – uruchomiłabym syreny przeciwlotnicze. Bo to jest ten moment. To jest ten punkt, w którym rozeszły się ścieżki, i gdyby-

śmy pobiegli za nim, moja rodzina wciąż by żyła.

Jestem uzbrojona w wiedzę o tym, co nastąpi później. Wiem, że pewien człowiek włamie się do domu O'Neillów, żeby zabrać ważną rzecz w sprawie – pamiętnik Lindy. Wiem, że Linda będzie ofiarą prawie śmiertelnego w skutkach ataku we własnym domu. Wiem, że za kilka miesięcy Ed połączy ten atak z czterema innymi, w tym z morderstwem członków mojej rodziny, a prawie dwadzieścia lat później znajdziemy kolejny punkt wspólny, czyli mężczyznę podającego się za policjanta.

Ale Johnnie tego nie wiedział. Po prostu pewnego dnia odbył irytującą pięciominutową rozmowę i powiedział o niej przyjacielowi, który później wspomniał, że nie kojarzy funkcjonariusza o takim nazwisku w pobliskim komisariacie. No i co? Dla niego był to tylko drobny szczegół w nieistotnej sprawie w zwyczajny dzień, więc wkrótce o tym zapomniał.

Pewnego wieczoru otwierasz drzwi i widzisz umundurowanego policjanta. To nic ważnego, nie martw się. Rutynowa wizyta. W okolicy doszło do kradzieży z włamaniem. Funkcjonariusz pojawił się u ciebie, żeby twój dobytek również nie padł łupem złodziei. Zamknij okna i drzwi. Schowaj cenne przedmioty. Pomyśl o zainstalowaniu alarmu. Ucinasz sobie z policjantem krótką pogawędkę, podczas której rzucasz, że tylne drzwi mają zepsuty zamek. Albo że mieszkasz sam. Albo że małżeństwo właścicieli przebywa w domu mimo trwania prac budowlanych – cóż, jedno z nich, ponieważ mąż poleciał na kilka tygodni do San Francisco. Może nawet nie ujawniasz istotnych informacji, ale mężczyzna i tak zbiera je podczas waszej rozmowy. Solidność zamka frontowych drzwi. Rozkład parteru. Czy mu się podobasz. Czy zrobi z tobą to samo, co zrobił już z innymi.

Byliśmy pewni, że tak wybierał ofiary. Wkładał mundur Garda i pukał od drzwi do drzwi, informując o niedawnych włamaniach. Ale czy naprawdę był policjantem?

Ani Tom, ani Johnnie nie pamiętali, żeby widzieli radiowóz, i doszliśmy do wniosku, że łatwo nabrać prawego obywatela, że masz na sobie prawdziwy mundur Garda, chociaż w rzeczywistości to podróbka. Mógł bez problemu zdobyć prawdziwy mundur policyjny – skoro planował mordować niewinnych ludzi, był też skłonny do kradzieży. Ponadto takie zachowanie byłoby niezwykle ryzykowne dla prawdziwego policjanta – wystarczyłby jeden telefon do komisariatu, żeby całkowicie spalić jego małe, nielegalne misje zwiadowcze.

Ed nigdy mi tego nie powiedział, ale czułam, że ma jeszcze jedną wątpliwość, że tajemniczy Garda był prawdziwym policjantem. Jego zdaniem funkcjonariusz Garda nigdy nie posunąłby się do czegoś takiego. Czy człowiek, który zgwałcił Lindę O'Neill i pozostawił ją na niemal pewną śmierć, chciałby pracować w służbach chroniących społeczeństwo przed ludźmi takimi jak on? Ed nie był w stanie w to uwierzyć.

Muszę przyznać, że mnie przyszło to łatwiej. Prawdziwy funkcjonariusz zrobiłby lepsze wrażenie. Poza tym ma dostęp do raportów oraz szczegółów operacji, więc wie, kiedy rzeczywiście doszło do włamania z kradzieżą i kiedy jego koledzy oficjalnie udawali się ostrzegać pobliskich mieszkańców. Jest również zaznajomiony z metodami śledczymi i doskonale wie, jak ważne jest niepozostawianie na miejscu zbrodni fizycznych dowodów. Dodatkowo nie musi załatwiać munduru i odznaki.

Poprosiliśmy rysownika policyjnego o spotkanie z Johnniem Murphym, żeby sporządzić portret pamięciowy „funkcjonariusza” Donoghue'a, ale Johnnie o wiele lepiej pamiętał przebieg rozmowy niż twarz mężczyzny. Ale pamiętał mundur. Wspomniał o pagonach z naszytymi numerami i chociaż nie mógł ich sobie przypomnieć, oznajmił, że jedna z cyfr zwisała krzywo – dosłownie na jednej nitce.

Po tej informacji Ed stwierdził, że nawet jeśli morderca nie służył w policji, mundur mógł być prawdziwy. Naderwane cyfry stanowiły dość powszechny problem, którego Ed sam

doświadczył. Na wszelki wypadek nosił ze sobą spinacze do papieru (najlepszy sposób na szybkie przyklejenie niesfornej naszywki). Szeregowi funkcjonariusze Garda muszą zgłaszać zaginięcia służbowych rzeczy przełożonym, ale szukanie jakichkolwiek raportów na ten temat po prawie dwudziestu latach byłoby idiotyczne. Jednak nasza dyskusja o tym sprawiła, że Ed pomyślał o raportach innych zaginięć – materiałów dowodowych.

Nie zdarzało się to często, ale niekiedy coś ginęło w drodze z miejsca zbrodni do magazynu dowodów. Głównie pieniądze i narkotyki. Korupcja nękała środowisko stróżów prawa, podobnie jak wiele innych obszarów społecznych. Trzeba było odważnego i kierującego się zasadami funkcjonariusza, żeby zgłosić zaginięcie dowodu, i tak się właśnie wydarzyło. Ed skontaktował się ze swoim przełożonym, Kevinem Taylorem – bardzo nam już pomógł – i dzięki niemu dotarł do raportów dotyczących zaginięć materiałów dowodowych w hrabstwie Cork, datowanych na dwanaście miesięcy przed pierwszym atakiem Mężczyzny bez twarzy. Taylor chciał tego samego co ja i Ed: w końcu rozwiązać sprawę napadów.

W październiku 1999 roku zniknęła jedna z trzynastu sztuk broni zarekwirowanych podczas obławy w Ringaskiddy. Pistolet zaginął w drodze między farmą a magazynem dowodów. Nie było możliwości potwierdzenia, czy tej broni używał Mężczyzna bez twarzy, ale opis Lindy O'Neill zgadzał się z wyglądem tego modelu. Czyżby morderca ukradł pistolet z miejsca zbrodni? Jeśli tak, to mieliśmy odpowiedź na pytanie, czy był policjantem. Przepytanie każdego funkcjonariusza An Garda Síochána, który mógłby mieć styczność z tą konkretną bronią przed prawie dwudziestu laty, było dla Eda krokiem za daleko. Nie tylko pod względem moralności i logistyki, ale także prawnym i formalnym, bo nie mogliśmy potwierdzić, że pistolet skradziony z farmy to ten sam, którego użyto podczas napadu na dom O'Neillów.

I tak po prostu zawędrowaliśmy do kolejnego ślepego zaułka.

Co jeszcze mogliśmy zrobić? Wystosować apel do ludzi z zapytaniem, czy dwadzieścia lat temu na pięć minut odwiedził ich funkcjonariusz Garda? Nawet gdyby ktoś się odezwał, potrzebowalibyśmy sztabu ludzi nie tylko po to, żeby wrzucić informację, ale także efektywnie zbierać zgłoszenia.

Nie mogłam w to uwierzyć i wypierałam tę myśl, ale po intensywnym napływie nowych informacji znowu utknęliśmy w martwym punkcie. Sprawdziliśmy nasz najbardziej obiecujący trop. Niestety, nigdzie nas to nie doprowadziło.

Włamanie. Po prawie dwudziestu latach mieliśmy nadzieję, że w końcu znaleźliśmy wspólny mianownik, który posunie naprzód sprawę Mężczyzny bez twarzy.

Myliliśmy się.

Mężczyzna bez twarzy

Doktor Nell Weir jest profesorem nadzwyczajnym psychologii sądowej w Trinity College w Dublinie. Ma czterdzieści kilka lat i urodziła się w Port Talbot w Walii. Jeśli zajrzycie na jej profil na stronie uniwersytetu, nie zobaczycie profesjonalnie wykonanej fotografii, jak u większości profesorów uczelni wyższych. Doktor Weir zdecydowała się na zdjęcie przed domem Lizzie Borden w Fall River w stanie Massachusetts, gdzie w 1892 roku znaleziono ciała ojca i macochy Borden pokryte ranami od siekiery. Obecnie dom jest zarówno makabryczną atrakcją turystyczną, jak i dobrze zarabiającym pensjonatem. Trudno to dostrzec, ale na zdjęciu doktor Weir ma jedną ze swoich ulubionych ozdób wpiętą w klapę płaszcza: niewielką przypinkę w kształcie zaciśniętych ust z napisem „Porozmawiajmy o seryjnych mordercach”. Właśnie tym zajmuje się doktor Weir na kursie dla studentów pierwszego roku o nazwie „Najzwyklejsze potwory – w umyśle seryjnego mordercy”. Przedmiot jest tak popularny, że pani profesor musi prowadzić go dwa razy w ciągu roku, żeby sprostać wymaganiom, a i tak wszyscy chętni biorą udział w loterii, która decyduje, kto będzie uczestniczył w zajęciach w danym semestrze.

– To z pewnością jedyny kurs – napisała mi w mejlu doktor Weir – podczas którego ktoś musi pilnować drzwi, żeby nikt nie wkraść się do środka.

Pewnego wtorkowego poranka w styczniu 2017 roku wzięłam udział w wykładzie wprowadzającym. Odbывał się w audytorium z przynajmniej setką miejsc siedzących, ale kiedy przyszałam – wcześniej, jak mi się wydawało, dobre dziesięć minut przed rozpoczęciem – pozostały już tylko miejsca stojące. Czekałam przy drzwiach, aż grupka nastoletnich dziewczyn zlitowała się i ścisnęła, żebym usiadła na krawędzi ławki. W sali było gorąco i zrobiło mi się trochę niedobrze z nerwów, chociaż doktor Weir zapewniła mnie, że podczas czterdziestopięciominutowego wykładu nie będzie żadnych makabrycznych szczegółów i mowy o Mężczyźnie bez twarzy.

Dziewczyny, które siedziały obok mnie, właśnie wymieniały nazwy swoich ulubionych podcastów kryminalnych („To ten o zaginionych dzieciach, o mój Boże, jest fantastyczny, bardzo się wkręciłam!”), kiedy w sali pojawiła się doktor Weir. Zeszła środkowymi schodami na dół audytorium. Włączyła projektor i naszym oczom ukazał się kadr ze zbliżeniem twarzy Anthony’ego Hopkinsa w jego prawdopodobnie najśłynniejszej roli konesera jedzenia, wina i ludzkiego ciała, czyli Hannibala Lectera. Pani profesor stanęła za mównicą i szeroko się uśmiechnęła. Nie musiała czekać, aż zapadnie cisza – to stało się od razu, gdy weszła do sali. Każdy niecierpliwie czekał na wykład.

Zanim jednak doktor Weir go rozpoczęła, oznajmiła, że chce sprawdzić naszą wiedzę. Będzie pytała każdego, kto się zgłosi, o nazwisko seryjnego mordercy, dopóki któreś się nie powtórzy.

Prawie wszyscy podnieśli ręce, a Weir losowo wskazywała studentów.

Irlandczyk Will Hurley, znany jako Zabójca z kanału, ponownie trafił na nagłówki gazet, więc nic dziwnego, że jego nazwisko padło jako pierwsze. Potem studenci wymieniali najbarziej znanych amerykańskich i angielskich morderców. Ted Bundy. Jeffrey Dahmer. John Wayne Gacy. Ed Gein. Fred West. Peter Sutcliffe. Harold Shipman.

– Mężczyzna bez twarzy – rzucił jeden ze studentów – ale jeszcze nie znamy jego tożsamości.

W myślach podziękowałam mu za dodanie słowa „jeszcze”.

Po tych nazwiskach w górze pozostała zaledwie połowa rąk. Teraz studenci wymieniali

morderców bardziej znanych z pseudonimów niż nazwisk. Gary Ridgway, znany jako Morderca z nad Green River. Richard Ramirez – Nocny prześladowca. Dennis Rader – BTK. Ted Kaczynski – Unabomber.

Pozostały już tylko trzy uniesione ręce. Kiedy Weir poprosiła o odpowiedź, padły nazwiska Arthura Leigh Allena, podejrzanego o to, że jest Zodiakiem, Andrew Cunanana, który zastrzelił Gianniego Versace, oraz Aileen Wuornos, stracona w 2002 roku za zamordowanie sześciu mężczyzn. W słynnym filmie *Monster* zagrała ją Charlize Theron.

– Cóż – powiedziała doktor Weir. – Jestem pod wielkim wrażeniem. Wszyscy zasłużyliście na aplauz. – Studenci z radością obdarzyli się nawzajem brawami. – A teraz poproszę o nazwiska ich ofiar.

Cisza – i żadnej ręki w górze.

– Wystarczy imię – dodała.

Studenci nerwowo kręcili się na swoich miejscach. Niektórzy odwrócili się do sąsiadów i wymienili nerwowe uśmiechy. Rozległo się kilka kaszlnięć i chrząknięć.

– Nic?

W końcu student, który podał nazwisko Andrew Cunanana, wymienił Versace, ale doktor Weir odpowiedziała, że to się nie liczy, ponieważ ten był znany w chwili morderstwa. Potem zgłosiła się dziewczyna z pierwszego rzędu i podała niepewnie nazwisko Caroline Ranch, bardziej pytająco niż twierdząco. Caroline Ranch...? Weir stwierdziła, że to dobra próba, ale chodzi o Carol DaRonch, która jakimś cudem uciekła z samochodu Bundy'ego i później zeznawała przeciwko niemu w sądzie. Kolejny student rzucił, że ofiarą Zabójcy z kanału mogła być „Paula Jakaśtam” (nieprawda), a inny, który widocznie niedawno oglądał film *Zodiak* Davida Finchera, podał Paula Avery'ego, reportera kryminalnego „San Francisco Chronicle” – granego w filmie przez Roberta Downeya Juniora – który zdecydowanie nie był ofiarą Zodiaka.

– I na tym polega problem – powiedziała doktor Weir.

Doskonale wiedziała, co robi, umieszczając swoje zdjęcie na tle domu Lizzie Borden, z przypinką w klapie płaszcza (w kolekcji ma też inne: „Hej! Ted Bundy nie jest ciachem!” czy „Opowiedz mi o filmach kryminalnych”). Nie bez powodu na liście lektur obowiązkowych umieszcza pozycje takie, jak *Psychoza*, *Ted Bundy. Bestia obok mnie* czy *Milczenie owiec*. Przyciąga studentów. A gdy już pojawia się na wykładzie, mówi im prawdę: wszystko, co wiedzą na temat seryjnych morderców, jest kłamstwem.

– Nie ma nic złego w fascynacji seryjnymi mordercami – mówi mi w swoim biurze już po wykładzie. – Mnie też fascynują. Przyciągają uwagę, bo chociaż wyglądają tak jak my, robią rzeczy, których żadne z nas by nie zrobiło. Ale nie są wybitnie inteligentni. Nie przechytrzają stróżów prawa. Znasz Davida Berkowitza? Syna Sama? Wpadł przez mandat za złe parkowanie w pobliżu miejsca jednej ze swoich zbrodni. Są nudnymi, niczym niewyróżniającymi się, zakompleksionymi mężczyznami – nie zawsze mężczyznami, oczywiście, ale głównie – którzy nie radzą sobie z życiem, miłością i przetwarzaniem emocji w świecie, w którym większość ludzi opanowuje te umiejętności w wieku nastoletnim. Nie są żadnymi mistrzami czarnej magii. Nie mają nadzwyczajnych umiejętności. Ludzie zapominają, że znamy ich nazwiska, ponieważ zostali złapani. W zasadzie jedyne, co jest w nich niezwykle, to życie, które odebrali. To nazwiska ofiar powinniśmy pamiętać.

Spotkałam się z doktor Weir głównie po to, żeby otrzymać odpowiedź na jedno z najbardziej nurtujących mnie pytań: Dlaczego Mężczyzna bez twarzy przestał atakować? Jak się powstrzymywał? A może wcale nie przestał, tylko się przeprowadził, zmienił metody albo zmarł? Po wykładzie przyszło mi na myśl, że odpowiedź nie będzie brzmiała tak, jak się spodziewałam – i miałam rację. Po ponadgodzinnej rozmowie w końcu zadałam to pytanie, a doktor

Weir wzruszyła ramionami, uniosła dłonie i powiedziała:

– Najprawdopodobniej po prostu przestał mordować.

Później powiedziała mi o symposium zorganizowanym przez FBI w sierpniu 2005 roku, na którym pojawiło się ponad stu ekspertów zajmujących się seryjnymi mordercami. Łapanie ich to szczególne wyzwanie dla organów ścigania, ale – ponownie – nie z tych powodów, które pierwsze przychodzą na myśl. Kilka morderstw popełnionych przez tę samą osobę to rzadkość. Stanowią zaledwie jeden procent zabójstw w skali roku, ale wzbudzają najwięcej emocji i fascynują opinię publiczną. Niewspółmiernie w porównaniu do ich liczby, co powoduje, że śledztwa od samego początku są w centrum uwagi i co zwiększa presję na policję, żeby jak najszybciej czynić postępy.

A ponieważ są tak rzadkie, istnieje relatywnie mało danych naukowych na ich temat. Opinia publiczna zdobywa informacje o seryjnych mordercach z hollywoodzkich filmów, seriali Netflixa i książek kryminalnych z pobliskiej księgarni. Nie ma w tym nic złego, ponieważ ludzie po prostu szukają rozrywki. Problem polega na tym, że – świadomie lub nie – szeregowi funkcjonariusze czerpią informacje z tego samego miejsca. To znacznie komplikuje sprawę, ponieważ są odpowiedzialni za szukanie sprawców. Założeniem symposium było obalenie niektórych mitów i błędnych przekonań na temat seryjnych morderców oraz unaocznienie stróżom prawa faktów.

Seryjni mordercy: Multidyscyplinarna perspektywa dla śledczych – raport z 2008 roku z symposium – przedstawia najczęściej powtarzane błędne przekonania na temat seryjnych morderców:

- Wszyscy seryjni mordercy to dysfunkcyjni samotnicy.
- Wszyscy seryjni mordercy to biali mężczyźni.
- Wszyscy seryjni mordercy podróżują i działają w różnych stanach.
- Wszyscy seryjni mordercy są szaleńcami albo geniuszami zła.
- Seryjni mordercy nie potrafią przestać zabijać.

W rzeczywistości często mają partnerów, rodziny, pracę i angażują się w życie swojej społeczności. Zróżnicowanie rasowe w ich środowisku zazwyczaj pasuje do populacji, które atakują. Zdecydowana większość popełnia zbrodnie na określonym obszarze lub „w strefie komfortu”. Często cierpią na choroby psychiczne lub mają zaburzenia osobowości, ale nie są szaleńcami i średnio wykazują ten sam poziom inteligencji co większość społeczeństwa. Ponadto często przestają zabijać na długo przed schwytaniem z powodu zmian w ich życiu, które zmniejszają czynniki prowokujące, takie jak stres – na przykład nowe, lepiej funkcjonujące małżeństwo – albo znajdują substytut w postaci innych aktywności. Dennis Rader, znany również jako BTK (Blind, Torture, Kill)⁵, zamordował dziesięć osób w latach 1974–1991, ale złapano go dopiero w 2005 roku. Miał żonę i dwójkę dzieci, służył w wojsku, a teraz działał w lokalnym samorządzie i w kościele.

Bywa też tak, powiedziała doktor Weir, że rezygnują, ponieważ najzwyczajniej się starzeją. W przeciwieństwie do innych przestępstw na tle seksualnym, takich jak pedofilia, wyjątkowo rzadko zdarza się, żeby morderstwo o takim charakterze popełniła osoba powyżej pięćdziesiątego roku życia. Być może, gdy mordercy osiągną ten wiek, ich poziom testosteronu spada do tego stopnia, że potrzeba zabijania znacząco maleje lub całkowicie zanika.

– Jeśli mówimy o zaprzestaniu działalności przez seryjnego mordercę – oznajmiła Weir – to najważniejszą rzeczą, o jakiej należy pamiętać, jest fakt, że prawie nigdy nie mamy do czynienia z działaniami kompulsywnymi. Część tego, co widzimy w hollywoodzkich filmach, wcale nie mija się z prawdą. Starannie planują i przygotowują ataki. Czekają na okazję i podejmują świadomą decyzję o popełnieniu zbrodni. Nie są opętani przymusem zabijania niczym rozszalałe, żądne krwi zwierzę. Nie tracą nad sobą panowania. Nie muszą zabijać, chcą. Istnieje duża róż-

nica między popędem a przymusem, więc gdy staną się starsi, zmęczeni i wolniejsi, istnieje duże prawdopodobieństwo, że zaprzestaną zabijania. Porównywalnie: kiedyś chciałam imprezować całą noc, a teraz, zbliżając się do pięćdziesiątki, desperacko pragnę być w łóżku już o dziesiątej wieczorem. Moja odpowiedź nie jest sexy, nie ma w niej krzty Hollywood ani żadnej dramaturgii. Ale taka jest prawda.

Zapytałam doktor Weir, jaki według niej może być Mężczyzna bez twarzy, na podstawie tego, co wiedziała o jego zbrodniach.

– Boże – zaczęła – nie każ mi zaczynać od tak zwanego – zrobiła cudzysłów palcami – profilowania. Powiem tyle: jest nudny. Nudny, zwykły i nijaki. Może ma znajomych, ale niewiele naprawdę go lubi. Jego małżeństwo jest nieudane. Nie jest w niczym szczególnie dobry i prawdopodobnie ma nużącą pracę, w której się nie spełnia. Zasadniczo, oprócz tego, że gwałcił i mordował ludzi, niczym się nie wślawił. Mężczyzna bez twarzy to wyjątkowo trafny pseudonim dla seryjnego mordercy, Eve. Kiedy go znajdziesz, będziesz w szoku, jak bardzo jest nijaki.

Gdy myślimy o naszym przeszłym życiu, mamy tendencję do formowania naszych wspomnień w zgrabne, proste narracje z początkiem, rozwinięciem i zakończeniem. Jak ładnie ujęła to Joan Didion, opowiadamy sobie historie, żeby móc żyć. Właśnie to robię na stronach tej książki: opowiadam swoją historię, żebym mogła funkcjonować i cieszyć się życiem bardziej, niż mogłam w przeszłości. Zaczynam od początku i starannie zawiązuję wszystko na końcu.

Ale kiedy szukasz mordercy, a wydawca niecierpliwie czeka, aż dostarczysz rękopis, mimo że jeszcze nie złapałaś sprawcy, nie masz innego wyjścia jak napisać słowo „koniec” w dowolnie wybranym przez siebie miejscu. To właśnie jest to miejsce. Ale to nie koniec. Nasze poszukiwania trwają. Piszę te słowa, siedząc przy biurku, a półtora metra ode mnie zmęczony Ed pociera oczy wpatrzony w ekran laptopa. Dochodzi północ, ale wiem, że żadne z nas w najbliższym czasie nie pójdzie spać.

Ze względów prawnych nie mogę zawrzeć tutaj wszystkiego, czego dowiedzieliśmy się o Mężczyźnie bez twarzy podczas naszego śledztwa, lecz wiedźcie jedno: wciąż badamy tropy. Nitki są cienkie i delikatne. Nie jesteśmy pewni, dokąd nas zaprowadzą, jednak mamy nadzieję, że bliżej prawdy. Jeden z tropów jest szczególnie obiecujący.

Książka musi być ukończona na długo przed tym, zanim trafi na półki. Być może ta trafi do druku, gdy tożsamość Mężczyzny bez twarzy będzie już znana. Może ty, drogi czytelniku, wiesz nawet, jak wygląda. Może widziałeś jego twarz w wiadomościach. Może miałeś okazję obserwować, jak policjanci wyprowadzają go z tego świata, skutego kajdankami, do ciemnej, obskurnej celi? Byłam tam? Też na to patrzyłam? Mam taką nadzieję. To właśnie nadzieja podtrzymuje mnie na duchu. To ona trzymała mnie przy życiu przez długie miesiące śledztwa i samotne, pełne bólu lata, które ostatecznie doprowadziły do obecnej sytuacji. Zakończenie – to prawdziwe – wydaje się bliżej niż kiedykolwiek.

Ale na wypadek, gdybyśmy jeszcze go nie znaleźli, muszę poprosić cię o przysługę: pomóż nam zamienić to zakończenie w początek. Przedstawiłam prawie wszystko, co wiemy o Mężczyźnie bez twarzy, w tym wiele informacji z pierwszego dochodzenia i owoce naszej pracy z ostatnich paru lat. Żyjemy, jak zapewniła mnie redaktorka, w świecie detektywów amatorów. Mogę to potwierdzić, ponieważ kilkakrotnie zaglądałam na fora i grupy facebookowe, na których się zbierają. Przekazuję wam pałeczkę. Pomóżcie mi go znaleźć.

Ktoś musi znać tożsamość Mężczyzny bez twarzy. Może rozpoznasz osobę na portrecie pamięciowym lub masz długo skrywane wątpliwości, dokąd w nocie morderstw udawała się osoba, z którą mieszkasz. A może po prostu towarzyszy ci przeczucie. Proszę, chwycić za telefon i zadzwoń do Garda na specjalną, poufną linię pod numer 1800-666-111. Nigdy nie jest za późno na zrobienie czegoś dobrego.

Ludzie pytają mnie, jak się obecnie czuję. „Obecnie”, czyli po etapie „Dziewczyny, która...”, po wyjściu na jaw, że przeżyłam atak Mężczyzny bez twarzy, po porzuceniu wszelkich prób prowadzenia normalnego życia i poświęceniu go na znalezienie mężczyzny, który pozbawił mnie rodziny. Trudno odpowiedzieć na to pytanie, ponieważ jestem przekonana, że moje życie już niedługo się zmieni. Mam nadzieję, że po publikacji książki, o ile nie wcześniej, znajdziemy mordercę i w końcu zostanie on skazany za swoje zbrodnie. Być może wreszcie pozwoli mi to poczuć coś w rodzaju wytchnienia.

Do tego czasu muszę kontynuować to, co robię, czyli próbować utrzymać się na powierzchni. Przeć do przodu. Nie zatrzymuję się, żeby analizować. Boję się to zrobić. Moje uczucia ciągle wirują, jak rzeczy w pralce. Trudno je zatrzymać i oddzielić jeden ból od drugiego, ale wiem, że pewnego dnia bęben w końcu się zatrzyma. Więc zapytajcie mnie o to znowu, gdy dopadniemy mordercę. Jestem pewna, że nie trzeba będzie długo czekać.

Może nie znamy jego nazwiska, ale znamy te: Alice O’Sullivan. Christine Kiernan. Linda O’Neill. Marie Meara. Martin Connolly.

Mój ojciec Ross i moja matka Deirdre.

Moja młodsza siostra Anna.

Pamiętajcie o nich, proszę.

Jim czuł tak ogromną wściekłość, że ledwo zdawał sobie sprawę z tego, jak się zachowuje. Usłyszał brzęk czegoś uderzającego o ścianę w salonie, a potem trzask rozbijanej szklanki, ale był przekonany, że odgłosy dochodzą z daleka. Nie zorientował się, że wyszedł na zewnątrz, dopóki nie poczuł zimnego, nocnego powietrza. Nie miał pojęcia, dlaczego zmierza do szopy, póki nie wyciągnął małego odkurzacza z szafki z narzędziami. Zerwał pokrywę i wyciągnął ze środka torbę.

Była lekko wypukła i ciężka. Jim wsunął rękę w dziurę, którą sam zrobił. Najpierw poczuł tylko miękki materiał, ale po chwili dotknął czegoś stalowego i się uspokoił.

Potem uklękł przy odkurzaczu.

Wyciągał przedmioty jeden po drugim i kładł je ostrożnie na kamienną podłogę w równym rzędzie.

Kominiarka.

Rękawiczki.

Pistolet.

Nóż wyrzucił wiele lat temu, podczas podróży promem do Francji, którą odbył wraz z Noreen i Katie – ich pierwsze i ostatnie wakacje za granicą.

Ale to nie ma znaczenia. Zabije Eve Black gołymi rękami i będzie cieszył się każdą sekundą.

Pieprzona dziwka. Powinien ją zabić dwadzieścia lat temu.

Nadrobi zaległości wraz ze wschodem słońca.

Nie będzie potrzebował liny. Nie zamierza Eve trzymać przy życiu długo. Starą latarkę wyrzucił ponad dziesięć lat temu, ale miał nową, schowaną gdzieś w szafce z narzędziami. Zaczął szukać.

Jest.

Przerwał.

Jego imię... tam jest.

Eve powiedziała, że jego imię pojawia się w książce.

Ale przecież przeczytał ją od deski do deski i nie znalazł wzmianki o Jimie Doyle'u ani nawet o wizycie Eve w komisariacie w Togher.

Wyszedł na zewnątrz i przeszedł ogrodem do drzwi na patio. Książka leżała przy telewizorze, na podłodze, otwarta, grzbietem do góry, z rozerwaną obwolutą.

Wszędzie było rozbite szkło i rozlana whiskey, ale sprzątanie może poczekać. Jedna rzecz naraz.

Jim wziął do ręki książkę i przekartkował do końca, żeby sprawdzić, czy czegoś nie przeoczył.

Ale po ostatnim rozdziale były tylko podziękowania.

Podziękowania

Napisanie tej książki nie byłoby możliwe bez Eda Healy'ego, Jonathana Eglina, Bernadette O'Brien i całego zespołu Iveagh Press. Za poświęcenie swojego czasu i pomoc dziękuję Maggie Barry, Gerardowi Byrne'owi, Brendanowi Byrne'owi, Joan Connor, Aisling Feeney, Peterowi Fine'owi, Elaine Grady, Grahamowi Harrisowi, Patricii Kearns, Jean Long, Johnniemu Murphy'emu, Denisowi Philipsowi, Kevinowi Prendergastowi, Geraldine Roche, Kevinowi Taylorowi, Davidowi Walshowi oraz doktor Nell Weir. Dziękuję również Melisie Broadbent, Rae Broughton, Andy'emu Carterowi, Kevinowi G. Conroy'wi, Kentowi Corlainowi, Anne Marie Gleeson, Cathy Hanson, Iainowi Harrisowi, Holgerowi Hasse, Catherine Ryan Howard, Sheelagh Kelly, Christowi McDonaldowi, Henriecie McKervey, Henry'emu Molnarowi, Renee Nash, Marie O'Halloran, Johannie Pérez Vásquez, Sarze Pickering, Frances Quinn, Sashy Reedsowi, Laurze J. Roach, J.H. Siess, Sandie Smith, Nikki Telling, Oliverowi Troyowi, Heather Webb, Judith Whelan, Valerie Whitford i Crystal Williams. Jestem szczególnie wdzięczna za wielkoduszność An Garda Síochána. Do Tommy'ego O'Sullivan, Nancy Kerr, Breffany i Elizabeth Kieran oraz Lindy O'Neill: nawet nie wiem, jak wam dziękować.

Nie było tam jego nazwiska.

Zajrzał na następną stronę, gdzie znajdował się indeks. Przesunął palcem po kolumnach niewielkiego tekstu, sprawdzając każdą możliwość. D, od nazwiska. J, od imienia. G, gdzie znalazł hasło „Gardaí” oraz „An Gardaí Síochána – członkowie”.

Nigdzie nie było jego nazwiska.

Próbował przypomnieć sobie, co dokładnie powiedziała Eve. „Powiem, że jej mąż pomagał przy książce. Niech poszuka w niej twojego imienia”.

Po co miałyby kłamać?

Jim kartkował książkę w poszukiwaniu fragmentu, gdzie Eve rozpoczyna śledztwo, przebiegając wzrokiem każdą stronę, żeby sprawdzić, czy przypadkiem nie umknęło mu jego imię, aż dotarł do strony tytułowej.

Mężczyzna bez twarzy.

Jego drugie imię.

To, którego sam nie wybrał.

Nikt nie wiedział, że należy właśnie do niego.

Nikt oprócz Eve Black. Jakimś cudem się domyśliła. Nie napisała tego w książce ani nie zgłosiła Gardaí, ale chciała, żeby wiedział, że ona wie.

Po co? Próbowała mu coś przekazać? Dawala do zrozumienia, że dokładnie pamięta wydarzenia z tamtej nocy i...

– Skończyłeś?

Noreen stała w progu, trzymając egzemplarz *Mężczyzny bez twarzy*.

Kolejny problem.

Jim patrzył na nią skonsternowany.

– Kupiłam ją – powiedziała. – Dziś wieczorem. Poszłam po autograf dla Katie, a potem kupiłam kolejny egzemplarz. – Uniosła książkę i spojrzała na okładkę. – Nie przeczytałam wszystkiego, ale wystarczająco dużo. Pominęłam... opisy.

– Czemu nie śpisz, Nor? – Jim zrobił krok w przód, próbując zasłonić rozbite szkło.

– Myślałem, że źle się czujesz.

– Jak widać nie.

– To dlaczego...

– Katie to przeczyta, Jim. I... – Nie dokończyła, tylko załkała.

Po policzkach spłynęły jej łzy.

– Porozmawiam z nią – rzekł Jim. – Powiem jej, że to niewłaściwa lektura. Posłucha...

Noreen krzyknęła.

Wrzask był piskliwy i dziki. I potwornie głośny.

Przez moment Jim tylko na nią patrzył, sparaliżowany faktem, że była w stanie wydać z siebie taki dźwięk. Nigdy nie zrobiła niczego podobnego.

Potem przyszło mu do głowy, że żona przechodzi jakieś załamanie nerwowe.

– Noreen... – zaczął.

Ale ona krzyczała i zbliżała się do niego, a potem uniosła wysoko dłoń z książką i szybko opuściła...

Atakowała go.

Uderzała. Mocno. W klatkę piersiową i żebra, po przedramionach, gdy w końcu uniosł ręce, próbując osłonić się przed ciosami. Wciąż na przemian krzyczała i łkała.

Nie, nie krzyczała.

W każdym razie nie tylko.

Po kilku chwilach Jim mógł rozróżnić słowa.

– Jak? Dlaczego? Jak mogłeś nam to zrobić? Katie? I mnie?

Chwył książkę i rzucił ją w głąb pokoju. Następnie pchnął Noreen.

Cisza. Nareszcie. Zamknął oczy.

Otworzył je znowu, kiedy Noreen zaskomlała.

Leżała, opierając się o ścianę, i dotykała dłonią tyłu głowy. Kiedy odsunęła rękę, opuszki palców były czerwone.

– Noreen – powiedział w końcu. – Nie wiem, co w ciebie wstąpiło, ale musisz wziąć się w garść. Jest czwarta nad ranem. Obudzisz sąsiadów.

– Nie pozwolę ci tego zrobić. – Ciężko oddychała, ale mówiła spokojnie. – Nie pozwolę ci zrujnować życia Katie. Nie dowie się, kim jest jej ojciec.

– O czym ty, do cholery, mówisz?

Naprawdę nie miał pojęcia.

Ponieważ Noreen nie mogła wiedzieć. To niemożliwe.

– Byłam w ciąży z Katie. – Jęknęła, gdy powoli dźwigała się na kolana. – Obudził mnie w nocy ból... Pomyślałam, że coś jest nie tak. Zadzwoiłam do komisariatu, żeby cię zawiadomić, ale powiedzieli mi, że jesteś po służbie. A kiedy wróciłeś do domu, byłeś... inny. Czymś podekscytowany, jak pomyślałam. Albo wyjątkowo z siebie zadowolony. I nie miałeś na sobie munduru, chociaż twierdziłeś, że wracasz z pracy. – Uśmiechnęła się ze smutkiem w oczach.

– Przyszło mi do głowy, że masz romans.

Jim nie miał pojęcia, dokąd ona zmierza, ale ani trochę mu się to nie podobało.

– Piłaś, Nor? Czy o to chodzi?

– Pewnego innego poranka ponownie wróciłeś do domu w cywilnym ubraniu. Pomyślałam, że to znowu się stało. Cokolwiek to było. Kiedy poszedłeś pod prysznic, zadzwoniłam do komisariatu. Osoba, która odebrała, nie знаła mojego głosu. Powiedziałam, że chcę skontaktować się z funkcjonariuszem Garda, z którym rozmawiałam wczoraj wieczorem. Nazywa się Jim Jakiś-tam. Chyba Jim Doyle? Niemożliwe, odpowiedział głos w słuchawce. Nie było go wczoraj na służbie.

– Przestań – przerwał jej Jim. – Tylko robisz z siebie idiotkę.

– Kiedy zastanawiałam się, co mam, do cholery, zrobić, usłyszałam wiadomości. – Noreen już na niego nie patrzyła. Wbijała wzrok w podłogę. – O rodzinie z Passage West. Czworo zabitych, jak w pierwszej chwili wydawało się policji. Wtedy przypomniałam sobie o tamtej poprzedniej sytuacji. Nie miałam okazji ani odwagi zapytać cię, gdzie byłeś, bo dostałeś zgłoszenie o morderstwie w domu na Maryborough Road. Co to było? Westpark? Chodziło o młodą parę. Mężczyzna uwięziony pod kołami własnego samochodu i jego martwa żona na piętrze. Wezwano wszystkie jednostki, więc musiałeś jechać. – Noreen zrobiła przerwę. – Potem wyszła ta sprawa z Mężczyzną bez twarzy. Wszędzie pokazywali portret pamięciowy, a ty nagle wpadłeś w obsesję na punkcie swojej wagi i zacząłeś intensywnie ćwiczyć... Ale spojrzenia nie mogłeś zmienić, Jim. – Noreen uniosła głowę i patrzyła mu w oczy. – Znam je. Wszędzie je rozpoznam. – Z trudem wstała i oparła się ścianę. – Nie chciałam w to uwierzyć, lecz w głębi serca znałam prawdę. Byłam żoną funkcjonariusza Garda, doskonale wiedziałam, co by się stało, gdybym próbowała cię zgłosić. Twoi kumple w komisariacie stawialiby twoje słowo przeciwko memu. I trudno ich winić. Kto by uwierzył, że człowiek, którego szukają, ukrywa się wśród nich? Poza tym wiedziałam, co byś mi później zrobił. Więc... – Westchnęła zrezygnowana. – Nie miałam dokąd pójść, a poród zbliżał się wielkimi krokami. Pozostało mi tylko jedno: trzymać język za zębami. I chronić Katie. Chronić moją córkę.

– Naszą córkę – poprawił ją Jim.

Podczas gdy Noreen przynudzała, on zastanawiał się, jakie ma możliwości. Jego żona

miała ranę z tyłu głowy, spowodowaną uderzeniem o ścianę i może jakieś siniaki na przedramionach w miejscu, gdzie ją chwycił. Mógł złapać ją za włosy i zawlec na szczyt schodów, a później zrzucić. Ale ten wrzask. Co jeśli sąsiedzi usłyszą? Jak im to wytłumaczyć?

I co jeśli ona przeżyje upadek?

Noreen pokręciła głową, jakby domyśliła się, co on planuje.

– Złożyłam u adwokata list – powiedziała. – Jeśli coś mi się stanie, Katie go otrzyma. Pozna prawdę. Nie chcę, żeby do tego doszło. Myślę, że ty też nie.

Wyprostowała się i odsunęła od ściany, żeby sprawdzić, czy potrafi utrzymać równowagę.

– Modliłam się o twoją śmierć, Jim. Każdego ranka i wieczora. Niech Bóg mi wybaczy, ale tak było. I oto stoisz przede mną mimo lat próśb. Nie wysłuchał mnie. Ale teraz – wskazała na oba egzemplarze *Mężczyzny bez twarzy* leżące na podłodze – wszystko jest opisane w tej cholernej książce, którą każdy może kupić. To tylko kwestia czasu, kiedy policja zapuka do naszych drzwi, a ja nie mogę... – Wzięła głęboki oddech. – Nie mogę już dłużej chronić Katie, Jim. Tylko ty możesz to zrobić. Proszę cię o to. Chronić ją.

Chwiejnym krokiem ruszyła w stronę holu.

Jim wpatrywał się w nią osłupiały.

– Najwyższy czas, żebyś to zakończył – rzuciła, zatrzymując się przy drzwiach. – Zrób to, co należy. Najpóźniej do jutra wieczór. Jeśli ktoś będzie pytał, przysięgnę, że całą noc byłeś ze mną. I – odwróciła się i wymierzyła palec w jego kierunku – tak to się zakończy. Nie będziemy o tym rozmawiać, a ty już nigdy nic takiego nie zrobisz. Inaczej sama powiem o wszystkim Katie. Rozumiesz?

Po krótkiej chwili Jim skinął głową.

– Wspaniale – powiedziała Noreen i zniknęła w holu. – Wracam do łóżka. – Jim usłyszał szuranie stóp po podłodze, a potem skrzypienie schodów. – Posprzątaj szkło, żeby nikt nie zrobił sobie krzywdy – rzuciła na koniec.

W piątkowe poranki w Centrepoint panował największy ruch. Zazwyczaj Jim bardzo je lubił, ponieważ była to jego ostatnia zmiana w tygodniu i godziny mijały dość szybko, ale dziś musiał bardzo się starać, żeby normalnie funkcjonować. Zapomniał nastawić budzik, na skutek czego nie zdążył wziąć prysznic i się ogolić, a po dotarciu na miejsce zdał sobie sprawę, że ma na sobie przeproconą wczorajszą koszulę. Co więcej, czuł tępy ból w skroniach.

Ponieważ Noreen wiedziała.

Cały ten czas.

Nieważne, ile razy odtwarzał w głowie wydarzenia z zeszłej nocy, wciąż nie mógł uwierzyć w to, co się stało.

Bip-bip.

Dźwięk wyrwał Jima z rozmyślań. Stał przy stoisku z gazetami i czasopismami, w pobliżu sklepu spożywczego. Radio. Odpiął je od paska i wcisnął przycisk MÓW.

– Odbiór.

– Jim, chodź do mnie. Jestem na piętrze.

Steve.

– Czy to nie może zaczekać? Miałem właśnie...

– Widzę cię na kamerach, Jimmy. Nie jesteś zajęty. Chodź tu. Teraz.

Jim uniósł głowę i przez dłuższą chwilę wpatrywał się w kamery zawieszona kilka metrów nad nim. Następnie przeszedł przez drzwi z napisem TYLKO DLA PERSONELU na tyłach stoiska z mrożonkami i wszedł na metalowe schody prowadzące do biura menedżera.

Steve siedział przy biurku i jadł kanapkę. Na klawiaturze jego laptopa leżało rozerwane papierowe opakowanie. Twarz mężczyzny była umazana brązowym sosem, a do dolnej wargi przyłgął kawałek białka jaja. W pokoju unosił się przykry zapach tłuszczu i starej kawy.

Żółć napłynęła Jimowi do gardła. Przez moment myślał, że się porzyga.

Tępy ból w skroniach przybrał na sile.

– Jim – powiedział Steve, przeżuając mięso. – Usiądź.

Na ścianie, po prawej od Jima, znajdowało się kilka monitorów wyświetlających czarno-białe obrazy z różnych części supermarketu. Jim przyjrzał się im dokładnie, poszukując tego, na którym dojrzał go Steve. Obraz był tak przybliżony, że Jim mógł przeczytać nagłówki gazet.

Usiadł na jednym z dwóch krzeseł stojących przy biurku. Steve odłożył na wpół zjedzoną kanapkę, odchylił się na oparcie fotela i spojrzał na Jima. Z uśmiechem na twarzy. Jego usta lśniły od tłuszczu.

Cokolwiek chciał mu przekazać, nie mógł się już doczekać.

– Musimy się pożegnać, Jim.

Czekał na jego reakcję.

Jim milczał.

– Mieliśmy skargę – kontynuował menedżer. – Od klientki. Wczoraj po południu. Powiedziała, że już dwa razy przypatrywałaś się jej, gdy chodziła po sklepie. Gapiłeś się, jak to określiła. Sprawdziłem kamery, Jim. Wygląda na to, że mówiła prawdę. Dostałeś już jedno ostrzeżenie za niesubordynację i drugie za sytuację z gościem, którego podejrzewałeś o kradzież piwa, mimo że kilkakrotnie próbował pokazać ci paragon. Do trzech razy sztuka, taką mamy zasadę. Doskonale o tym wiesz. Nie pozostawiasz mi wyboru...

Jeden płynny ruch.

Szarża.

Jim wstał i chwycił to, co zostało z kanapki, nachylił się nad biurkiem, drugą ręką złapał Steve'a za kark i wepchnął mu resztki jedzenia do ust.

Przy okazji miażdżąc mu zęby.

Wpychał jedzenie coraz głębiej, aż Steve zaczął kasłać, pluć i się krztusić.

W końcu Jim przestał i zrobił w krok w tył. Patrzył, jak menedżer podnosi się z fotela i nachyla nad biurkiem. Łapie się za gardło. Wybałusza oczy. Miał otwarte usta, ale wydobywało się z nich tylko świszczanie. Jego twarz szybko poczerwieniała. Nie mógł złapać oddechu.

Jim nic nie robił przez dziesięć, piętnaście sekund.

Później spokojnie przeszedł na drugą stronę biurka, stanął za Steve'em i pięć razy walnął go mocno w plecy. Następnie objął go w pasie i mocno ścisnął. Mężczyzna wypluł kawałki chleba, parówki i jajka, po czym padł na biurko, kaszłąc i łapczywie chwytając powietrze.

– Powinieneś być bardziej ostrożny – powiedział Jim.

Steve odwrócił się i spojrzał na niego ze strachem w oczach. Zrobił krok w tył. I kolejny.

Cofnął się aż do ściany, wciąż wpatrując się z przerażeniem w Jima.

Jim uśmiechnął się z satysfakcją.

Potem odwrócił się na pięcie i wyszedł.

Gdy wracał do domu, ból w skroniach był tak silny, że miał wrażenie, jakby jego mózg zamienił się w młot i próbował od środka rozbić czaszkę. Powoli wjechał na podjazd, czując ulgę, że jakoś udało mu się dojechać do domu bez wypadku, mimo tego pulsującego bólu.

Na sąsiednim podjeździe stał Derek, akurat otwierał auto. Z domu wyszła Karen, trzymając na rękach tę starą maszynkę do srania. Pies głośno skomlał, jakby coś go bolało.

Karen trzymała też niewielką przezroczystą torebkę. Z tej odległości Jim nie mógł być pewny, ale wydawało mu się, że było w niej kilka ciasteczek dla psów.

Kobieta odwróciła się i zobaczyła Jima siedzącego w samochodzie.

Podniósł dłoń na przywitanie.

Karen spojrzała na niego wściekłym wzrokiem.

Jim uśmiechnął się w odpowiedzi. Mogła robić groźne miny. Nigdy nie dowioda, że to jego sprawka.

Począł, aż odjadą, i wszedł do domu.

Nie zdążył wyjąć klucza z zamka, gdy w holu pojawiła się Noreen ze zmartwioną miną.

Skąd u niej ta troska? Po ostatniej nocy nie mógł być już niczego pewien.

W szczególności, jeśli chodzi o Noreen.

– Co robisz w domu? – spytała. – Co się dzieje?

– Boli mnie głowa.

Spojrzała na niego, jakby chciała ocenić, czy mówi prawdę.

– Jesteś przemęczony – stwierdziła w końcu. – Kładź się do łóżka. Przyniosę ci paracetamol. Musisz porządnie wypocząć.

W każdy inny dzień pewnie by z nią dyskutował. Lubił to robić, nawet gdy miała rację. Ale dziś czuł się paskudnie, a ból rozsadał mu czaszkę, więc nic nie powiedział. Wszedł po schodach i ruszył do swojego pokoju.

Zrzucił buty, zaciągnął zasłony i wpełznął na łóżko. Nakrył głowę kocami, żeby osłonić się przed światłem, ale w ciemności ból wydawał się jeszcze silniejszy.

Było tak źle, że nie mógł myśleć o niczym innym.

Do pokoju weszła Noreen ze szklanką wody i dwiema białymi pigułkami. Jim nawet nie sprawdził, co to za lek. Połknął je i znowu nakrył się kocami.

Był taki zmęczony.

Ale miał tyle do zrobienia.

Musiał wszystko zaplanować.

Przygotować się.

Gdy tylko ból trochę odpuścił, Jim zasnął.

Godziny mijały.

Kiedy się obudził, na zewnątrz było ciemno. Ból minął. Jim czuł się wypoczęty, odświeżony, czysty.

Gotowy.

Z dołu dochodził zapach gotowanego jedzenia.

Jim wszedł do kuchni i zobaczył Noreen mieszającą w garnku.

– Siadaj – powiedziała. – Zjesz.

Zrobił, jak kazała.

Podawała mu pieczonego kurczaka i usiadła naprzeciwko, po drugiej stronie stołu. Przed nią stała jedynie szklanka z wodą.

Przez dobrą minutę słychać było tylko mlaskanie Jima.

– Nie chcę cię widzieć dzisiaj w nocy, jasne? – odezwała się w końcu Noreen.

Jim zatrzymał widelec w połowie drogi do ust i spojrzał na nią pytająco.

– Kiedy będziesz wyjeżdżał – wyjaśniła. – Nie chcę widzieć, kiedy... będziesz gotowy.
Ubrany – przerwała na chwilę. – Nie chcę go widzieć. Rozumiesz, o co mi chodzi? Nie chcę...
go poznać.

Jim nic nie powiedział. Kontynuował jedzenie.

CHOMIKO - WARNIA

W garderobie znalazł czarny komplet dresowy oraz czarną kurtkę z kapturem. Upewnił się, że nie ma na nich żadnych symboli marek ani innych charakterystycznych wzorów i przebrał się w nie. Następnie wsunął stopy w czarne buty robocze i zawiązał sznurowadła. Wyciszył telefon i schował go do jednej z szuflad w stoliku nocnym. Potem zszedł na dół, wymknął się przez drzwi wejściowe, obszedł dom i wszedł do szopy. Dochodziła północ.

Kominiarka, pistolet i rękawiczki leżały na podłodze, tam gdzie je zostawił wczoraj w nocy. Schował przedmioty do różnych kieszeni wraz z innymi niezbędnymi rzeczami. Potem przeszedł przez ogród i przycisnął plecy do tylnej ściany domu, tuż przy drzwiach na patio. Zerknął przez okno do salonu, uważając, żeby pozostać poza zasięgiem wzroku Noreen.

Siedziała na kanapie. Była zwrócona w jego stronę, ale głowę odwróciła w kierunku telewizora.

Rozejrzał się po okolicznych domach, upewniając się, że w każdym są wyłączone światła lub zaciągnięte zasłony. Zadowolony z wyniku obserwacji, założył kominiarkę. Potem rękawiczki. W końcu sięgnął do kieszeni kurtki i wyciągnął pistolet.

Odsunął drzwi od patio i wszedł do domu.

Noreen natychmiast się odwróciła i krzyknęła.

Ale nie wykonała żadnego ruchu. Nie uciekała.

Dalej siedziała na kanapie, zeszywniała, z szeroko otwartymi oczami.

– Proszę, Jim – powiedziała. Drżał jej podbródek. – Proszę, nie...

Odwrócił się, żeby zasunąć za sobą drzwi i przez kilka chwil podziwiał swoje odbicie w szybie: wysoki, postawny mężczyzna ubrany na czarno. Wręcz spowity w czerń, z wyjątkiem szpary na oczy w kominiarce.

Dzięki niej ukrywał swoją tożsamość, a teraz również wiek. Dopóki ktoś się nie zbliży i nie dostrzeże zmarszczek wokół oczu oraz siwych brwi, nie będzie miał pojęcia, ile lat ma zamaskowana postać. Wiedzieliby tylko, że to mężczyzna, silniejszy, wyższy i większy od nich. Takiego widoku mogli doświadczyć jedynie w koszmarach.

Odbijający się za nim salon, krajobraz ciepłej domowej atmosfery, potęgował efekt. Ludzi przerażała myśl o zamaskowanym mężczyźnie stojącym przy ich łóżku w ciemności, ale zobaczenie go poruszającego się cicho po dobrze oświetlonym salonie musiało być jeszcze bardziej przerażające.

Jim odwrócił się do Noreen.

Ruszył w jej stronę.

– Proszę, Jim – powiedziała podenerwowanym szeptem. – Prosiłam, żebyś tego nie robił. Miałaś mi się nie pokazywać. Proszę.

Stanął przy niej i czekał, aż uniesie głowę i na niego spojrzy.

W jego oczy.

Jedyny widoczny fragment ciała Jima.

Uniósł broń i przyłożył zimną lufę do skroni Noreen. Pogłaskał ją po twarzy. Delikatnie. Pieszczotliwie.

– Proszę, Jim.

Przejechał kolbą pistoletu po linii szczęki żony, a następnie przycisnął ją do mięsistej szyi.

Noreen płakała.

– Pomyśl o Katie, Jim.

Przycisnął mocniej.

– Proszę, Jim. Nie rób tego. Przepraszam.

Nachylił się do jej ucha i wyszeptał:

– Kim jest Jim?

Nie swoim głosem, tylko jego.

Mężczyzna bez twarzy.

Noreen cała się trzęsła.

Wtedy to wróciło niczym zabójcza fala. Wsiąknęło w jego skórę. Przepęłniło go.

Napędziło.

Mężczyzna bez twarzy powrócił.

I był gotowy zakończyć to wszystko raz na zawsze.

Wyprostował się i zrobił krok w tył. Wsunął pistolet do kieszeni kurtki. Zdjął kominiarkę i rękawiczki i też je schował.

Noreen spojrzała na niego przerażona i niepewna.

– Robię to – powiedział – ponieważ i tak miałem taki zamiar. Nie masz nade mną kontroli. Nie przyjmuję od ciebie rozkazów. Zrozumiano?

Skinęła głową.

– Dobrze. – Jim ruszył do drzwi. – Nie czekaj.

Trzymał się mniej uczęszczanych dróg, żeby uniknąć kamer.

Dom w Passage West nie znajdował się w samej wiosce, tylko przy wąskiej drodze, na którą z głównej trasy ostro się skręcało.

Jim pokonał zakręt.

Po przejechaniu dwustu metrów zobaczył stary opuszczony pub o nazwie Kapitan Portu. Pięćdziesiąt metrów dalej dostrzegł małą nieoświetloną zatoczkę. Wjechał tam, zawrócił i ruszył w kierunku, z którego przyjechał. Kiedy dotarł do drogi prowadzącej do domu, skorzystał z niej, żeby wrócić do zatoczki. Musiał powtarzać ten manewr trzy razy, zanim udało mu się dotrzeć do Kapitana Portu, nie mijając żadnego samochodu. Nikt nie widział, jak skręca w boczną uliczkę, a ponieważ zaparkował za opuszczonym budynkiem, nikt też nie dostrzeże jego auta z ulicy.

Zgasił silnik i rozsiadł się w fotelu. Czekał.

O drugiej w nocy ruszył pieszo w stronę domu Blacków. Przeciął główną drogę i wszedł na boczną. Broń leżała zabezpieczona w wewnętrznej kieszeni kurtki. W zewnętrznych miał rękawiczki, kominiarkę, latarkę i lśniącą nową zabawkę, którą bardzo chciał wypróbować.

Na drodze było pusto, nie świeciły się latarnie uliczne, panowała cisza. Już zapomniał, że na wsi w nocy jest naprawdę ciemno. Prawie wpadł w dziurę, a po kilku minutach poczuł, że traci orientację w terenie. Czy znajdował się we właściwym miejscu? A może już minął dom? Nie przypominał sobie, żeby to było tak daleko.

Wtedy zobaczył znajomą bramę i niewyraźny kształt domu Blacków.

Wyglądał dokładnie tak samo. Stał pośrodku działki, jakby po prostu go tam zrzucono i do dnia dzisiejszego nie pojawił się wokół niego żaden ogród ani nawet ładnie przycięta trawa. Jim dostrzegł zaparkowany samochód, oświetlony przez światła przy drzwiach frontowych. Nie wielki hatchback w szarym kolorze. Założył, że należy do Eve.

Wszystkie zasłony z przodu domu były zaciągnięte, ale zza szyby drzwi wejściowych tliło się światło z holu.

Jim minął dom i szedł dalej ścieżką, rozglądając się wokół w poszukiwaniu ukrytego za żywopłotem samochodu z dublińską tablicą rejestracyjną i dwoma znudzonymi funkcjonariuszami w środku albo jakiegokolwiek ruchu. Nic takiego nie zobaczył.

Usatysfakcjonowany zawrócił.

Tak naprawdę nie wierzył, że Eve w jakikolwiek sposób będzie ochroniana przez policję. Dziewczyna myśli, że szukają podstarzałego faceta, nie czuł potrzeby zabijania od prawie dwudziestu lat, a Gardaí pewnie założyli, że napastnik, który od tak dawna się ukrywał, nie zechce się wychylać. Jim na to liczył.

Dotarł do bramy.

Teraz, gdy jego oczy przyzwyczyły się do ciemności, zauważył, że jednak się zmieniła. Osiemnaście lat temu żeliwne pręty były powykrzywiane, odpadała farba. Żeby ją otworzyć, wystarczyło sięgnąć przez pręty i odsunąć zasuwę. Teraz była wykonana z litego drewna, wyższa przynajmniej o pół metra i dobrze zabezpieczona. A do tego elektroniczna: małe przyciski na małej klawiaturze świeciły na zielono w ciemności.

Nie przeskoczy przez bramę. Nie te lata. Będzie musiał przedrzeć się przez żywopłot.

Najwyższy czas, żeby się przebrać.

Najpierw rękawiczki. Dwie pary. Najpierw białe lateksowe. Takie, z jakich korzystają w szpitalach. Wybrał je zamiast standardowych niebieskich używanych przez Gardaí z oczywistych względów. Naciągnął je najmocniej, jak mógł, czyli kilka centymetrów za mankiety kurtki. Następnie włożył drugą parę, czarnych skórzanych. Podwójna warstwa do pewnego stopnia ograniczała ruchy, ale zapobiegała pozostawianiu włosków i paznokci.

W ten sam sposób postąpił z nakryciem głowy. Najpierw gumowy czepek. Nie był do

końca pewien, do czego był używany, ale podejrzewał, że w damskim fryzjerstwie. Nasunął go na czoło, chowając pod niego włosy. Potem czarna kominiarka. Nałożył ją na twarz i szyję i wsunął pod kołnierz kurtki. Poprawił, żeby odsłaniała tylko oczy.

Dotknął dłonią klatki piersiowej, aby upewnić się, że ma pistolet, i poszedł szukać przedzonego fragmentu żywoplotu.

A potem się przez niego przebił.

Poszło łatwiej, niż się spodziewał: musiał tylko zrobić odpowiednio dużą dziurę i przez nią przejść. Wylądował twardo na biodrze. Jutro w tym miejscu na pewno pojawi się siniak, ale udało mu się przejść na drugą stronę. Znajdował się na terenie posiadłości Eve.

Od tej chwili musiał być cierpliwy.

Kucnął plecami do żywoplotu i wstrzymał oddech, rozglądając się wokół. Żadnych dźwięków. Żadnego ruchu. Kiedy miał już pewność, że tylko on tu jest, ruszył w stronę domu.

Gdy podszedł bliżej, zobaczył, że miał rację: w środku świeciła się jedynie lampka sufitowa w holu.

Biorąc pod uwagę panującą ciszę, Eve niewątpliwie była już w łóżku.

Obszedł cały dom, zaglądając w każde okno w poszukiwaniu jakichkolwiek oznak życia i alarmów. Nic takiego nie znalazł. Żadnych świateł bezpieczeństwa aktywowanych poprzez ruch ani szczerkających czy drapiących w drzwi psów.

Doskonale.

Podszedł do tylnych drzwi. Założył latarkę czołową, ukucnął przy zamku i ją włączył. Kiedy światło padło na zamek, miał wrażenie, jakby cofnął się o osiemnaście lat.

Wtedy wydawało mu się, że wszyscy domownicy byli już w łóżkach.

Ale okazało się, że jedna osoba nie spała.

I przeżyła napaść.

W domu na Bally's Lane nie można było zamknąć na klucz drzwi do ciepłarni. Natomiast dziewczyna z Covent Court nie pomyślała, że zamknięcie drzwi na klamkę to nie to samo, co zamknięcie ich na klucz. Fermoy było placem budowy i przewijali się przez niego różni ludzie. Ale ten dom i dom w Westpark zmusiły Jima do skorzystania z wytrychu.

Dzisiaj wziął ze sobą nową zabawkę.

Sięgnął do kieszeni i ostrożnie wyciągnął pistolet do otwierania zamków, z zestawem wytrychów. Wyglądał jak srebrna elektryczna szczoteczka do zębów z długą, cienką igłą zamiast główki. Wcześniej igłę od strzykawki przykleił do rękojeści taśmą ochronną, którą teraz zerwał.

Kupił ten sprzęt kilka lat temu, bo stwierdził, że warto mieć coś takiego pod ręką. Tej nocy był najważniejszą częścią jego wyposażenia.

Poruszając się sprawnie i cicho, Jim wsadził igłę od strzykawki do zamka w tylnych drzwiach, a potem przystawił do niej igłę od wytrychu. Musiał wszystko robić z wyczuciem i odpowiednim natężeniem siły. W końcu usłyszał kliknięcie, o wiele cichsze niż podczas korzystania z klasycznego wytrychu. W ciągu kilku sekund drzwi były otwarte.

Jim wyłączył latarkę czołową i wstrzymał oddech. Nasłuchiwał.

Nic.

Schował zestaw wytrychów i igłę, nacisnął klamkę i powoli otworzył drzwi. Na szczęście obyło się bez skrzypienia zawiasów.

Wszedł do ciemnej kuchni.

Powietrze było nieruchome. Z wąskiej szczeliny między framugą a drzwiami sączyło się słabe światło z holu. Gdy oczy Jima przyzwyczyły się do półmroku, zauważył, że w pomieszczeniu niewiele się zmieniło. Było mniej mebli i rzeczy, ale poza tym wystrój pozostał taki sam.

Jim przeszedł przez kuchnię, otworzył drzwi i wszedł do holu. Stał naprzeciwko drzwi frontowych i widział je z wnętrza domu zupełnie inaczej niż jeszcze przed kilkoma minutami. Dostrzegł, że od czasu jego ostatniej wizyty zamontowano drugi zamek i łańcuch.

Z holu prowadziło dwoje drzwi. Były uchylone. Salon znajdował się na lewo, a gabinet na prawo.

Jim zrobił trzy kroki do przodu i spojrzał na schody.

Tamtej nocy, osiemnaście lat temu stał dokładnie w tym samym miejscu, kiedy to się stało.

Chwila, która wszystko zmieniła.

Gdy wtedy zerknął w górę, zobaczył upiorną małą postać patrzącą na połamane ciało leżące u podnóża schodów.

– Tato...? – powiedziała.

Cicho. Niepewnie. Jakby zdezorientowana tym, co dzieje się w jej domu.

Tym, co się właśnie wydarzyło. Chwilę wcześniej.

Jim również był zdezorientowany. Właśnie zszedł na dół, zostawiając – jak mu się zdało – zakneblowanego i związanego mężczyznę na piętrze i małą dziewczynkę ukrywającą się w łazience, do której drzwi miał zamiar wyważyć w odpowiednim czasie. Nagle usłyszał hałas i wrócił do holu w momencie, gdy to wszystko się wydarzyło.

Mała postać na półpiętrze biegnąca z wyciągniętymi ramionami.

Ciało dorosłego człowieka spadające ze schodów.

Leżące w nienaturalnej pozycji na pierwszym stopniu.

Cisza.

To musiał być mężczyzna z góry. Jim dostrzegł niebieską linę, którą wcześniej związał jego nadgarstki i kostki. Jakimś cudem zdołał urwać tę część liny, którą był przywiązany do kaloryfera. Leżał w takiej pozycji, że praktycznie niemożliwe było, żeby przeżył, ale dla pewności

Jim przyłożył ucho do jego ust, sprawdzając oddech.

Nic. Mężczyzna nie żył.

Potem spojrział na dziewczynkę stojącą na szczycie schodów. Wpatrywała się w ciało mężczyzny.

– Tato...?

Chwilę później spojrzała na Jima.

Który zdał sobie sprawę, że nie ma na sobie kominiarki.

Leżała na stole w kuchni. Zdjął ją, kiedy zszedł na dół. Światło w holu było na tyle mocne, że widział twarz dziewczynki, a ponieważ ta stała nad nim, z pewnością też go widziała.

Eve Black zobaczyła jego twarz.

Ale nikomu o tym nie powiedziała, bo widział, co zrobiła.

Napisała w swojej głupiej książce, że ma listę pytań do Mężczyzny bez twarzy. Może dzisiaj pozwoli, żeby mu je zadać, ale najpierw on zada jej swoje.

Tylko jedno.

„Powiedz mi, Eve. Dlaczego zabiłaś własnego ojca?”.

Najpierw sprawdził salon. Wystarczyło mu światło wpadające z holu. Zasłony były zaciągnięte. Piloty do telewizora leżały równo na stoliku do kawy, tuż obok kubka z niedopitą herbatą. Jim zdjął skórzaną rękawiczkę i dotknął tyłu telewizora, ale nie poczuł ciepła. Nikogo nie było w tym pokoju od kilku godzin.

Eve napisała, że śpi w gabinecie. Jim zatrzymał się przed drzwiami, żeby ponownie włożyć rękawiczkę, zebrać się w sobie, przygotować.

Ale czegoś mu brakowało.

Osiemnaście lat temu, w tym samym momencie – tuż przed tym, jak się ujawnił – czuł największe napięcie. Adrenalina buzowała w żyłach, napełniając go siłą i mocą. Atmosfera wyczekiwania była niemal namacalna. Obietnica nocy pełnej nieskończonych możliwości powinna sprawić, że poczuje ekscytację.

Jednak nic takiego się nie pojawiło. Jim czuł się dziwnie oderwany od rzeczywistości, jakby był widzem na miejscu zbrodni. Może to ulegnie zmianie, kiedy ją zobaczy, kiedy wszystko zacznie się na poważnie.

Wyciągnął pistolet i pchnął drzwi do gabinetu.

Od razu się domyślił, że nikogo w nim nie ma.

Światło z holu oświetlało puste łóżko, ale chodziło o coś więcej. Po prostu to czuł. Powietrze było zbyt nieruchome. Zbyt martwe. Dla pewności wszedł do środka. Na łóżku leżał stary włochaty koc. Jim ponownie zdjął rękawiczkę i sprawdził jego temperaturę. Zimny. Nikt tu dzisiaj nie spał.

Wrócił do holu i nasłuchiwał odgłosów oddawania moczu albo wody płynącej z kranu. Nic. Żadnego szumu. Żadnego skrzypienia desek ani materaca.

Stwierdził, że Eve Black kłamała.

Po raz kolejny.

Nie lubiła spać w gabinecie. Była na górze, w jednej z sypialń. Jim rozumiał, dlaczego nie chciała się do tego przyznać. Obie opcje wydawały się przygnębiające: spać w pokoju, w którym zginęła matka, albo w tym, w którym życie straciła młodsza siostra.

Jim zaczął wspinać się po schodach, ostrożnie stawiając każdy krok i testując każdy stopień, czy na pewno utrzyma go bez skrzypnięcia.

W połowie drogi coś się zmieniło. Powietrze. Nagle dało się wyczuć czyjąś obecność, jak ściszony telewizor w pustym pokoju.

Była tutaj. W którejś sypialni.

Czuł to.

Kiedy dotarł na piętro, zobaczył, że drzwi do obu sypialni są uchylone. W żadnej nie świeciło się światło.

Trzecie drzwi, do łazienki, były otwarte. Pobieźnie sprawdził pomieszczenie. Pusto. Żadnego szumu napełnianej wody w toalecie i sucha umywalka. Wyszedł na korytarz i ruszył w stronę najbliższych drzwi.

Do sypialni, którą Eve dzieliła z siostrą.

Nawet nie musiał wchodzić do środka. Stojąc w progu, słyszał jak oddycha. Rytmicznie i regularnie.

Spała.

Pchnął drzwi i obserwował, jak światło z półpiętra w oświetla dywan i łóżko.

Leżała pod pościelą. Jedna bosa stopa wystawała ponad krawędź łóżka.

Przez chwilę po prostu patrzył na bezkształtne wzniesienie.

Coś nadchodziło jak fala z oddali. To uczucie.

Zbiera się w nim.

Przybiera na sile.

Wszedł do pokoju. Ruszył w ciemność. Podeszedł do łóżka i stanął nad Eve. Leżała na boku, z głową opartą o nagie ramię.

Nie obudziła się. Jej oddech wciąż był głęboki i regularny.

Nadszedł czas.

Wreszcie.

Zamknął oczy i słuchał oddechu Eve, a potem przygotował się na nadejście fali morderczego szału, która właśnie osiągnęła swój szczyt i w niego uderzyła.

Zmywając Jima Doyle'a.

Pozostawiając Mężczyznę bez twarzy.

Uniósł pistolet, a drugą ręką włączył latarkę czołową.

Zobaczył, że Eve nie śpi i patrzy mu w oczy.

CHOMIKO - WARNIA

Przycisnął kolbę pistoletu do jej szyi i wyszeptał:

– Zagrajmy w grę.

Eve zmrzyła oczy przed oślepiającym światłem latarki, ale nawet nie drgnęła.

Wbił kolbę pistoletu tak głęboko jak mógł w jej miękkie ciało tuż pod szczęką.

Wydała z siebie jęk bólu.

Uświadomił sobie, że jest zrezygnowana.

Wiedziała, że ten dzień nadejdzie, a teraz, gdy Mężczyzna bez twarzy już tu był, nie mogła nic zrobić.

– Jim – powiedziała.

Przysunął swoje usta do jej ucha.

– Nie zwięzę cię. Po prostu cię zabiję – wyszeptał.

Gdy ponownie skierował światło latarki na jej twarz, zobaczył, że Eve ma szeroko otwarte oczy. Szybko i płytko oddychała.

To dobrze.

– Rób, co chcesz – powiedziała, ale jej głos był chrapliwy i spanikowany. – Tylko proszę, najpierw ze mną porozmawiaj. Powiedz mi dlaczego. Dlaczego to zrobiłeś. Po tych wszystkich latach zasłużyłam na odpowiedź. Czy zrobi ci to jakąś różnicę, skoro to i tak mój koniec.

Jim się nad tym zastanowił.

Miał całkowitą kontrolę. Powinien to wykorzystać. Przyłożyć pistolet do ciała Eve i pociągnąć za spust. Za mniej niż minutę nie byłoby go już w tym domu. Do samochodu dotarłby w dwie minuty. Do domu w dziesięć. Pozbyłby się ubrania i zatarł za sobą ślady, zanim ktokolwiek odkryłby, że najsłynniejsza ocalała z ataku Mężczyzny bez twarzy nie żyje.

Ale sam miał pytanie, na które chciał usłyszeć odpowiedź. Poza tym Eve słusznie zauważyła, że skoro to i tak koniec całej sprawy, to co za różnica?

Usiadł na krawędzi łóżka, wciąż przyciskając pistolet do szyi Eve i kierując na nią światło latarki. Drugą dłonią chwycił jej podbródek i przyciągnął do siebie.

Nachylił się tak blisko, że jego usta znajdowały się zaledwie kilka centymetrów od jej ust.

Powiedziała coś jak rozpaczliwe „nie” i zamknęła oczy przed oślepiającym światłem latarki.

– Ty pierwsza – wyszeptał.

Potem dodał już swoim normalnym głosem – nie było potrzeby udawać w tych ostatnich minutach:

– Najpierw ty odpowiesz na moje pytanie, a potem ja odpowiem na twoje. – Odchylił się, odsuwając światło od jej twarzy, ale pozostawał na tyle blisko, żeby przyciskać pistolet do jej szyi. – Dlaczego to zrobiłaś?

Eve otworzyła oczy i zamrugnęła.

– Co zrobiłam? – szepnęła.

– Doskonale wiesz co. Jeśli masz zamiar kłamać, zakończ to w tej chwili.

Wyglądała na skonsternowaną.

– Widziałem – powiedział. – Widziałem, co zrobiłaś.

Po chwili twarz Eve się zmieniła.

Kręciła głową i powtarzała:

– Nie. Nie. Nie, nie mogę. Proszę.

Jim przystawił lufę pistoletu do skroni Eve, a drugą ręką chwycił ją za gardło. Zaciśnął palce najmocniej, jak potrafił.

Załkała.

Ścisnął tak długo, aż zaczęła sapać, a potem się szarpać.

– Mów – wyrzucił z siebie.
Puścił ją i zaczął, żeby nabrała powietrza.
– Ostatnia szansa, Eve.
Płakała. Łzy spływające po policzku lśniły w świetle latarki.
Coś wymamrotała, ale nie dosłyszał co.
Kazał jej powtórzyć.
– Myślałam, że to ty – powiedziała szorstko. – Próbowałam ocalić rodzinę. Zepchnęłam ojca ze schodów, bo myślałam, że to ty.
Oczywiście.
Poczuł się głupio, że nie doszedł do tego wcześniej. Kiedy lata temu wybiegła z łazienki z ramionami wyprostowanymi przed sobą i natarła na mężczyznę stojącego przy schodach, myślała, że spycha napastnika.
Ale gdy zobaczyła ciało w świetle dochodzącym z holu i Jima stojącego na dole i wpatrującego się w nią, zdała sobie sprawę z popełnionego błędu.
Makabrycznego błędu.
Teraz rozumiał, że w tamtej chwili też mógł zachować się lepiej.
Powinien wejść na górę i zabić Eve. Bez wahania. Widziała jego twarz, zresztą i tak planował to zrobić przed opuszczeniem domu Blacków. Ale zobaczył, jak zabija własnego ojca. Dwunastoletnia dziewczynka zrzuciła tatusia ze schodów, a Jim nie miał pojęcia dlaczego. Czyżby była zła? A może tatuś miał swoje za uszami? Co się działo w tym domu?
Jim nie wiedział. Nagle pojawiło się tyle pytań. Stracił nad sobą kontrolę.
Poszedł do kuchni, a potem wybiegł przez tylne drzwi w objęcia nocy.
Drugi raz nie popełni tego samego błędu.
Pistolet był przyciśnięty do szyi Eve. Jim przyłożył lewą dłoń do ust i zębami zdjął skórzaną rękawiczkę. Powoli. Cały czas patrzył na Eve. Potem zdjął też lateksową rękawiczkę.
– Co z moimi pytaniami? – zapytała.
Zignorował ją.
– Po prostu powiedz dlaczego. Dlaczego my? Dlaczego nas nie zamknąłeś, tak jak dzieci O’Sullivanów? – załamał się jej głos. – Dlaczego zniszczyłeś moją rodzinę? Z jakiego powodu? I dlaczego mnie nie zabiłeś? Dlaczego wybrałeś Annę? Małą dziewczynkę, ty chory pojebie.
Jim ją uciszył i odsunął pościel dłonią bez rękawiczki. Potem opuścił głowę, żeby oświetlić bladą, gładką skórę na szyi Eve i krzywiznę poniżej – jej piersi.
Przycisnął nagą dłoń do skóry Eve.
Zaprotestowała. Wierzgnęła.
Skóra była ciepła i gładka. Eve miała na sobie top z głębokim dekoltem. Jim przesunął palcem po krawędzi materiału między ramionami kobiety.
Od lewej do prawej. Od prawej do lewej.
Potem wsunął palec pod koszulkę i dotknął jej miękkich piersi. Odsunął materiał i włożył pod niego całą dłoń, chwytając pierś. Poczuł, jak sutek twardnieje pod naporem siły. Ścisnął go palcami...
Eve krzyknęła.
Jim nigdy nie słyszał nic bardziej przeszywającego bębenki uszu.
Ale to nie był jedyny dźwięk.
Z dołu dochodził hałas.
Co do...
Kroki.
Wrzaski.

Nagle do pokoju wpadli jacyś ludzie i ktoś krzyknął:

– Rzuć to! Rzuć broń! Teraz!

Jim nie miał czasu na reakcję.

Błysk i uderzenie, które zważyło go z łóżka i wylądowało na podłodze. Wypadł mu pistolet. Jim upadł na bok i przekręcił się na brzuch. Dotknął dłonią lewej strony ciała, gdzie najbardziej go bolało. Gdy podniósł rękę do twarzy, zobaczył, że jest pokryta krwią.

– Nic ci nie jest? Nic ci nie jest?

Jakiś nowy głos. Męski.

Jim chciał odpowiedzieć „nie”, lecz nie zdołał wydusić z siebie słowa.

Spróbował przewrócić się na plecy, żeby zobaczyć, co się stało. Udało mu się to połowicznie, ale to wystarczyło.

Pierdolony Ed Healy.

Siedział na łóżku i przytulał płaczącą Eve Black.

Nad Jimem pojawiły się ciemne postacie.

Gardaí.

Z bronią palną i w czapkach bejsbolowych.

Jednostka Szybkiego Reagowania.

Ból powoli ustępował, ale Jim właśnie zrozumiał, co się stało i nie była to dobra wiadomość.

„Najwyższy czas, żebyś to zakończył” – powiedziała mu Noreen.

Ciemność powoli wkradała się do jego oczu. Po chwili widział już tylko maleńki jasny punkt pośrodku.

A potem nie było już nic.

ROK PÓZNIJ

CHOMIKO - WARNIA

Katie leży i czeka, aż zadzwoni budzik. W namiocie jest gorąco i śmierdzi czymś ciałem. Czuje, jak sprężyny cienkiego materaca wbijają się jej w plecy. Śpiwór podciągnięty zaledwie do kolan pokrywa pot, przez który syntetyczna podszewka przykleiła się jej do łydek.

Katie czeka jeszcze minutę, po czym wstaje, wyłącza budzik i wkłada swój strój, na który składają się jaskrawe bawełniane szorty i koszulki w tym samym kolorze. Chwyta ręcznik i wychodzi na zewnątrz.

O tej godzinie kemping jest pusty. Słychać tylko śpiew ptaków i odległy szum fal. W prognozie pogody znowu zapowiadali trzydziestostopniowy upał i rzeczywiście powietrze już jest ciepłe.

Katie bierze długi, zimny prysznic i siada do śniadania – kawy i dwóch papierosów w kawiarni obok basenu. Teoretycznie członek personelu nie powinien siadać w strefie dla gości, a już na pewno palić, ale na razie nie ma tu nikogo oprócz kelnera i faceta z siatką do wyławiania liści z basenu. Mężczyźni rozmawiają ze sobą po francusku i zachowują się, jakby Katie nie istniała. To najlepsze, na co może liczyć w tych czasach: być ignorowana.

Jest tu, w nadmorskim kurorcie na południowo-zachodnim brzegu Francji, od wielu miesięcy. O ofercie pracy dowiedziała się, podsłuchując parę brytyjskich turystów w pobliskim mieście, gdy właśnie wydawała ostatnie dziesięć euro na ciepły posiłek i miała w perspektywie spanie na plaży drugą noc z rzędu. Przyjechała tu z Francuzem, który pożerał ją wzrokiem od momentu, kiedy zapięła pasy. Ale Katie już nie boi się mężczyzn. To bez sensu. Już poznała najgorszego z nich, a do tego nazywała go ojcem.

Rzadko myśli o czasie i datach, lecz teraz, gdy sezon dobiega końca i do kurortu przybywa coraz mniej gości, trudno zignorować fakt, że za kilka dni nadejdzie wrzesień. Pierwsza rocznica końca wszystkiego.

Katie jest na wygnaniu. W tym miejscu czuje się oddzielona od reszty świata. Nie ma telefonu, tylko telewizory w zasięgu wzroku, te wiszące w barze, zawsze nastawione na mecze piłkarskie. Praca jest niewymagająca, więc nie musi się przy niej zbytnio zastanawiać, zakwaterowanie niemal klasztorne, a dni monotonne i proste.

To jej odpowiada.

Taka pokuta.

– Przepraszam?

Gość. Niska, pyzata, uśmiechnięta kobieta, która od tygodnia przebywa z rodziną w jednym z luksusowych hoteli na Rivierze. Stoi przed Katie i zasłania słońce.

– Przepraszam, że przeszkadzam, kochanie, ale mamy zamiar pojechać do Roscoff i zastanawiam się, czy mogłabym na sekundkę wejść do recepcji, żeby wymienić książki?

W jednej ręce trzyma dwie zniszczone pozycje w miękkich okładkach, wyraźnie zszargane przez wodę morską i krem do opalania, a drugą ręką wskazuje za siebie, na samochód. Na tylnej kanapie siedzą dzieci, a za kierownicą mąż. Kiedy dostrzega, że kobiety patrzą w jego stronę, ostentacyjnie pokazuje zegarek.

– Jasne – mówi Katie, gasząc swoje śniadanie w popielniczce. – Żaden problem.

Zawsze, gdy rozmawia z gośćmi, robi, co może, żeby ukryć swój irlandzki akcent. Już się tego nauczyła. „Czy słyszę irlandzki akcent? Z której części jesteś? Och, moje kuzynostwo tam mieszka! Jak masz na nazwisko?”

Za recepcję służy przyczepa kempingowa znajdująca się kilka kroków od kawiarni. Katie otwiera drzwi i wpuszcza gościa przed sobą. Czeką chwilę, żeby pomieszczenie odrobinę się przewietrzyło i wchodzi do środka.

Książki stoją na regale przy drzwiach. Biblioteczka działa na zasadzie wymiany: zostaw książkę, weź książkę. Kobieta odkłada pozycje w miękkich okładkach i przekręca głowę, przypa-

trując się grzbietom innych.

– Hmm – mruczy. – No nie wiem... Czytałaś coś z tego? Możesz coś polecić?

Katie podchodzi do regału i dostrzega sagę historyczną, którą inny gość zachwalał w zeszłym tygodniu.

– Ta jest naprawdę dobra – mówi. – Akcja dzieje się w Perpignan, mieście niedaleko stąd.

Kobieta bierze poleconą pozycję i książkę o odnowieniu zamku w Prowansji.

Po jej wyjściu Katie poświęca chwilę na uporządkowanie książek. Kładzie dłoń na jakiejś książce i dopiero po kilku sekundach uświadamia sobie, co to jest. Nigdy nie widziała jej w małym formacie i miękkiej oprawie. To musi być nowe wydanie. Grzbiet jest w innym kolorze. Czcionka też się różni. Właściwie wcale nie przypomina książki, którą kiedyś czytała. Jedyne, co jest takie samo, to:

Mężczyzna bez twarzy. W poszukiwaniu prawdy. Eve Black.

A na dole grzbietu małą czcionką: Nowe, zaktualizowane posłowie.

Smak papierosa na języku nagle staje się kwaśny, a w żołądku wiruje niedawno wypita kawa.

Powinna odłożyć tę książkę. Nic dobrego z tego nie wyniknie. Nie musi znać więcej szczegółów. Koszmary i tak będą ją nawiedzały przez następne lata.

Katie wciąż powtarza to sobie w głowie, wyjmując książkę z półki.

Na okładce widzi połowę twarzy swojego ojca. Drugą połowę zasłania kominiarka, widoczne jest tylko oko. Połówki zdjęć są połączone. Dziewczyna przesuwając palcem po łączeniu na środku.

Tak naprawdę ojciec jej nie interesuje.

Chce wiedzieć więcej o Eve.

Jak się miewa, czy wszystko u niej w porządku, czy ruszyła naprzód i wreszcie żyje. Katie chce, żeby tak było. Nie jest religijna, ale właśnie o to modliła się po cichu do wszechświata.

Ojciec Katie był gwałcicielem i mordercą, ale pierwsze osiemnaście lat swojego życia spędziła szczęśliwie, a szczęście Eve dobiegło końca, gdy miała dwanaście lat. Morderca odebrał jej rodziców i młodszą siostrę i zostawił ich ciała w domu, żeby widziała, co im zrobił.

Katie pamięta o wszystkich jego ofiarach, także o swojej matce, a przynajmniej tej młodej i naiwnej, która nie wiedziała, w kim się zakochała. Opłakuje ją, ponieważ równie dobrze mogłaby nie żyć. Kobieta, która wciąż żyje, wiedziała, kim jest jej mąż, a mimo to mu pomogła. Katie nic do niej nie czuje. Jest dla niej obcą osobą.

Dlatego najbardziej myśli o Eve.

Zamyka drzwi od środka i idzie do niewielkiego biura na tyłach. Na wszelki wypadek zamyka też drugie drzwi. Potem siada i kartkuje książkę, aż dociera do posłowia.

Bierze głęboki haust gorącego, stęchłego powietrza.

I zaczyna czytać.

POSŁOWIE

Kobieta, która...

Kiedy miałam dwanaście lat, do mojego rodzinnego domu wdarł się pewien mężczyzna i zamordował mi matkę, ojca oraz młodszą siostrę Annę, która już na zawsze pozostanie siedmioletką. Kiedy miałam trzydzieści lat, napisałam o tym książkę. Osiem dni po publikacji, szóstego września 2019 roku, ten sam mężczyzna ponownie włamał się do mojego domu i próbował mnie zamordować. Został zastrzelony przez funkcjonariuszy Garda. Tym mordercą był Jim Doyle.

Teraz muszę się do czegoś przyznać i powiedzieć wam prawdę. W pierwszym wydaniu *Mężczyzny bez twarzy* pominęłam istotny szczegół: nazwisko mordercy. Od początku wiedziałam, że to Jim Doyle. Wiedziałam, jak wygląda, gdzie mieszka i jakim jest człowiekiem. Wraz z Edem znaleźliśmy go, zanim skończyłam pisać pierwszy rozdział książki. Ale mieliśmy jedynie poszlaki. W najlepszym wypadku pisanie o naszym odkryciu byłoby bezcelowe, w najgorszym obciążono by mnie kosztami sprawy za zniesławienie i pomówienie, którą Jim Doyle na pewno by wygrał. Przez pewien czas myślałam, że pominięcie tego szczegółu powoduje, że pisanie książki jest bezcelowe i byłam bliska zrezygnowania z całego przedsięwzięcia. Ale Ed przekonał mnie, że to właśnie książka może wywabić mordercę. Jako jedyna rzecz na świecie. Dlatego napisałam ją, została wydana i kupiły ją tysiące ludzi, za co bardzo wam dziękuję. Mam nadzieję, że wybaczyście mi ukrywanie prawdy – przynajmniej do teraz.

Kiedy odwiedzałam Maggie Barry, sąsiadkę Christine Kiernan w Covent Court, powiedziała mi, że nóż i linę zagubiono w komisariacie w Togher. W pierwszym wydaniu nie napisałam, że Maggie pamiętała nazwisko funkcjonariusza, który jej to przekazał: Jim Doyle. W tym momencie nic to dla mnie nie znaczyło. Założyłam, że zagubienie noża i liny było niedopatrzeniem zespołowym, a obowiązek przekazania złych wieści spadł na funkcjonariusza Doyle'a. Był to po prostu kolejny szczegół do dodania do naszego pliku, który wraz z Edem tworzyliśmy podczas ponownego rozpatrywania sprawy.

Ed odrobinę znał Jima Doyle'a. Pracowali razem w komisariacie w Togher. Wiedział, że wcześniej Doyle miał przydział w Mallow – oddalonym zaledwie trzydzieści kilometrów od Fermoy. Co więcej, Togher znajdowało się w pobliżu obwodnicy Cork – która łączyła różne lokalizacje na południu kraju – oraz drogi N28 do Carrigaline. Z łatwością można było dojechać nią do Blackrock czy Passage West. Jeśli połączycie na mapie Fermoy, Mallow i miasto Cork, wyjdzie wam trójkąt. Jednak Eda najbardziej interesował powód przeniesienia Doyle'a z Millstreet do Mallow: w przypiływie złości cisnął kubkiem z gorącym napojem w głowę przełożonego.

Ed znalazł zdjęcie Jima Doyle'a w mundurze, zrobione latem 2004 roku. Kiedy je zobaczyłam, moja reakcja była instynktowna. Zrobiło mi się gorąco, miałam zawroty głowy i wpadłam w panikę, a fotografia, którą trzymałam w dłoni, trzepotała, ponieważ cała się trzęsła. To był on. Patrzyłam na zdjęcie przedstawiające Mężczyznę bez twarzy. Od razu to wiedziałam.

Tylko jak mogłam być tego pewna. Tamtej nocy nie widziałam Mężczyzny bez twarzy – a przynajmniej nic takiego nie pamiętałam. Istniały pewne rozbieżności w moich wspomnieniach, co sugerowało, że w rzeczywistości wydarzenia mogły potoczyć się inaczej. Nie potrafiłam oprzeć się myśli, że w mojej pamięci brakuje jakiejś rolki. I to może najważniejszej. Czy rzeczywiście widziałam twarz mordercy i zablokowałam to wspomnienie? W jakich to było okolicznościach? Czy rozmawialiśmy? Czy próbował mnie skrzywdzić? Czy to ma coś wspólnego z tym, dlaczego pozostawił mnie przy życiu?

Jedynym sposobem na uzyskanie odpowiedzi było usłyszenie ich od Mężczyzny bez twa-

rzy. Ale przecież nie mogliśmy zwrócić się do Doyle'a. Fizjologiczna reakcja na zdjęcie nie może być podstawą oskarżenia.

Pokazaliśmy fotografie Doyle'a i czterech innych funkcjonariuszy Garda Johnniemu Murphy'emu, kierownikowi budowy z Fermoy, i na początku wybrał tę, na której był Doyle. Ale po namyśle zdecydował, że inny funkcjonariusz bardziej przypomina „Ronana Donoughe'a”. Nie udało nam się namierzyć Claire Bardin, kobiety, która zobaczyła mordercę na Bally's Lane, dzięki czemu powstał portret pamięciowy Mężczyzny bez twarzy. Kiedy porównaliśmy szkic i fotografię, zobaczyliśmy wyraźne podobieństwo. Był to najbardziej obiecujący trop, ale ponieważ nie mogliśmy brać pod uwagę mojej reakcji na zdjęcie, nie mieliśmy konkretnych dowodów wskazujących Doyle'a jako człowieka, który zamordował moją rodzinę. Potrzebowaliśmy czegoś więcej. Zdecydowanie więcej. Niezaprzeczalnego dowodu. Jeśli Jim Doyle rzeczywiście był Mężczyzną bez twarzy, to jak mogliśmy tego dowiedzieć?

Mężczyzna bez twarzy był skrupulatnym przestępcą, jak ostrzegwał mnie Ed w dniu, w którym się poznaliśmy. Nigdy nie zostawił żadnych fizycznych dowodów łączących go z przestępstwami, a sposób, w jaki wybierał ofiary, był tak nieoczywisty, że odkryto go dopiero po dwudziestu latach. Nawet jeśli znaliśmy jego tożsamość, skazanie nie było możliwe bez jego przyznania się do winy. A dlaczego miałby się przyznawać, skoro nie istniały żadne dowody? Publikacja książki mogła sprowokować go do zrobienia czegoś głupiego, jak kontakt z mediami czy przyznanie się do winy kumpłowi po pijaku, ale niczego nie braliśmy za pewnik. Po prostu czekaliśmy.

– Jedyną inną możliwością – powiedział mi Ed pewnej nocy – byłoby złapanie go na gorącym uczynku, ale spóźniliśmy się dwadzieścia lat.

Wtedy po raz pierwszy pomyślałam, że książka i jej autorka mogłyby posłużyć za przynętę.

W czerwcu 2017 roku wyprowadziliśmy się z wynajętego biura i przenieśliśmy operację o nazwie „Pisanie książki o Mężczyźnie bez twarzy” do pokoju w mieszkaniu Eda z widokiem na wody portu wewnętrznego Cork przy Jacob's Island. Większość naszych badań i dochodzeń dobiegła końca. Zwróciliśmy już do komisariatu na Anglesea Street akta sprawy. Nadszedł czas na pisanie książki.

Chociaż Ed mi pomagał, za tę część zadania głównie ja byłam odpowiedzialna. Opisałam historię Mężczyzny bez twarzy i jak jego wizyta w moim domu tamtej feralnej nocy wpłynęła na moje życie, ale zwracałam się również bezpośrednio do mordercy. Wyobrażałam sobie, że czyta każde napisane przeze mnie zdanie. Przedstawiłam wystarczająco dużo szczegółów o zbrodniach, żeby rozbudzić jego wspomnienia. Chciałam, żeby dowiedział się, co o nim myślę. Chciałam, żeby się wściekł, przede wszystkim na mnie. Po spędzeniu całego życia w ukryciu, pełna obaw o własne bezpieczeństwo, niezdradzająca swojego prawdziwego nazwiska nawet najbliższym znajomym, teraz poinformowałam czytelników mojej książki, gdzie śpię, kiedy jestem w Cork – w domu, w którym wszystko się zaczęło.

Wszystkich czytelników, w tym jego.

Mężczyzna bez twarzy w założeniu był książką o prawdziwym mordercy, który – jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem – popełni jeszcze jedną zbrodnię. Oczywiście nie mogłam mieć pewności, że mój plan się powiedzie.

Książka ukazała się 29 sierpnia 2019 roku. Rok później, piątego września, wydawca zorganizował spotkanie autorskie w księgarni w centrum Cork. Tuż przed jego rozpoczęciem Ed podszedł do mnie i wyszeptał mi do ucha: „Jest tu Jim Doyle”. Zaskoczyłam nas oboje, gdy odpowiedziałam: „Przedstaw mnie”.

Kiedy Ed prowadził mnie do niego, miałam zamiar udawać, że to po prostu normalna roz-

mowa z dawnym kolegą Eda z pracy. Ale gdy tłum się rozszedł i go zobaczyłam... od razu go poznałam. Nie tylko Mężczyznę bez twarzy, ale też kogoś, kogo spotkałam w trakcie swojego śledztwa. Mężczyzna bez twarzy był młody, silny i szczupły, tak jak Jim na zdjęciu, które znalazł Ed. Ten Jim Doyle miał siwe rzadkie włosy, obwisły podbródek i zaokrąglony brzuch. W ostrym świetle widać było, że się poci i robi wrażenie niespokojnego. Wyglądał też jak człowiek, którego zastałam w recepcji komisariatu w Togher, gdy przyszedłam tam porozmawiać o zaginionym nożu i linie.

Powiedziałam mu, że już się spotkaliśmy, ale wtedy wyglądałam inaczej. Przyznaję: bawiłam się nim. Przyznaję również, że czerpałam z tego przyjemność. Nie bałam się. Byłam w miejscu publicznym pełnym ludzi, tuż obok mnie stał Ed, a Doyle nie zdawał sobie sprawy, co wiem. Chociaż raz to ja miałam władzę. Kiedy Ed powiedział, że Doyle'a na spotkanie zaciągnęła jego żona, rzuciłam, że imię Jima znajduje się w książce, bo chciałam się upewnić, że przeczyta książkę. Właściwie nie kłamałam. Jeśli ja i Ed mieliśmy rację, to jego imię – to drugie imię – pojawiało się w książce przynajmniej sto razy.

Od dnia publikacji książki mieszkałam w domu na Passage West. Mimo wątpliwości Eda, przebywałam w nim sama. Ed chciał umieścić ochronę na zewnątrz, a nawet wewnątrz domu, ale sprzeciwiłam się temu pomysłowi. Jeśli Doyle rzeczywiście był Mężczyzną bez twarzy, to też miał doświadczenie z pracy w policji. Dostrzegłby ślady obecności Gardaí, nieważne jak dobrze próbowalibyśmy je zamaskować, a ja nie chciałam nikogo narażać. Ostatecznie doszliśmy do kompromisu w postaci przycisku bezpieczeństwa. W momencie naciśnięcia go miałam uruchomić alarm w komisariacie w Carrigaline, gdzie w pogotowiu czekali funkcjonariusze. Dotarliby do domu w ciągu kilku minut.

W noc po spotkaniu autorskim, w piątek szóstego września, Mężczyzna bez twarzy wrócił na miejsce swojej ostatniej zbrodni około trzeciej nad ranem. Nie sypiam za dobrze, więc słyszałam, jak włamuje się tylnymi drzwiami. Był w odległości dziesięciu metrów ode mnie. Wcisnęłam przycisk bezpieczeństwa, narzuciłam stary koc na łóżko i pobiegłam na górę do sypialni, którą kiedyś dzieliłam z Anną. Przez kilka minut słuchałam, jak morderca chodzi po parterze, a później zapadła niepokojąca cisza. Słusznie założyłam, że wchodzi po schodach. Potem pojawił się w progu drzwi do sypialni. Miał na głowie kominiarkę, w rękę trzymał pistolet. W tamtym momencie zdałam sobie sprawę, że widzę ten sam obrazek, który widziały bohaterki mojej książki – Alice O'Sullivan, Christine Kiernan, Linda O'Neill i Marie O'Meara.

Widziała go również moja matka.

I Anna.

W jakiś dziwny sposób poczułam, że jestem bliżej nich. Stałam się częścią ich ekskluzywnego, makabrycznego klubu.

Ale nie bałam się. Szczerze mówiąc, poczułam ulgę, że to, co przerażało mnie przez całe życie, w końcu się wydarzy. Oznaczało to, że już nigdy więcej nie będę musiała się tego bać.

W dniu swojej śmierci Jim Doyle miał sześćdziesiąt trzy lata. Był żonaty od ponad trzydziestu lat, a jego jedyne dziecko, córka, właśnie miała rozpocząć drugi rok studiów. Mieszkał w nijakim bliźniaku na południowym przedmieściu Cork, znanym z wysokich cen domów i dobrych szkół. Nie był dobrym policjantem. Po rzuceniu kubkiem doszło do innych incydentów z jego udziałem, chociaż nie tak poważnych, a przez większość kariery w policji był na cenzurowanym i ostatecznie został odsunięty od robienia czegokolwiek poza najbardziej podrzędnymi zadaniami. W dniu, w którym upłynęło mu wymagane trzydzieści lat pracy, przeszedł na emeryturę.

W ostatnich miesiącach pojawiały się u niego oznaki mentalnego rozpadu i utraty kontroli, którą utrzymywał przez tak wiele lat. Nie mam pojęcia, czy to książka do tego doprowa-

dziła, ale w jego domu znaleziono aż trzy egzemplarze *Mężczyzny bez twarzy* (na wewnętrznej stronie okładki jednej z nich znajdowały się odręczne notatki). Kilka godzin przed pojawieniem się w moim domu w Passage West, został zwolniony z pracy jako ochroniarz po skargach klientów, że czują się w jego obecności niekomfortowo. Po tym jak usłyszał wiadomość o zwolnieniu, napadł na swojego szefa i wepchnął mu jedzenie do gardła. Tego samego dnia jego sąsiedzi, Derek i Karen Finchowie, zadzwonili do Gardaí i zgłosili, że ktoś próbuje otruć ich psa. Pokazali funkcjonariuszom ciasteczka wypełnione trutką na szczury. Tę samą trutkę znaleziono w szopie Doyle'a wraz z odkurzaczem, na którego worku znaleziono liczne ślady DNA Lindy O'Neill, Marie Meara i mojej matki. Podczas próby przesłuchania żony Doyle'a funkcjonariusze zauważyli, że kobieta ma wyraźne obrażenia z boku twarzy. Powiedziała im tylko, że nie ma zamiaru z nimi rozmawiać i nic nie wie o *Mężczyźnie bez twarzy*.

Doyle urodził się w Castlebar w hrabstwie Mayo w czerwcu 1956 roku, siedem miesięcy po ślubie rodziców. Sean Delaney miał wtedy czterdzieści dwa lata, a Emer Doyle dwadzieścia jeden. Po zamążpójściu Emer wprowadziła się do domu na farmie Delaneyów. Nie istnieją żadne pisemne wzmianki o przebiegu ich małżeństwa, nie żyje również nikt, kto miałby wiedzę na ten temat, ale dowiedzieliśmy się jednego: Delaney był znany w mieście z wybuchów złości po alkoholu i 26 grudnia 1961 roku zastrzelił żonę, a potem popełnił samobójstwo. Pięcioletniemu Jimowi nic się nie stało, ale spędził w domu dwa dni, zanim sąsiedzi zaalarmowali policję. Po wejściu do domu Gardaí znaleźli śpiącego chłopca wtulonego w zakrwawione ciało matki.

Po tym wydarzeniu Doyle zamieszkał u siostry swojej mamy, Agnes, w Rathmines w Dublinie. Kobieta zmieniła mu nazwisko na panięskie nazwisko matki i zapisała do pobliskiej szkoły, gdzie nadzwyczaj dobrze się uczył. Agnes nie była zamężna i lubiła towarzystwo, toteż młody Jim spędzał sobotnie wieczory pod opieką nastoletnich nian. Jedną z nich, Jean Long, skontaktowała się ze mną po jego śmierci. Opisała go jako emocjonalnego chłopca, który wyrósł na dość irytującego nastolatka, mającego skłonności do podglądactwa i rzucania seksualnych podtekstów. Raz spróbował chwycić ją za piersi.

Gdy Doyle skończył osiemnaście lat, w 1974 roku, próbował dostać się do armii, ale oblał test sprawnościowy. W 1975 roku jego ciotka Agnes zmarła nagle na tętniaka mózgu. Potem Doyle zniknął z rejestrów publicznych na ponad dziesięć lat, aż do stycznia 1986 roku, czyli daty wystawienia aktu małżeństwa z osiemnastoletnią Mary White⁶, pochodzącą z Enniskerry w hrabstwie Wicklow. Kilka miesięcy później Doyle wstąpił w szeregi Garda.

Dlaczego robił to, co robił? Nie miałam okazji go o to zapytać. Gardaí wpadli do pokoju, zobaczyli, że Doyle jest uzbrojony, i zastrzelili go, zanim któreś z nas zdołało się odezwać. Można za to przypuszczać, dlaczego przestał, dlaczego atak na moją rodzinę był ostatni. Doktor Weir powiedziała, że jednym z powodów, dla których seryjni mordercy przestają zabijać, jest najzwyczajniejsze „zestarczenie się”, a Doyle w 2001 roku miał czterdzieści pięć lat. Ale dodała, że czasem zmieniają swoje zachowanie z innych względów. W 2001 roku Doyle'owi urodziła się córka.

W skrócie można powiedzieć, że Jim Doyle był niczym niewyróżniającym się człowiekiem. Nic mu się nie udawało. Nie dostał się do wojska, nie otrzymał awansu w policji, a nawet zwolniono go z posady ochroniarza w supermarkecie. Jeśli o mnie chodzi, to obrażenia na twarzy jego żony wskazują, że nie podołał również jako mąż, a jego córka już zawsze będzie żyła ze świadomością, że jej ojciec mordował ludzi, co oznacza, że jako rodzic też poniósł porażkę. Każdy, kto go znał, raczej go nie lubił. Swoje najlepsze lata miał za sobą. W związku z brakiem innych informacji należy uznać, że popełniał swoje zbrodnie z typowej pobudki seryjnych morderców: mizoginii. Nienawidził kobiet, bo one nienawidziły jego. W tym przypadku niczym się nie wyróżniał. Jak zauważyła doktor Weir, „*Mężczyzna bez twarzy*” to wyjątkowo trafny pseu-

donim dla seryjnego mordercy.

– Kiedy go znajdziesz – powiedziała – będziesz w szoku, jak bardzo jest nijaki.

Miała rację.

Kilka miesięcy temu Ed podarował mi książkę *Savage Appetites: Four True Stories of Women, Crime, and Obsession*² autorstwa Rachel Monroe. Okładka przedstawiała martwą dziewczynkę w żółtej sukience. Jej twarz była umazana krwią, a ciemne włosy zmierzwione. Dopiero gdy spojrzałam drugi raz, zdałam sobie sprawę, że to lalka. Popatrzyłam na Eda, oczekując wyjaśnienia i zastanawiając się, czy nie postradał zmysłów. Ed wskazał na karteczkę przyklepioną do jednej ze stron. Kiedy otworzyłam na niej książkę, zobaczyłam zdanie grubo podkreślone ołówkiem: „Kupiłeś mi bilet na planetę, na której żyłam samotnie”. Znajdowała się w rozdziale zatytułowanym *Ofiara*. Natychmiast zrozumiałam, o co mu chodzi.

Przez lata czytałam opisy żalu, szukając tego, który najlepiej oddałby to, co czułam, bo sama nie potrafiłam znaleźć odpowiednich słów. Nigdy takiego nie znalazłam. Teraz wiem dlaczego. To, co czułam od czasu wtargnięcia Mężczyzny bez twarzy do mojego domu, nie było żalem, w każdym razie nie tylko. Utrata członka rodziny z powodu choroby, wypadku czy upływu czasu, choć tak samo bolesna, jest innym rodzajem bólu niż utrata bliskiej osoby w wyniku brutalnego morderstwa. Ten jest bardziej złożony. Niewielu ludzi może się z nim utożsamiać, a to izoluje cię od znacznej części społeczeństwa. Czułam się odizolowana od dwunastego roku życia. Nie wiem, jak to jest żyć inaczej.

Noszę też w sobie wielkie pokłady poczucia winy. Żałuję, że nie zachowałam się inaczej tamtej nocy. Żałuję, że wcześniej nie powiedziałam komuś o nożu i linie. Tylko mnie udało się przeżyć, chociaż inni zasługiwali na to bardziej. Dlaczego nic nie zrobiłam? Dlaczego nie zbiegłam na dół i nie podniosłam alarmu? Dlaczego nie chroniłam swojej siostry? Jak mogę nazywać siebie ofiarą, skoro wyszłam z tej sytuacji bez najmniejszego zdraśnięcia?

I co zrobiłam z czasem, który mi dano? Do niedawna nic. Po prostu egzystowałam. Poddałam się bólowi, a to prowadziło do jeszcze większego poczucia winy. Z całą pewnością mogę stwierdzić, że gdyby to Anna przeżyła, w pełni wykorzystywałaby każdą chwilę życia. Miałyby rodzinę, udaną karierę i byłaby wspaniałą osobą, która dzieliłaby się szczęściem z innymi ludźmi. To ona była godna tego, żeby przeżyć atak Mężczyzny bez twarzy, ja nigdy jej nie dorównam. Ludzie powtarzają, że bym sobie wybaczyła, ale uwierzcie, łatwiej powiedzieć, niż zrobić.

Mogę jedynie próbować jak najlepiej wykorzystać swój czas na tym świecie. Dlatego napisałam książkę. Pamięć o matce, ojcu i Annie pozostanie w niej na zawsze. Każdy, kto ją przeczyta, dowie się o ich istnieniu. Napisanie książki pomogło mi również znaleźć mordercę. I w jakiś dziwny, niewytłumaczalny sposób połączyło mnie ze wspaniałym mężczyzną, który na początku tego roku został moim mężem. Za kilka tygodni na świat przyjdzie nasza córka.

Niedawno przyjaciółka powiedziała mi, że gdy moja córka osiągnie taki wiek, w jakim byłam w noc ataku Mężczyzny bez twarzy, w końcu uświadomię sobie, jak jest się wówczas niewinnym i młodym i jak wiele pozostaje w nas z dziecka, mimo bycia nastolatkiem. Dodała, że jeśli jeszcze sobie nie wybaczyłam, to zrobię to wtedy. Nie jestem o tym przekonana, ale zobaczymy.

Prawie dziewiętnaście lat temu Jim Doyle kupił mi bilet na planetę, na której musiałam żyć samotnie. Nie chciałam się tam znaleźć, ale nie miałam wyboru. Byłam za młoda i zbyt sparaliżowana strachem, żeby pamiętać tę podróż. Czułam się zagubiona, dezorientowana i nie potrafiłam znaleźć drogi powrotnej. Wciąż jestem na tej planecie. Do niedawna godziłam się z faktem, że zostanę na niej na zawsze.

Ale wydarzyło się coś niespodziewanego. Pojawił się podróżnik, który zna drogę powrotną. Mówi, że zabierze mnie ze sobą. Wkrótce wyjeżdżamy. W końcu wrócę do domu.

EVE BLACK
Dublin 2020

CHOMIKO - WARNIA

O autorce

Eve Black mieszka w Dublinie ze swoim mężem Edem i córeczką Anną. *Mężczyzna bez twarzy* jest jej pierwszą książką.

CHOMIKO.WARNIA

Podziękowania

Pragnę podziękować wszystkim, dzięki którym mogę wykonywać pracę swoich marzeń: mojej agentce Jane Gregory oraz wszystkim pracownikom David Higham, Corvus/Atlantic Books, Blackstone Publishing i Gill Hess Ltd. Do Sary O’Keeffe: dziękuję, dziękuję, dziękuję, dziękuję (po jednym za każdą książkę!). Powodzenia podczas twoich nowych przygód. Dziękuję niesamowitemu Caseyowi Kingowi za konsultacje w sprawie działań Garda i moim obserwującym na Twitterze za możliwość użycia ich nazwisk w podziękowaniach Eve. Dziękuję autorowi Masonowi Crossowi (oraz zespołowi Pearl Jam) za pomysł na tytuł, który okazał się doskonałą nazwą nie tylko dla książki, ale również dla Jima. Dziękuję księgarzom, recenzentom i czytelnikom, którzy tak życzliwie wspierają moją pracę – bardzo to doceniam. Dziękuję Hazel Gaynor i Carmel Harrington za utrzymywanie mnie przy zdrowych zmysłach, zabawę i wymówki do picia drinków. Dziękuję mamie, tacie, Johnowi i Claire za wszystko, ale naprawdę, nie powinniście przestawiać książek w księgarni, jeśli nie jesteście jej pracownikami. Rozmawialiśmy o tym...

Przypinkę z napisem „Porozmawiajmy o seryjnym mordercach” można kupić naprawdę (ja kupiłam swoją od internetowej artystki Krystan Saint Cat), hasło „Hej! Ted Bundy nie jest ciachem!” zobaczyłam na otwieraczu (kolejne dzieło Krystan), natomiast slogan „Opowiedz mi o filmach kryminalnych” widniał na pocztówce, którą kupiłam w Nowym Jorku.

Pomysł na fabułę *Mężczyzny bez twarzy* wpadł mi do głowy po przeczytaniu *Obsesji zbrodni* autorstwa świętej pamięci Michelle McNamary, niespełna tydzień po tym, jak Joseph James DeAngelo został aresztowany w Kalifornii. Serdecznie polecam Wam tę lekturę oraz podcast Audible Original pod tytułem *Evil Has a Name*. Polecam również książkę Rachel Monroe wspomnianą w fabule.

Na koniec zastrzeżenie: ta książka przedstawia fikcyjne wydarzenia. To oznacza, że wszystko tu zmyśliłam, włącznie z faktami.

Przypisy

1. W mitologii irlandzkiej zjawia przybierająca kobiecą postać (przyp.tłum.). [\[wróć\]](#)
2. Julian Barnes, *Wymiary życia*, tłum. Dominika Lewandowska-Rodak, Świat Książki, Warszawa 2019. [\[wróć\]](#)
3. Joan Didion, *Rok magicznego myślenia*, tłum. Hanna Pasierbska, Znak Literanova, Kraków 2016. [\[wróć\]](#)
4. Ang. *Freshers' Week*. Okres powitalny, trwający dwa tygodnie, od połowy do końca września, dla pierwszorzecznych studentów, podczas którego poznają uczelnię, kampus i nowych kolegów. W tym czasie odbywa się tak zwany *pub crawl*, czyli chodzenie od pubu do pubu na kufel piwa. [\[wróć\]](#)
5. Ang. krępować, torturować, zabijać. [\[wróć\]](#)
6. To nie jest jej prawdziwe imię i nazwisko (przyp. aut.). [\[wróć\]](#)
7. „Dziki żądze: cztery prawdziwe historie o kobietach, zbrodni i obsesji”. [\[wróć\]](#)

СНОМІКО _ WАРNІА